



Anna Fryczkowska

RÓWNONOC

SERIA NA F/AKTACH

OD
DESKI
DO
DESKI!

Anna Fryczkowska
RÓWNONOC

SERIA NA F/AKTACH

OD
DESKI
DO
DESKI

Spis treści

Karta redakcyjna

Wstęp

Faza pierwsza. Straty. 21 marca 1998. Mama Szymona

Faza druga. Końce świata. 1 marca 1999. Tata Darka

Faza trzecia. Pytania. Mama Szymona

Faza czwarta. Pudełka. Mama Jędrzeja

Faza piąta. Pustki. Mama Szymona

Faza szósta. Bunty. Mama Jędrzeja

Faza siódma. Odnaleziona. Mama Szymona

Faza ósma. Cisza. Mama Szymona

Faza dziewiąta. Fale. Mama Jędrzeja

Faza dziesiąta. Pani renata. Mama Szymona

Faza jedenasta. Pogodzenia. Tata Darka

Faza dwunasta. Razem. Mama Szymona

Faza trzynasta. Śródtytuły. Mama Szymona

Faza czternasta. Komentarze. Mama Szymona

Faza nieustająca. Opieka. Mama Dominika

Faza piętnasta. Progresje. Mama Jędrzeja

Faza szesnasta. Boży ludzie. Tata Darka

Faza siedemnasta. Niebo. Mama Szymona

Podziękowania

Inne książki wydawnictwa Od Deski Do Deski

Zarys fabuły książki *Równonoc* jest oparty na prawdziwych zdarzeniach. Trzeba jednak pamiętać, że tekst nie jest reportażem, tylko dziełem fikcji literackiej. Nie należy go traktować jak dokumentu. Wypowiedzi i myśli bohaterów, ich charakterystyka, a także opisy szczegółów miejsc i wydarzeń nie mogą stanowić źródła wiedzy o faktach.

Redakcja: PIOTR JABŁOŃSKI

Korekta i łamanie: AGATA MOŚCICKA, biały-ogród.pl

Projekt graficzny serii: manukastudio.pl

© Copyright for this edition by Od Deski Do Deski, Warszawa 2018

© Copyright for the text by Anna Fryczkowska 2018

Wydanie I

ISBN 978-83-65157-86-7

Wydawnictwo OD DESKI DO DESKI Sp. z o.o.

ul. Puławska 174/11, 02-670 Warszawa

oddeskidodeski.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Czytelniku, korzystaj legalnie!

Nad książką ciężko pracował autor i wiele innych osób. Uszanuj ich trud i korzystaj z książki w legalny sposób. Dzięki temu będziemy mogli sobie pozwolić, by przygotować dla Ciebie kolejne znakomite lektury.

I NAGLE SŁYSZĘ DZWONEK. Idę do drzwi. Teraz, po tylu latach robię to już bez emocji, nadzieja dawno zdążyła się wypalić. Pewnie to listonosz. Kurier. Gospodarz domu. Sawicka z góry. Nikt ciekawy.

Na wycieraczce stoi mężczyzna. Patrzę na niego przez wizjer i zastanawiam się, skąd go znam. Jest piękny, trochę podobny do mojego stryja, ale bardziej do Piotrka, subtelniejszy jednak, przystojniejszy, cieńszą kreską rysowany. Wysoki, szczupły, wyraźne kości policzkowe, mocna szczęka. Ma ciemne oczy i półdługie włosy, odgarnia grzywkę, czekając, aż otworzę. Podobny jest do wszystkich, których kocham. Kochałam.

Nie, to nie może być on.

To z całą pewnością nie on. Minęło dwadzieścia lat. Dlaczego dzisiaj, teraz, tak nagle, skąd?!

Boję się otworzyć. Tamten stoi i patrzy w wizjer, szuka moich oczu. Nie może ich przecież widzieć, ale szuka.

– Długo każesz mi czekać? – Głęboki, męski głos.

Uśmiecha się, trochę krzywo, zbuntowanymi ustami.

Ręce mi się trzęsą, ale otwieram. Stoję w progu i patrzę na niego. Wyższy ode mnie o dwie głowy. Może nawet trzy.

– Cześć, mamusiu! Tyle czasu! Tak strasznie tęskniłem!

Daje krok do przodu i nagle tulimy się mocno. Pachnie inaczej, mówi inaczej, twarz mu dojrzała, policzki ma szorstkie, ale w środku, tam głęboko, to ciągle mój syn, nasz kochany syn i brat. Szymon wrócił do domu.

Jeszcze będzie czas, żeby spytać, gdzie był przez tych dwadzieścia lat, co robił, a może, co z nim robiono. Dlaczego nie pisał, nie odezwał się, nie mógł dać znaku życia. Nie mógł albo nie chciał. Ale cokolwiek się z nim działo, zdążył urosnąć i zmężnieć przez tych dwadzieścia lat, podczas których moja żaloba osiągnęła dojrzałość.

Nie, to nie żaloba. Pustka osiągnęła dojrzałość.

Jednak jest, wrócił.

Znowu jesteśmy razem.

Ale może opowiem całą tę historię od początku.

FAZA PIERWSZA

STRATY

21 marca 1998

MAMA SZYMONA

„Muzyka jest ulotna – raz zagrany ton lub akord tak naprawdę istnieje tylko w pamięci słuchaczy”.

Harmonia tkwi w liczbach. Muzyka i matematyka

Javier Arbonés, Pablo Milrud

(tłum. Katarzyna Rączka)

DLACZEGO TO SIĘ ZDARZYŁO AKURAT NAM? Nie mam pojęcia. Przecież byliśmy najnormalniejszą rodziną pod słońcem – żadnej patologii, chłopcy zadbani, dopilnowani. Zawsze wiedziałam, gdzie są i kiedy wrócą. Sprawdziałam im lekcje, dbałam, żeby mieli czyste ubrania. Jadaliśmy razem obiady w niedzielę, siadaliśmy wspólnie do kolacji w dni powszednie, rozmawialiśmy o wszystkim, słuchałam tego, co mówili. Wiedziałam, kto uczy moich synów polskiego, a kto historii. Znałam kolegów i ich mamy. To nie była żadna nadopiekuńczość – doskonale wiem, że synowie nadopiekuńczych matek nie dają sobie rady w życiu. A Szymon dawał sobie radę. Dobrze się uczył, prawie najlepszy w klasie, z matematyki na pewno. Był bystry i kochany. Lubił zostać z nami w domu, pogadać. Więc to nie powinno się zdarzyć. Nie nam.

– To nie powinno nam się zdarzyć – powtarzał mąż. – Zawsze o nich dbaliśmy. Wozilem Szymona na piłkę nożną, na te zajęcia, co pamiętasz. Wozilem go całe półtora roku, ile chciał. Czekałem, aż skończy trening. Rozmawialiśmy dużo, naprawdę. W soboty chodziliśmy na rower. Uczyłem go, jak się golić. Byłem z nim, kiedy tylko chciał. Nie powinno się tak stać.

– Zawsze wiedziałam, gdzie jest. I z kim.

– Nie powinno.

– Zawsze wiedziałam.

– Nie powinno.

– Święta Maryjo, Matko Boża. Święta Maryjo, Matko Boża. Święta Ma-

ryjo, Matko Boża – dopowiadała teściowa z dużego pokoju.



Szymon zawsze był grzeczny, nie powiem. Pani pyta, co to znaczy „grzeczny”. Mam na myśli to, co wszyscy. W grzeczności nie ma żadnej filozofii. U mnie w domu mówiło się jeszcze „pociecha rodziców”. Znaczący w moim rodzinnym domu mówili tak o mnie rodzice i babcia. O Szymonie też tak z mężem mówiliśmy. Bo był naszą pociechą. Nigdy nie pyskował. Nie kłamał. Po chleb skoczył, jak zabrakło. Sprzątał po sobie ze stołu. Do lekcji nie musiałam go zaganiać. Do kościoła chodził – najpierw z nami, a kiedy dorósł, to sam na msze młodzieżowe, na dziewiątą trzydzieści rano. Narzekał, że niedziela, a musi wstać o ósmej, i ziewał rozdzierająco, ale chodził. Opowiadał się, jak dokądś szedł. Naprawdę, zawsze. Tamtego dnia też.



Często stawał na balkonie i patrzył w niebo – u nas na osiedlu dobrze widać gwiazdy, bo latarnie zawsze popsute.

– Na co tak patrzysz? – pytałam.

– A tak sobie. Ładnie, prawda?

Nie zwracał uwagi na błocko na podwórku ani na garnki na balkonie; lodówka jakoś zawsze była za mała na to całe jedzenie – dwóch dorastających chłopców w domu, sama pani rozumie. Szymon patrzył w górę. W odróżnieniu od niego ja wcale nie uważałam, że tam jest ładnie. Dla mnie było strasznie obco, czarno, zbyt rozległe. Mówiłam mu to.

– Nie ma się czego bać, mamusiu.

I stał tak, zadzierając głowę, ciągle ode mnie niższy. Jeszcze nie wybujał. Jeszcze był prawie całkiem mój.

Tamtego wieczoru, dwudziestego pierwszego marca dziewięćdziesiątego ósmego roku, też powiedział, dokąd idzie i z kim. Była osiemnasta siedemnaście – akurat spojrzałam na zegar, więc wiedziałam dokładnie, kiedy wy-

szedł. Tego się po tym wszystkim nauczyłam: że trzeba wyrażać się ściśle. Policji trzeba wszystko mówić dokładnie, bo jak nie, zaraz dopytają: Co to znaczy, że mieliście dobry kontakt z synem? Co to znaczy, że był grzeczny? Co to znaczy, że nigdy się nie spóźniał? Co to znaczy, że się dobrze uczył? Co to znaczy, że nie miał kłopotów w szkole? Ale niezależnie od tego, jak dokładnie im to wszystko wyjaśniałam, nic nie wskórali.

– Idę się spotkać z chłopakami – powiedział Szymon o osiemnastej siedemnaście. – Na miasto, mamusiu. Będę przed dwudziestą drugą.

Wiedział, że nie lubię, kiedy przebywa dłużej poza domem. Wiedział, że nie zasnę, nim wróci. Więc zawsze wracał na czas.

– Pierwszy dzień wiosny, mamusiu – powiedział. – Dzień wagarowicza. Szkoły nie ma, ale i tak musimy poświętować.

No i wytłumaczył mi jeszcze, co to znaczy „pierwszy dzień wiosny”. Że noc i dzień są wtedy równej długości. Równonoc wiosenna. Taki mądry, widzi pani? Zawsze był taki.

I poszedł.

Zamiotłam przedpokój, bo nakruszyło mu się błota z butów. Potem sobie wyrzucałam, że mogłam za nim popatrzeć z balkonu – często to robiłam, nawet po ciemku. Ale wtedy zamiatalam i nawet chyba trochę byłam na niego zła, że nie wytarł butów, tylko tak nabrudził. W dużym pokoju mąż i Piotrek oglądali telewizję, akurat na Jedynce leciał ten serial o ratownikach, *Słoneczny patrol*. Mąż podrzemyszał, chociaż blondynka na ekranie pokazywała prawie wszystko, co miała, natomiast Piotrek narzekał, że nie widzi.

– Mamuś, zabierz babcię! Oglądam.

Ona tak już ma, ta moja teściowa, że ciągle chodzi po domu i powtarza zdania. Znaczący jedno zdanie. Wybierze sobie, a potem chodzi i powtarza. Nie słucham jej, bobym przecież sama zwariowała.

– Zaraz się wydarzy. Zaraz się wydarzy – mówiła tamtego wieczoru i szurała kapciami, łażąc tam i z powrotem, tam i z powrotem. Włosy miała rozczochrane i nie dawała się uczesać ani ubrać, tak strasznie była niespo-

kojna, więc tylko sweter jej narzuciłam na nocną koszulę. – Zaraz się wydarzy. Zaraz się wydarzy.

Chciało mi się huknąć na nią: „Poleżałybyś trochę, bo zwariować można!”.

Ale powiedziałam tylko:

– Poleżałybyś trochę, mamo, bo na pewno już się zmęczyłaś.

Ale ona dalej szurała kapciami po pokoju, kilka kroczków w jedną, kilka w drugą. Piotrek, wściekły, przestawiał demonstracyjnie krzesło to w prawo, to w lewo, żeby widzieć ekran. Mąż czasem tylko otworzył oko, sprawdzając, czy telewizor wciąż gra, i znowu przymykał powieki. Dosiadłam się do nich na chwilę, przytuliłam do męża. Przygarnął mnie i cmoknął w głowę. Ciepły był, przyjemny. Mój.

– Zaraz się wydarzy. Zaraz się wydarzy – mamrotała teściowa.

Potem wyszłam na balkon i patrzyłam, czy Szymon już wraca. Stałam i patrzyłam na nasze ciemne osiedle, trochę też na niebo, tak jak lubił patrzeć Szymon, ale od tego akurat widoku dostawałam dreszczy. Zimno zresztą całkiem było, niby wiosenna ta równonoc, ale mroźna.

O dwudziestej drugiej zero jeden coś mnie zakłuło w sercu. Przecież Szymon zawsze wracał punktualnie – wiedział, że będę go wyglądać, że będę się martwić. Minuta – pomyślałam. – Co to jest minuta spóźnienia? Co to są dwie minuty? Albo trzy? Wysłałam Piotra do wanny i do spania. Miał dopiero dwanaście lat, nie będzie siedział po nocy. O dwudziestej trzeciej potrząsnęłam Grześkiem, bo nadal drzemał na kanapie, ściskając pilota w ręku.

– Szymona nie ma.

– Daj żyć chłopakowi. Młody jest, nie nadzoruj go tak bez przerwy. Chłopcy muszą mieć trochę swobody.

Tak właśnie powiedział. Tyle już czasu minęło, a we mnie ta wściekłość nadal się nie wypaliła. Bo wtedy może coś jeszcze można było zrobić. Ale za radą męża, specjalisty od wychowania chłopców, postanowiłam poczekać – przecież to pierwszy dzień wiosny, a Szymon musi się czasem trochę

wyszaleć, czego ja nie rozumiem, bo dla mnie wszystko odtąd dotąd.

Grzesiek znowu zaczął skakać po kanałach, a ja poszłam położyć teściową.

– Zaraz się wydarzy – powtórzyła.

Aż zadrzałam. Zobaczyłam, że jest dwudziesta trzecia dwadzieścia, więc już nikogo nie słuchałam, tylko zadzwoniłam do domu Sebastiana, z którym poszedł Szymon. Matka Sebastiana, zła, że dzwonię po nocy, burknęła, że syn jeszcze nie wrócił. Więc zadzwoniłam do mamy Kamila. Ten z kolei zdążył wrócić do domu. Powiedział zaraz, że Szymon podobno jeszcze został z kolegami. Mama Kamila też nie była specjalnie zadowolona z późnego telefonu, ale starała się nie dać tego po sobie poznać.

– Chodźmy spać – poprosił Grzesiek sprzed telewizora. – Nie budź ludzi po nocy. Wróci.

Pamiętam te wszystkie jego uspokajające zdania, choć wolałabym nie pamiętać.



Grzesiek zaczął rozkładać kanapę, a ja poszłam do wanny. Leżałam w gorącej wodzie, ale aż mnie w brzuchu ścisnęło, że Szymona ciągle nie ma. Koło północy wyszłam z łazienki, stanęłam w szlafroku przy oknie i czekałam. Potem podsunęłam sobie krzesło i czekałam dalej; łokcie najpierw zrobiły mi się zimne od lastryka, potem parapet trochę się rozgrzał. O siódmej rano już nawet nie budziłam Grześka, tylko sama poszłam na naszą komendę powiatową. Pierwszy raz tam byłam, uwierzy pani? Ale naprawdę nie mieliśmy do czynienia z policją, nigdy. Porządna, zwyczajna rodzina, jak już mówiłam.

W pokoju siedział oficer dyżurny, taki jeszcze młody, przyszczaty, wąsik tylko zapuścił, że niby dojrzały. I on od razu powiedział, że przesadzam i że młody chłopiec, i że zabawa, i że być może pili, więc się bał matce na oczy pokazać i na pewno przespał się u któregoś kolegi. Tak robią młodzi chłopcy.

Kolejny specjalista od chłopców.

– Szymon nie lubił spać poza domem. Poza tym już dzwoniłam do jego kolegów.

Wtedy policjant puścił do mnie perskie oko i stwierdził, że w takim razie może Szymon jest u koleżanki. I się zaśmiał, aż mu się rzadki wąsik podniósł.

Głupia jestem – pomyślałam. – Głupia i nadopiekuńcza. I ani w ząb nie rozumiem mężczyzn. Zawsze chciałam mieć córkę, a tu dwóch chłopaków. Coraz starszych. Coraz bardziej obcych. Nie wiem, jak ich wychowywać.

– Czy syn nigdy przedtem nie uciekał z domu? – spytał przyszczyty.

A skąd, chciałam odpowiedzieć. Jesteśmy najnormalniejszą rodziną pod słońcem. Otworzyłam usta i zawahałam się, ale zaprzeczyłam.

– Nie, nigdy.

Nie miałam zamiaru opowiadać mu tamtej historii, bo potraktowałby mój niepokój jeszcze mniej poważnie.

Nikomu o tym nie mówiłam. Nawet Piotrek nie pamięta, że jego brat wyjechał kiedyś z domu bez uprzedzenia. Szymon był wtedy w piątej klasie. Rano nie poszedł do szkoły, tylko na dworzec kolejowy. Gdy kupował ulgowy do Szczecina, kasjerka się zaniepokoiła, że nie jest na lekcjach, ale powiedział, że przygotowuje wycieczkę szkolną i musi wszystkiego osobiście dopilnować. Tak umiał to wymyślić, tak poważnie powiedzieć i spojrzeć mądrymi oczami prymusika, że sprzedała mu bilet i pojechał. Nie miałam o tym pojęcia, bo o piętnastej, kiedy zwykle wracał ze szkoły, siedziałam jeszcze w kiosku. W domu zjawiłam się po osiemnastej, jak co dzień, i dalej szykować kolację, ale patrzę – nie ma dzieciaka. I nie było go całą noc. To była najgorsza noc w moim życiu. Znaczący, tak myślałam wtedy, bo przecież od tamtej pory przeżyłam wiele takich, dużo gorszych. Ale wówczas nie miałam jeszcze porównania. Tamtej nocy siedzieliśmy z Grześkiem przy telefonie i czekaliśmy, aż się Szymon odezwie. Mąż obdzwonił wszystkich jego kolegów, ja wypytywałam Piotrka, ale mały nie miał pojęcia, gdzie może być starszy brat. Następnego dnia nawet nie otwieraliśmy kiosku, bo właśnie mieliśmy iść na policję, kiedy Szymon nagle wszedł do

domu. Był trochę zmięty, trochę niewyspany, trochę śmierdzący, choć przecież wtedy pachniał inaczej – miał jedenaście lat, więc jeszcze jak dzieciaczek, nie jak mężczyzna. I wydawał się bardzo skruszony. Powiedział, że chciał się gdzieś zaczepić w Szczecinie i zacząć zarabiać, żeby nam pomóc. Bo się zaharowujemy w tym kiosku, a jemu nas szkoda. Tak powiedział, wyobraża sobie pani? I jak ja się miałam na niego gniewać? Przytuliłam tego małego drania i wyszeptalam mu do ucha:

– Nigdy więcej mi tego nie rób. Nigdy.

Płakałam. Przestraszył się, bo pierwszy raz widział mnie płaczącą.

I ostatni.

Potem płakałam dopiero, jak zaginął po raz drugi.

I ostatni.

Nie, skreślałam te słowa. Żadnych „ostatni”, żadnych „był” – trzeba się pilnować, słowa mają wielką moc.

Więc wtedy, trzy lata wcześniej, pojawił się w drzwiach jakoś przed ósmą rano. A potem chwycił bułkę i poszedł do wanny. Jak mogłam o tym zapomnieć? Nagle zrozumiałam, że Szymon na pewno jest już w domu, wrócił jak wówczas. Teraz pewnie leży w wannie, głodny i niewyspany.

Ruszyłam do domu, szybko, jak najszybciej. Na szczęście nie było daleko, przecież w Miasteczku nigdzie nie jest daleko. Na klatce prawie zderzyłam się z Sawicką – szła właśnie do kościoła, odstawiona, pachnąca tymi nieprzyjemnymi perfumami. Spytała, co tak biegnę, ale wyminęłam ją i wpadłam do domu. Grzesiek już nie spał. Siedział wściekły i od razu na mnie, gdzie ja jestem, bo mamusia jakaś niespokojna i chyba chce jeść. Dał jej pić, klękajcie narody! Nie odpowiedziałam. Z łazienki słychać było plusk wody, a ja poczułam, jak schodzi ze mnie to potworne napięcie, od głowy w dół. Zastępowała je fala miłego ciepła. Wrócił.

Nacisnęłam klamkę i bez pukania wtargnęłam do środka.

Przy umywalce stał Piotrek i mył zęby.

– Gdzie jest Szymon?

Wzruszył tylko ramionami, zaspany.

– Gdzie jest Szymon? – spytał mąż, gdy wyszłam z łazienki. Nareszcie zainteresował się własnym synem. – Chłopcy zaraz mają iść do kościoła na dziewiątą trzydzieści.

– Nie wrócił – powiedziałam. – Przecież nie wrócił. Nie ma go od wczoraj.

I już nawet nie patrzyłam, jak się twarz Grześkowi zmienia, tylko zostawiłam go z mamą, choć tego nie lubiłam. Ale w tamtej chwili nie obchodziło mnie nic poza Szymonem. Pobiegłam do domu Sebastiana, tego kolegi, z którym wczoraj chodził po mieście. Nigdy nie lubiłam gnojka. Spał jeszcze, ale matka, widząc moją minę, od razu ściągnęła go z wyrka. Przyszedł, ziewając, do dużego pokoju i niechętnie odpowiadał na pytania. Wrócił do domu jakoś koło północy, tak dokładnie mi nie powie, bo nie pamięta. Szymon chyba z nimi był, potem się chyba odłączył, ale może sikać poszedł i wrócił, tak dokładnie mi nie powie, bo nie pamięta. Chodzili nad rzeką. Nie, nie pili, skądże, to akurat dokładnie mi powie, bo pamięta. Na pewno nie pili, ani kropelki. Tylko że nawet teraz jechało od niego przetrawionym piwem. Miałam ochotę walnąć go w ten durny łeb.

– Niech pani nie krzyczy na moje dziecko – powiedziała jego matka. – Widzi pani, że chłopak chce pomóc.

Sebastian ziewnął.

Oczy mnie piekły. Myślałam, że to coś u nich w domu, więc zaraz wyszłam. Dopiero później zrozumiałam, że oczy mnie pieką, bo całą noc nie spałam. Ale nie zwracałam na to uwagi, na nic nie zwracałam uwagi, tylko szłam do Kamila, dwie ulice dalej. Tego akurat kolegę syna lubiłam – zawsze był czysty, przyjemny, mówił „Dzień dobry”. Teraz też. I grzecznie powiedział, że wczoraj wrócił do domu trochę po dwudziestej drugiej. Jego mama potwierdziła. Pamiętał, że Szymon był z nimi, chyba cały czas. Chyba nie pił. On sam na pewno nie pił, skąd. Pociągnęłam nosem i faktycznie, możliwe, że nie kłamał. Dziewczyny? Nie było żadnych dziewczyn. Tylko oni, w siedmiu. Tak, siedmiu ich było. Chyba. Bo potem ktoś poszedł, a ktoś przyszedł, no wie pani, jak to jest.

Dostałam adresy pozostałych. Oczy bolały mnie coraz bardziej, ale tar-

łam je, żeby widzieć numery kolejnych domów i bloków, żeby dzwonić do właściwych drzwi. Trzech kolegów Szymona jeszcze spało. Jeden jadł śniadanie.

– No był. Był z nami Szymon. No poszedł sobie. Chyba poszedł, bo może został? – mówili, poziewując. – A tak, chodziliśmy. Nad rzeką. Krzy czeliśmy trochę. Szymon chyba był z nami. A może gdzieś poszedł? Nie pamięęętam. Oni poszli na dyskotekę. Szymon chyba też. Ja wróciłem. Nie pamięęętam.

– Na jaką dyskotekę?!

– A może nie? Nie pamięęętam.

– Nie umiesz z chłopakami rozmawiać. Tyle czasu cię nie było, a dalej nic nie wiesz – stwierdził mąż, jak wróciłam.

Akurat Piotrek z kościoła przyszedł, więc Grzesiek wziął go ze sobą. Poszukają chłopaka po męsku. Chodzili nad rzeką i krzy czeli: „Szymon! Szymon!”. Bo może jeszcze tam gdzieś śpi, w krzakach, gdzie łąził z kolegami. Różnie przecież bywa w życiu młodych chłopców. Ale go nie znaleźli i w końcu także poszli na komendę. A na komendzie policjanci jakoś Grześka chętniej wysłuchali niż mnie. Jemu nie mówili, że przesadza i że młodzi chłopcy muszą się wyszaleć. Do niego nie puszcza li perskich oczek, tylko poważnie zapytali, czy Szymon ma dziewczynę i czy może być u niej. A potem przyjęli zgłoszenie zaginięcia.

A ja siedziałam przy oknie. Teściowej nawet z łóżka nie kazałam wstać, bo nie miałam na nią siły. Leżała więc sobie, ruszała nogami pod kołdrą, jak gdyby chodziła, i cały czas coś mamrotała, ale cichutko, jakby rozumiała, że mamy zmartwienie. Wolałam nie wiedzieć, co mamrocze.

– Na policji pytali, czy dobrze żyliśmy z synem – powiedział Grzesiek. – Czy miał dobry kontakt z kolegami. Jakie miał stopnie. Jak się odnajdywał w szkole. Czy zabrał jakieś rzeczy. Czy wziął większą ilość pieniędzy.

Po co takie dziwne pytania? – zastanawiałam się. – Stopnie? A co to ma do rzeczy? Potem jednak zrozumiałam: policjanci sądzili, że Szymon uciekł, bo mógł mieć kłopoty w domu albo w szkole. Zaraz zadzwoniłam, żeby im wytłumaczyć, że mój syn nie uciekł z domu, przecież jesteśmy naj-

normalniejszą rodziną pod słońcem, żadnej patologii, chłopcy zadbani, dopilnowani, kochani. Ale ten policjant niby przytakiwał, a potem powiedział, że statystyki mówią swoje, że większość zniknięć dzieciaków w tym wieku to ucieczki z domu, a poza tym jest wiosna, sezon się zaczął i nawet sobie nie zdaję sprawy, ile dzieciaków jest teraz na gigancie.

„Nieprawda”, chciałam powiedzieć, ale rzuciłam tylko:

– Szukajcie go.

– Robimy to, proszę pani. Właśnie to robimy.

Zgłoszenie zaginięcia. Kiedy nadaliśmy temu nazwę, zrobiło się jeszcze straszniej. „Zgłoszenie zaginięcia” brzmiało jak z programu 997 w telewizji – przerażająco jak puste niebo.

Policjanci pojechali nad rzekę, bo sami musieli sprawdzić swoimi fachowymi metodami miejsce, gdzie Szymon widziany był po raz ostatni. Po raz ostatni. Aż się zatrzęślam. Więc oni sprawdzali, a Grzesiek stał obok i patrzył.

Znaleźli jedynie ślady po ognisku i puszki po piwie. Policjant ponoć tylko głową pokiwał, że miał rację z tym piciem.

– Nie powiedziałaś temu idiocie, że tam zawsze leżą puszki? Nad rzeką? Że tam zawsze jest śmietnik, są pety, reklamówki, butelki? Nie powiedziałaś?!

Nie, nie powiedział. Na pewno przecież sami wiedzieli. Byłam na niego wściekła. Chciał za to teraz powiedzieć mi coś innego, błady i jakiś roztrzęsiony. Bo, opowiadał, nagle ten policjant coś zauważył. Kurtkę złożoną w kostkę. A na niej czapkę. Na brzegu, tuż przy zejściu do wody. Policjant podniósł je i spytał Grześka, czy poznaje.

– Nie byłem pewny.

Grześkowi trzęsły się dłonie, gdy wyjmował tę kurtkę z reklamówki i kładł ją na stole. A potem czapkę. Wysunęłam rękę.

– Dlaczego to wszystko jest takie wilgotne?

– Szron był.

No tak, to był najzimniejszy marzec od lat, w nocy ciągle na minusie. Po

ciepłym lutym, kiedy już wszyscy myśleli, że pożegnali mrozy, że nadchodzi wiosna.

Włożyłam dłoń do kieszeni kurtki Szymona. Używana chusteczka do nosa. Jakiś kamyczek, kilka okruchów. Podniosłam czapkę i wdychałam zapach włosów mojego syna.

„Wygląda na to, że syn postanowił się wykąpać – powiedział ten policjant nad rzeką. – Napił się, rozgrzał, zrobił odważny i wskoczył. A że rzeka rwąca i brzegi strome, to co się dziwić, że trudno mu było wyjść. Tak to widzę, proszę pana”.

Mój mąż był blady i przerażony, bo łykał te mądrości jak gęś kluski. Zupełnie jakby nie znał swojego syna od czternastu lat i ponad dziewięciu miesięcy. Jakby go ze mną nie wychowywał.

– Zwariowałaś? Szymon nie lubi piwa. I nie kąpałby się w Rzece przy kilku stopniach na minusie.

– On mówił, że może Szymon bał się pijany do domu wracać i chciał otrzeźwieć w zimnej wodzie. Może tak mogło być?

– Bał się? Kogo? Mnie? Ciebie? Bzdura!

Kazałam Piotrkowi zostać z babcią, a my z Grześkiem pobiegliśmy nad rzekę. Patrzyłam wszędzie – czy ślady są, czy nikt nie leży, czy nie widać innych ubrań – ale niczego szczególnego nie zauważyłam. No może poza tym, że dużo piwa tu wypito, ale nawet nie miałam pojęcia, czy zeszłej nocy, czy w ogóle.

– Szymon! – krzyčeliśmy. – Szymon!

Potem znowu poszliśmy na komendę i mąż narobił dymu, bo jak chce, to potrafi, więc jeszcze przy nas dzwonili po nurka do straży pożarnej, a ja byłam zadowolona, że się wreszcie przejęli. Ale kiedy zrozumiałam, po co nurk, zatkałam uszy, przez co wyglądałam jak histeryczka, co mi później powiedział mąż i dodał, żebym tak nie robiła, bo skoro zachowuję się dziwnie, nic dziwnego, że policjanci nie traktują mnie poważnie. I przyjechało takich dwóch do domu, zajrzeli do pokoju chłopców. Mówiłam im o sznurku, że trzeba szukać tylko po jednej jego stronie, przepraszałam, że

nieposprzątane, i chciałam odkurzać, chować rzeczy, ale poprosili, żebym poczekała w drugim pokoju, że sami przejrzą rzeczy.

Jaki sznurek? Chłopcy dzielili sznurkiem pokój na pół. Jak to? Normalnie. Niezbyt im to pasowało, zwłaszcza Szymonowi, ale musieli mieszkać razem, w jednym pokoju. Trzeci, najmniejszy, zajęła teściowa, kiedy zachorowała i musieliśmy wziąć ją do siebie. A w dużym były telewizor i kanapa, na której spaliśmy z Grześkiem. Jadaliśmy na ogół w kuchni – pod okno udało się wstawić wąski stół, dwie osoby po jednej stronie, dwie po drugiej, teściowa u szczytu, ale jej i tak trudno było gdziekolwiek usiedzieć, więc zaraz się podrywała.

Chłopcy mieszkali razem i przez to często się kłócili. Szymon porządniki, zawsze poukładany, Piotrek bałaganiarz. Na połowie Szymona było puisto i czysto, na połowie Piotrka pełno wszystkiego. Pewnego dnia Szymon rozłożył więc sznurek od okna do drzwi i zaczął udawać, że każdy z nich ma swój pokój. Kiedyś Piotrek rzucił koszulkę na podłogę i kawałek wystawał na stronę Szymona, który odciął go równo nożyczkami. Strasznie się wtedy na niego zdenerwowałam, narzekałam, że bezmyślny, że to kosztuje, że skoro nie zarabia, to chociaż niech nie niszczy. A teraz mi głupio, że kiedykolwiek się na niego denerwowałam.



W 1998 roku odnotowano 892 wypadki nad wodą: utonęło 826 osób, 190 uratowano. Z tego w rzekach utonęło 307 osób. Tylko w soboty zginęło 211 osób. 263 ofiary były pod wpływem alkoholu. Wśród utopionych w 1998 roku było 50 chłopców między 8 a 14 rokiem życia.

ze statystyk Policji



Następnego dnia nad rzeką już nie krzyczałam „Szymon!”, tylko stałam i modliłam się, żeby niczego nie znaleźli.

– Strasznie głośno oddychasz, mamuś.

Piotrek nie poszedł do szkoły, tylko tkwił obok i ścisnął mnie za ramię. Stali tam wszyscy, pół Miasteczka zebrało się nad wodą. Tylko Grzesiek

poszedł do pracy i otworzył kiosk. Powiedział, że woli tak, bo nie będzie myśleć.

Dwóch z komendy stało na brzegu, już znałam ich z widzenia, jeden pływał pontonem, a nurek w takim stroju, granatowy z czerwonym, zanurzał się, wynurzał, kręcił głową i znowu zanurzał. W końcu pokręcił głową ostatni raz, wylazł z wody i zapakował się do samochodu z policjantami. Ludzie się rozeszli, a my wróciliśmy do domu, gdzie teściowa leżała w łóżku i, zasikana, ruszała nogami.

– Będziesz płakać. Będziesz płakać. Będziesz płakać.

– Cicho mama wreszcie będzie! – huknęłam, aż się przestraszyła i skuliła, ale nie przestała szeptać „Będziesz płakać”. Wzięłam się do zmieniania jej pościeli – znowu pralka będzie chodzić cały dzień.

Z wojewódzkiej przyjechał nad rzekę policjant z psem. Duże zwierzę z mądrymi ślepiami. Policjant powiedział, że nie można głaskać, więc tylko podałam używaną koszulkę Szymona i odsunęłam się, żeby pies mógł spokojnie pracować. Wilczur poniuchał, pokręcił się, poszedł z nosem przy ziemi do rzeki, a w końcu odwrócił się i pobiegł w drugą stronę, wałem na górę i do drogi, tam gdzie w zatoczce ludzie w ciepły dzień zostawiają samochody, żeby pójść się kąpać. Zwierzak pokręcił się, pokręcił, po czym stanął.

– Lepiej byłoby, gdyby usiadł – wytłumaczył mi policjant, ten sam przyszczaty i z rzadkim wąsikiem, który się ze mnie śmiał w niedzielę. – Jak stoi, znaczy, że nic nie znalazł. Jak siedzi, znaczy, że jest pewien.

– Ale przybiegł tutaj. Nie został przy rzece. Czyli jakieś pojęcie ma.

– No chyba tak.

– Więc mój syn się nie utopił.

– Jeśli wierzyć psu.

– To znaczy, że Szymon poszedł nie do rzeki, ale w przeciwnym kierunku. Pewnie chciał wrócić do domu. Wcale nie uciekał.

– Poszedł do szosy. Mógł na przykład złapać stopa. Wyślemy zgłoszenie do wszystkich jednostek.

– Jeszcze nie wysłaliście?!

I zaczęłam wyrzekać, że zaginęło dziecko, a oni się śmieją, lekceważą mnie i odwalają obowiązki, podczas gdy każda chwila jest cenna, żadnej nie wolno zmarnować, nie można mówić, że Szymon uciekł z domu i że sam wróci! Bo nie uciekł, nie uciekł! Przecież wiem! Kto ma wiedzieć, jak nie matka?!

Mąż mnie odciągnął.

– Nie krzycz na policjanta, bo nam będzie na złość robił.

– Ale ich trzeba pilnować! Oni nic nie robią!

– Cicho, kobieto. Mają procedury. Robią tak, jak się powinno.

– Źle robią! Źle robicie, słyszycie? Dziecko zaginęło, a wy co?!

Grzesiek zatkał mi usta dłonią, aż poczułam, że nie mam czym oddychać.



W 1998 roku zaginęło w Polsce 14 310 osób. Z tego 5044 osoby miały między 14 a 17 lat. Większość zaginionych nastolatków została odnaleziona w ciągu pierwszych dwóch tygodni po zaginięciu.

Najczęściej przyczyną zaginięć nastolatków są ucieczki z domu rodzinnego i ośrodka opiekuńczo-wychowawczego. To aż 65% wszystkich zaginięć w tej grupie wiekowej. Porwania i uprowadzenia przez osoby trzecie na szczęście zdarzają się niezwykle rzadko.

z danych Centrum Poszukiwań Osób
Zaginionych Komendy Głównej Policji



Koledzy w szkole powiedzieli Piotrkowi, że Szymon w pierwszy dzień wiosny pił nad rzeką. Wypił tyle, że ledwo trzymał się na nogach. Mówił też komuś, że wyjedzie z Miasteczka, bo tu nudno. I podobno wyzywał kolegów od głupków. Oni szli na dyskotekę, a on był tak pijany, że z trudem stał. Inni mówili, że był tak pijany, że zasnął nad rzeką. Piotrek opowiadał, a ja spisywałam, choć nie wiedziałam, w co wierzyć, a w co nie, bo to mi zupełnie nie pasowało do Szymona. Kiedy zaniósłam notatki na policję, kazali je położyć na biurku i podziękowali, ale niczym się nie przejęli.

W nocy nie spałam – patrzyłam z balkonu w dół, w błocko, i czekałam. Chyba zasnęłam na stojąco, z czołem opartym o szybę, bo kiedy się obudziłam, przez chwilę myślałam, że jest normalnie. Ale nie było.

Trzeciego dnia musiałam w końcu wyjść do sklepu.

– Kakao kupuje. Masło roślinne. Marchewki. Jabłka.

Kobiety gapiły się na mój koszyk, jakby chciały dostrzec cierpienie między opakowaniami. Wszystkie skądś wiedziały.

Gdy odeszłam od kasy, któraś się odważyła:

– Strasznie pani współczuję.

Zupełnie jakby mi ktoś umarł.

Nie odpowiedziałam, tylko odwróciłam się i wyszłam. Po drodze do domu wpatrywałam się we wszystkie mijane twarze, ale Szymona ciągle nie było. Podeszła do mnie jakaś pani w czerni, nie kojarzyłam jej.

– Jestem z panią całym sercem. Jak ja dobrze panią rozumiem.

Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi.

– Sama niedawno pochowałam syna – wyjaśniła.

– Ale ja go nie pochowałam.

– Nie porównuję naszej żałoby.

– Ja nie jestem w żałobie, rozumie pani?

A potem w kuchni obierałam jedną marchewkę za drugą i zatrzymałam się dopiero, gdy nie wymacałam już żadnej w torbie. Spojrzałam do zlewu, a tam góra warzyw, jakby to jakiś robot obrał, bo przecież nie ja. Skąd ta hałda strużyn w koszu? Zdarzyło się pani kiedyś zmienić w maszynę? Więc mnie wtedy tak. Gapiłam się na stos marchwi i na strużyny w koszu, a teściowa łąziła mi za plecami jak wahadło jakiegoś upartego zegara, tyle że choć raz odpuściła i nic nie mówiła. Przynajmniej tyle.

Wrzuciłam marchewki do garnka, zalałam wodą, posoliłam, umyłam ręce i usiadłam na taborecie. Niechętnie potem jedli – marudzili, że marchwianka to na sraczkę, ale nie słuchałam ich, nawet nie zwróciłam uwagi Piotrkowi, że nie mówi się „sraczka”, tylko „biegunka”. Siedziałam z nimi przy

stole, gapiłam się na puste krzesło i mieszałam łyżką pomarańczową zupę. Jak robot. Zepsuty robot kuchenny. Wreszcie Piotrek położył dłoń na mojej rozbieganej dłoni i zatrzymał ją.



„W dniu zaginięcia ubrany był w koszulę w czerwono-czarne pasy, dżinsy, niebieski podkoszulek, jasne slipy, jasne skarpety i adidasy firmy Nike” – napisali w zgłoszeniu. Miał jeszcze na sobie kurtkę, kurtkę w kolorze khaki, tę, którą potem znaleźli nad rzeką. I czapkę, szarą z czerwonym i białym paskiem. Naprawdę umiałam to opisać. Znałam jego ubrania, bo sama je kupowałam. Slipy wszystkie miał białe, z bazarku, w paczkach po pięć sztuk. Kurtki i czapki nie prałam, bo pachniały nim – położyłam je na jego łóżku, złożone w kostkę. Najpierw jednak ściągnęłam z łóżka Szymona książki i zeszyty Piotrka – już zdążył zająć miejsce swoimi rzeczami, już zdążył swoimi gratami przekroczyć sznurek.

Przeniosłam więc cierpliwie rzeczy Piotrka na jego część, poprawiłam sznurek, wygładziłam Szymonowi poduszkę, kołdrę i koc z polaru. A potem położyłam się na jego łóżku, przytuliłam jego kurtkę i zasnęłam.

– Mamuś? Mamuś, źle się czujesz?

Dłuższą chwilę usiłowałam zrozumieć, gdzie jestem i dlaczego. Z korytarza docierało światło, ale w pokoju nadal było ciemno. Poduszka pachniała włosami Szymona, jego policzkami.

– Źle się czujesz?

Chłopięca sylwetka na tle światła, ale nie ta, którą bym chciała zobaczyć – za niska, za drobna.

Świetnie – chciałam odpowiedzieć. – Świetnie. Tylko syn mi zaginął.

– Dobrze.

– Nakarmiłem babcię tą zupą. Nie chciała za bardzo.

– A tata?

– Jeszcze w kiosku. Sami w domu jesteśmy.

Nawet tu słyszałam szuranie teściowej po dużym pokoju, jej monotonne mamrotanie. Nie chciałam słyszeć słów, ale dochodziły do mnie.

– Wielka bieda. Wielka bieda. Wielka bieda.

– Mamusiu, gdzie jest Szymon?

Cały czas się nad tym zastanawiałam.

– Bo ja myślę... Pamiętasz, jak on zawsze chciał być sam? Lubił być sam, prawda? – dopytywał się Piotrek.

Tak, Szymon lubił być sam. Rozumiałam go – ja też tak miałam, od zawsze. Czasem musiałam posiedzieć w samotności, tak jak człowiek latem musi niekiedy posiedzieć w cieniu. Odżyć.

„Czasem trudno mi wytrzymać z kolegami – powtarzał. – Czasem chce mi się od nich uciec, bo mam ich dość”. Dlatego często siedział zamknięty w pokoju, cichutko. Zdarzało się, że zajrzałam do niego. Czytał. Albo coś tam robił przy biurku. Albo grał na komputerze. Kupiliśmy niedawno chłopcom komputer – niby miał służyć do nauki, ale głównie grali. Ponieważ Piotrek wolał siedzieć z nami, przy telewizji, Szymon korzystał z tego, że może być sam w pokoju, i nawet na film po dzienniku nie przychodził.

Mój mąż, ta przylepa, nigdy tego nie rozumiał. Bo sam lubił mnie trzymać za rękę, gdy oglądał. Gdy spał, lubił dotykać mnie bokiem, biodrem. Lubił czuć, że jestem blisko. Że chłopcy są blisko. A mnie zdarzało się, że czułam się wtedy jak w kajdanach, jak w klatce. Chciałam iść tam, gdzie nikt nie będzie do mnie mówił, dotykał mnie, czegoś ode mnie chciał albo patrzył na mnie zaskoczony, że nie odpowiadam.

Szymon tak czasem miał i ja tak czasem miałam. Chwytałam wtedy reklamówkę, portmonetkę i że chleb się skończył, mówiłam. Albo kasza, to im było trudniej sprawdzić. Wychodziłam z mieszkania, zbiegałam po schodach i szłam w kierunku samu, ale mijałam go i szłam dalej. Gdyby mnie kto spotkał, mógłby pomyśleć, że idę z tą reklamówką po coś, czego nie ma w naszym samie, a co znajdę w mieście. A ja szłam przez całe Miasteczko, aż docierałam do rzeki, stawałam na moście, opierałam się o barierkę i patrzyłam, jak czas płynie. Szymon tak mówił. Ta woda płynie jak czas.

Chwilę stałam, a potem obracałam się i szłam z powrotem, jak najwolniej, żeby przedłużyć samotność. Na koniec wstępowałam do sklepu i kupowałam kaszę, żeby nie wracać jak głupia z pustą siatką.

„Sawicką spotkałam i się zagadałyśmy” – mówiłam Grześkowi, gdy pytał, co tak długo. Wiedziałam, że nie będzie się interesował, o czym gadałyśmy. Babskie tematy były mu zupełnie obce, zawsze tak powtarzał.

– Szymon czasem wolał być sam. Zamykał się w naszym pokoju i krzyczał: „Nie włącz, chcę pobyć sam!” – powiedział mój młodszy syn. – Więc może teraz też chciał. Przez jakiś czas będzie sam, a potem wróci do domu. Z pokoju też zawsze w końcu wychodził. Albo pozwalał mi wejść. Prawda, mamuś?

Miał w sobie tyle ufności w los, w starszego brata.

– Prawda – powiedziałam.

– Lepiej się czujesz?

Odsunęłam od siebie kurtkę Szymona i wstałam. W kuchni wytarłam podłogę i stół po karmieniu babci, próbując nie słuchać jej mamrotania, po czym wstawiłam jajka na kolację i pokroiłam kiełbasę. Piotrek, uspokojony, że panuję nad sytuacją, przyniósł do kuchni podręczniki i coś tam wypełniał w ćwiczeniach, posapując. Krzesło Szymona stało puste. A babcia nadal odmierzała czas. Odkąd Szymon wyszedł z domu, przemierzyła duży pokój setki razy i dalej nabijała licznik.

– Wielka bieda. Wielka bieda. Wielka bieda.

Chciałam wyjść, chciałam chodzić po mieście i patrzeć ludziom w oczy, bo może ktoś coś wie, ale Piotrek siedział za stołem i co jakiś czas popatrywał na mnie, upewniając się, że jestem. Więc byłam.



– Przecież gdyby się utopił, toby się zatrzymał na zaporze. Znaczy ciało. Znaczy przepraszam panią za te słowa. Zefiry proszę.

– Podobno porywają dzieci na organy. Na serca, na nerki. Niech się pani tym zainteresuje. Bogacze zlecają takie porwania. Najtańszą z programem

pani mi da.

– Zapalki proszę. E tam na organy. Do seksu porywają młodych chłopców. Mało to zboczeńców? Któremuś wpadł w oko. Ale całą paczkę pani mi da, nie pudełko przecież.

– A potem go zaciukał i ukrył ciało. Nie takie rzeczy się przecież zdarzają. „Chwilę dla Ciebie” pani mi da i zapalniczkę, ale taką, żeby mi się nie popsuka od razu po trzecim razie.

– Ludwika wezmę, pani ma tańszego niż w chemicznym. Miętowego. Albo nie, cytrynowego, raz się żyje. Dzieciaki się głupio bawiły, coś mu się stało, pewnie przypadkiem, ktoś go skrzywdził, przestraszyli się, ukryli go. Z dziećmi trzeba porozmawiać. Z tymi jego kolegami, pani wie.

– E tam ukryli. Do wody wrzucili. „Przyślij Przepis!” już jest? Ten nowy? Nie? To przyjdę jutro.

– Ten pani syn na pewno stracił pamięć jak moja sąsiadka. Zapomniał wszystko, zapomniał, jak się nazywa i gdzie mieszka. Trzeba czekać. Trzeba wieszać ogłoszenia. Ktoś go znajdzie niedługo i odprowadzi do domu jak moją sąsiadkę. No mówię pani, ona już bezpiecznie w domu siedzi, a jakie zmartwienie było w swoim czasie, jak u pani zupełnie.

Któregoś dnia po prostu wyszłam z kiosku, spuściłam rolety i poszłam do domu, choć nie było nawet południa.



Od tamtej pory w kiosku siedział Grzesiek, siedział codziennie od siódmej do osiemnastej i starał się nie myśleć. A ja? Siedziałam w domu i dzwoniłam. Do gazet. Do radia. Do telewizji. Ogólnopolskich. Lokalnych. Że dziecko zaginęło. Że policja nic nie robi. Że proszę przyjechać i sprawdzić, że nic nie zrobili, a tu dziecko zaginęło, dobre dziecko, mój syn, świetny uczeń.

Ci z gazet się przejmowali, ci z telewizji mniej.

– Takich spraw jest dużo – mówili, jakby przez to, że jest dużo, każda była mniej ważna. Tłumaczyłam im, że nie można tak tego zostawiać. Że

zadbany, dopilnowany. Że żadna patologia. Że wszyscy mamy dzieci. Że przecież powinny być bezpieczne. Że jak rodzić i wychowywać, skoro dzieciak znika i nikt się tym nie przejmuje?

– Ale przecież, choć poszukiwania trwają, on się prawdopodobnie utopił – tak po paru dniach odpowiadali mi w tych gazetach, w tych radiach. – Przecież rzeka rwąca, a na brzegu leżała kurtka złożona w kostkę – dodawali, bo już zdążyli skontaktować się z policją.

Odpowiadałam, że nie, że wcale nie, że to niemożliwe. Niektórzy słuchali, inni przerywali mi w pół słowa. Im częściej dzwoniłam, tym krócej ze mną rozmawiali. No może kobiety dłużej. Dziennikarki, redaktorki. Może zresztą sekretarki, nie wiem. Wysłuchały, współczuły. Użaliły się. Panowie szybko się irytowali. Powtarzali:

– Policja ma swoją wersję wypadków i wolelibyśmy się jej trzymać, proszę pani.

– Ma swoją wersję, ale nie ma do tego żadnych podstaw. Żadnych, proszę pana, oprócz tej kurtki złożonej w kostkę na brzegu.

Ścisnęłam słuchawkę w dłoni, ale nic więcej nie udawało mi się z niej wycisnąć, więc szłam do kuchni i gotowałam dla pięciu osób, bo nie zgadzałam się na gotowanie dla czterech, czyli nas trojga i teściowej. Zatem po trzy ziemniaki na głowę, po jednym kotlecie, po dwie łyżki surówki. Kiedy Szymon wróci, będzie miał wszystko świeże.

Gdy obiad był gotowy – pięć kotletów na patelni, piętnaście ziemniaków w garnku, starta marchewka w misce, skropiona cytryną, żeby nie ściemniała, jabłko dotrę na koniec – zajmowałam się sprzątaniem pokoju chłopców, żeby wszystko było gotowe na powrót Szymona. Przenosiłam rzeczy z jego połowy, układałam na połowie Piotrka, poprawiałam sznurek tak zawsze ważny dla Szymona. Wygladzałam jego pościel, składałam w kostkę piżamę i chowałam pod poduszką. Kładłam się na chwilę i wtulałam twarz w jego poduszkę, ale zaraz zmuszałam się do wstania i krzątałam się dalej, nie było czasu. Przecież trzeba mamusię ubrać, uczesać, nakarmić bułeczką bez skórki, białym serkiem, duszonym jabłkiem, kawą zbożową. Poza tym czuwałam przy oknie, słuchałam, czy nie dzwoni telefon, gapiłam się na

każdą sylwetkę, która pojawiała się na tych naszych błotach.

– Czy kapitalistyczna Polska wybuduje wreszcie kiedyś sensowne chodniki na osiedlach, czy już zawsze będziemy się potykać i ślizgać, gdy tylko spadnie trochę deszczu? – pytał Grzesiek, kiedy jeszcze zwracaliśmy uwagę na takie rzeczy.

Serce mi drgało, gdy ktoś sprężynował w kolanach tak jak Szymon, i wpatrywałam się w niego, aż wreszcie zaczynałam rozumieć, że nie, to nie on. Babcia łąziła za mną wte i wewte. „Będziesz płakać” było ostatnio jej ulubionym zdaniem. Jej na złość nie płakałam.

Grzesiek wracał z kiosku po osiemnastej. Zawsze przynosił gazety, a ja zaglądałam do nich, bo czasem było coś o Szymonie dzięki tym moim telefonom. Najpierw pisali, że zginął. Potem, że szukał go nurek i pies. A jeszcze później, że nie ma nic nowego w sprawie zaginionego Szymona Lubertowicza, ale policja nad tym pracuje. Denerwowałam się, bo jednego dnia pisali, że w momencie zaginięcia Szymon miał lat piętnaście, a drugiego – że czternaście. A przecież brakowało mu niecałych trzech miesięcy do piętnastych urodzin. Tak trudno to policzyć? A nawet gdyby było trudno, to w gazetach powinno się zamieszczać prawdę. Zaokrąglali? Nie powinni, proszę pani. Zaokrąglanie w przypadku żywego człowieka, człowieka w ogóle, jest uwłaczające. „Uwłaczające” to dobre słowo. Mocne. Znam wiele słów. Dużo czytam. Pani zobaczy, teraz też, wszystkie krzyżówki rozwiązane. Szymon też taki był. Znaczy nie że krzyżówki. Słowa. Lubił trudniejsze słowa. Jak „równonoc”.

Więc pisali o Szymonie i przy okazji wspominali o Nataschy Kampusch, która zniknęła bez śladu w Wiedniu drugiego marca. Podobno porwał ją ktoś w drodze do szkoły, wciągnął do białej furgonetki, widziała to jej koleżanka z drugiej strony ulicy. A potem nic, cisza. Co to za świat, w którym giną dzieci? Niech pani powie. Co to za świat, w którym ludzie znikają bez śladu i nikt nie umie nic z tym zrobić?

Ale po ośmiu dniach, w poniedziałek, po drugiej niedzieli bez Szymona, kiedy wieczorem zajrzałam do gazet przyniesionych przez Grześka, nie znalazłam niczego, choćby informacji, że nie ma nic nowego w sprawie

mojego syna. Nawet na trzeciej, nawet na piątej stronie, nawet małym druczkiem. Jakby do tego, że dziecko zniknęło bez śladu, można się było przyzwyczaić po ośmiu dniach.

Wtedy narzuciłam kurtkę i wyszłam z domu, bez siatki, bez pieniędzy, nie mówiąc nic Grześkowi ani Piotrkowi. Do teściowej i tak nie było sensu mówić, bo nic by nie usłyszała przez to swoje „Będziesz płakać”. Nie miałam siły udawać, że idę po coś. Po prostu wyszłam. Nogi same poniosły mnie nad rzekę. Minęło osiem dni – nie mogłam w to uwierzyć. Od ośmiu dni nie wiedziałam, gdzie jest mój starszy syn. Ani z kim. Ani kiedy wróci.

I nagle nad tą cholerną rzeką – woda płynęła brudnawa, skłębiona – coś sobie uświadomiłam. Kurtka złożona w kostkę? Przecież Szymon nigdy nie składał ubrań. Mieszkał ze mną czternaście lat i ponad dziewięć miesięcy, odjąwszy dwa obozy po dwa tygodnie i siedem wycieczek szkolnych, każda po trzy dni. Przez ten czas nigdy nie złożył wieczorem swoich ubrań. Nigdy. Więc dlaczego teraz, po pijaku czy na trzeźwo, składałby nagle kurtkę nad rzeką? Nie, on tego nie zrobił. Ani żaden z jego kumpli. Idę o zakład.

Na komendzie siedział ten sam przyszczaty, za młody, z rzadkim wąsikiem. Aż się skulił za pulpitem, kiedy mnie zobaczył. Jedyne skutki moich wizyt tutaj: mieli mnie dość.

– Niech pan posłucha. Szymon by mi tego nie zrobił. Nie wyjechałby z Miasteczka bez słowa, bo wiedział, że bym się martwiła. Nie kąpałby się w marcu w lodowatej wodzie, przy minus dwóch, bo nie był idiotą. Nie piłby piwa, bo nie lubił, u nas w domu nikt nie pije. Nie złożyłby kurtki w kostkę, bo nigdy tego w domu nie robił. I wiadomo, że bez kurtki nie łąpałby stopa, boby zmarzł. Czyli nie uciekł z domu. Ktoś inny musiał złożyć tę kurtkę, rozumie pan? I nie był to jego kolega, bo żaden smarkacz w tym wieku nie składa ubrań, prawda?

Policjant nawet na mnie nie patrzył.

– Ma pan syna? Niech mi pan powie: Złożył kiedyś swoje ubranie?

– Nie.

– No widzi pan.

– Nie mam syna.

– No dobrze. A pan jako dziecko składał ubrania? Niech pan sobie przypomni. Nie składał pan, prawda?

Odczekałam, aż kiwnie głową. Kiwnął.

– No to niech pan posłucha. Szymonowi ktoś specjalnie tę kurtkę ściągnął i ułożył ją nad wodą. Ktoś chciał upozorować, że mój syn wszedł do rzeki. Ale tak naprawdę ktoś go gdzieś wywiózł, rozumie pan? Mojego syna ktoś porwał, wsadził do samochodu na tym parkingu, gdzie się psu tropurwał.

– Pani tak wierzy psu?

A komu miałam wierzyć? Jemu?

– Myślałam, że policjanci po to mają psy, żeby pomagały.

– Żeby pomagały, tak. Ale nie po to, żeby wierzyć im na sto procent. Niech mi pani powie: Kto miałby wywieźć chłopaka? I po co?

– Pedofilów nie brakuje. A mój syn to śliczny chłopiec, ma pan przecież zdjęcie. Przystojny. Jest bardzo przystojny. Poszłicie w ogóle tym tropem?

– Prowadzimy czynności, idziemy różnymi tropami. Pani się uspokoi, wróci do domu, do rodziny, i pozwoli nam zająć się sprawą.

Jakby się nią zajmował, gdy weszłam. Ale co, miałam płakać? Krzyczeć na niego? A mało się tu już nakrzyczałam? Wyszłam.

Wróciłam do domu i zmusiłam się, żeby pogadać z Grześkiem.

– Możesz mieć rację. – Zmartwił się strasznie. – Możesz mieć rację z tym pedofilem. Szymon mógł wpaść komuś w oko. No bo, pamiętasz, włosów nie chciał ściąć i wyglądał jak baba.

– Nie mów tak. Nie wolno o nim źle mówić.

– Tylko o zmarłych źle nie wolno.

Umilkł. Ja też nic nie mówiłam. Czekałam, aż te słowa odejdą w ciszy. Choć były nieprawdziwe, bo gdyby Szymonowi coś się stało, przecież bym poczuła. Na pewno bym poczuła.

Poza tym mój syn wcale nie wygląda jak baba. Jest przystojny, choć jesz-

cze niezbyt wysoki, niższy nawet ode mnie. Ale urośnie, jak jego ojciec. Na razie czasem łamie mu się głos i pod nosem ma cień ciemnego meszku. Oczy ma ogromne, brązowe. Kości policzkowe duże. Twarz pociągłą. Szczupły jest. No i te włosy – nigdy nie lubi ich krótko obcinać, woli odgarniać, gdy mu wpadają do oczu. Albo chować się za nimi, kiedy chce być sam. Gdy chodzi, sprężynuje w kolanach. Kiedy się śmieje, to na całego.

Niech się znajdzie – powtarzałam. – Niech się znajdzie. Panie Boże, niech mój syn się znajdzie. Słyszysz mnie, Panie Boże? Czy jesteś jak ci policjanci?



Oglądali się ludzie za mną na ulicy, na szczęście nie wszyscy i nie zawsze. Miasteczko ma przecież dziesięć tysięcy mieszkańców, nie wszyscy wiedzieli, kim jestem, a właściwie, co się wydarzyło w moim życiu. Czy to, co się wydarzyło, mówi, kim jestem? Czasem się nad tym zastanawiam. W każdym razie wielu ludzi z Miasteczka wiedziało teraz, kim jestem, bardzo wielu. Pokazywali mnie sobie. Patrzyli na mnie, szeptali, komentowali. Już nie byłam Agnieszką Lubertowicz. Teraz byłam przede wszystkim mamą tego Szymona, co zaginął.

Wiele osób przestało mi się kłaniać – udawali, że mnie nie dostrzegają, nie znają, już widząc mnie z daleka, przechodzili na drugą stronę ulicy. Jedna pani, z którą znałam się z wywiadówek chłopców w podstawówce i z którą zawsze zamieniłam parę słów o dzieciach, na mój widok odwróciła się i trochę ukradkiem przeżegnała, a potem odeszła szybkim krokiem. Nie, raczej nie chciała mi zrobić przykrości, po prostu bała się o siebie, o swoich. I wtedy zrozumiałam, że tak naprawdę całe miasto się nas boi, boi się rodziny Lubertowiczów.

Dlaczego? – pyta pani. Jeśli się namyślić, wydaje się to całkiem proste. My przecież byliśmy żywym dowodem na to, jak krucha jest normalność. Nasza normalność, ich normalność. Skoro nasza tak szybko się potrzaskała, to ich codzienność też była zagrożona. Dlatego woleli do nas nie podchodzić. Nie rozmawiać. Na wszelki wypadek, gdyby tragedia mogła zarażać.

Ale rozumiałam to, naprawdę. Bo jeszcze niedawno, kiedy patrzyłam na naszych synów, towarzyszyła mi duma, że są ze mnie i z Grześka, tacy piękni, rośli, grzeczni. Teraz z dumy został ogryzek, nie było się już czym chwalić. Jej miejsce zajął strach. No bo jak tu się nie bać, jeśli to wszystko jest takie strasznie nietrwałe?

Poza tym ludzie źle o nas mówili. Jak to? – pyta pani. A normalnie – ze złością, z przyganą taką. Zaraz pani wytłumaczę. Wszyscy ciągle starali się sobie udowodnić, że my, Lubertowicze, jesteśmy inni. Gorszi. I że to właśnie dlatego spotkało nas nieszczęście. Podejrzewali, byli prawie pewni, że u nas coś nie działało tak, jak powinno. Inaczej przecież nie zaginęłoby nam dziecko. Nie uciekłoby czy tam się nie utopiło. Zresztą według nich wszystko jedno – grunt, że zniknęło, bo coś z nami albo coś z Szymonem było nie tak. A u nich wszystko działało, jak trzeba, więc byli bezpieczni. Ich dzieci były bezpieczne. Nie to, co u nas, bo w końcu Szymon pił, nie tylko wtedy nad rzeką. Tak plotkowali, popatrując na mnie z daleka. Czternaście lat miał, a pił nad rzeką, w nocy, z kolegami. Pił, więc może miał zły przykład w domu. Albo znieczulał się, bo mu źle było w domu. A może miał od czego uciekać, może bał się wracać nietrzeźwy. „No żeby dziecko się matki bało, wyobraża sobie pani?! To co się dziwić, proszę pani, co się dziwić”. Tak sobie ludzie powtarzali.

Wiedziałam, że zupełnie nie mają racji. Nikt u nas nie pił – najwyżej kieliszeczek nalewki przy okazji, wódka od wielkiego dzwonu. Nasza rodzina była normalna i kochająca się. Dzieci nie miały powodu się nas bać. Rozmawialiśmy ze sobą o wszystkim. Zawsze wiedziałam, gdzie są moi synowie. Wszystko mi mówili. Aż do teraz.

Ale nie zaprzeczałam, nie broniłam się. Niech sobie myślą, co chcą. Niech będą pewni, że ich to nie dotyczy. Niech na mój widok przechodzą na drugą stronę ulicy. Niech robią ukradkiem znak krzyża. Niech czują się bezpiecznie w swojej normalności. Ja najlepiej wiedziałam, jak bardzo to wszystko jest niepewne.



Matka Sebastiana już nie chciała wpuszczać mnie do domu.

– Syn powiedział pani wszystko, co wiedział. Pani da dziecku spokój. On się pani boi. – Nie ruszyła się z progu.

– Mnie powiedział? Mnie? A policji?

– Nie było tu żadnej policji, chyba pani żartuje.

Mama Kamila westchnęła i pozwoliła mi wejść, ale schowała się w kuchni i już nie wyszła, jakby się bała zarazić ode mnie nieszczęściem. A Kamil nie patrzył mi w oczy, nie usiadł nawet, stał tylko przy drzwiach i ciągle powtarzał:

– Rozstaliśmy się z nim na rynku. Bo my szliśmy na dyskotekę. On nie chciał. Już mówiłem.

– Na jakim rynku? Przedtem mówiłeś, że nad rzeką.

– No albo nad rzeką. Nie pamiętam. Ja już naprawdę nic nie pamiętam.

– A policji co powiedziałeś? Nad rzeką czy na rynku?

– Jakiej policji?

I w ten sposób dowiedziałam się, że policjanci nie przejęli się zaginięciem mojego syna nawet na tyle, żeby wypytać jego kolegów, ostatnie osoby, które go widziały. Pomyślałaby pani? W żadnym z filmów kryminalnych, które czasem oglądałam, coś takiego nie byłoby możliwe. Tam nie tak robiło się śledztwa. Tam się rozmawiało z każdym, kto mógł coś wiedzieć. Ale tu było Miasteczko, nie Ameryka.

– Nie sugeruj się filmami. Policja wie, co robi. Mają procedury.

Grzesiek w to wierzył, naprawdę. Ja już nie wierzyłam w nic, nawet w siebie nie za bardzo. A w policję już dawno nie. To też ludzie. Leniwi. Omylni. Zajęci czym innym.

– Policja srycja. Policja srycja. Policja srycja.

Tym razem zgadzałam się z teściową.



Krzesło Szymona ciągle stało w kuchni, nic na nim nie kładliśmy, jak kto

miał torbę, sweter czy marynarkę, wieszał na pozostałych. Grzesiek i Piotrek omijali je wzrokiem i obchodzili łukiem, jakby miało im podstawić nogę. A ja wpatrywałam się w nie całymi kwadransami. I ciągle mi się coś przypominało.

Że Szymon uwielbiał zabawę w chowanego. Kiedy wracałam z zakupów albo z kiosku, często słyszałam jego zduszony chichot z szafy lub spod łóżka „Szukaj mnie!”. Więc teraz może też miał to być jakiś żart, jakies „Szukaj mnie!”?

Że aż się rozpląkał, a przecież duży był już z niego chłopak, kiedy Garri Kasparow przegrał w szachy z komputerem. „Mamo, ale wiesz, tyle lat ćwiczył, a tu nagle okazało się, że jest głupszy niż jakaś tam maszyna. Wiesz, jak musiało mu być przykro?”

Że tęsknił. Ciągle za czymś. Pamiętałam jego płacze z dzieciństwa, rozpacz, że nie może być kimś innym, niż jest. Miał pewnie z pięć lat, gdy przez wiele godzin płakał, że nie urodził się w rodzinie królewskiej. Szlochał, że gdybyśmy byli królem i królową, on mógłby być królewiczem, a tak już się tego nie odwróci. Śmialiśmy się najpierw z Grześkiem z tego, że chciałby być królewiczem, aż się zarykiwaliśmy, że ma takie zabawne zmartwienia, ale on nie przestawał płakać i patrzył na nas, jakbyśmy go zdradzili. I to podwójnie, bo nie dość, że nie jesteśmy rodziną królewską, to jeszcze go wyśmiewamy. Gdy to zrozumiałam, przestałam chichotać i szturchnęłam Grześka w bok. Też umilkł, a ja przytuliłam Szymonka. Miał całą buzię mokrą, drżał i łkał mi w sweter.

– Dlaczego inni tak, a ja nie? Dlaczego innym dano, a mi nie? Dlaczego nigdy nie będę? – powtarzał w kółko.

Może to były inne słowa, bo miał przecież wtedy pięć lat, ale właśnie o to mu chodziło. O tęsknotę za innym życiem.

Takie rzeczy sobie przypominałam, kiedy patrzyłam na puste krzesło. Może ta tęsknota gdzieś go pognała? Tak, nad tym też się czasem zastanawiałam. Że może świat go zawołał.

Ksiądz katecheta kazał się dzieciom w klasie Piotrka modlić za Szymona.

– Ale o zbawienie czy o znalezienie?

Piotrek nie umiał powiedzieć.



ZAGINIONY SZYMON LUBERTOWICZ

Data zaginięcia: 21.03.1998

Wiek w dniu zaginięcia: 14 lat

Wzrost: 150 cm (w dniu zaginięcia)

Kolor oczu: piwne

Włosy: ciemny blond

Znaki szczególne: wypełnienie zębów: 6 lewa dolna amalgamatem, obie 1 górne wypełnione evicrolem.

Ostatnie znane miejsce pobytu: Miasteczko, woj. zachodniopomorskie, POLSKA

Dodatkowe informacje: W dniu zaginięcia ubrany był w koszulę w czerwono-czarne pasy, dżinsy, niebieski podkoszulek, jasne slipy, jasne skarpety i adidas firmy Nike.

z ogłoszeń organizacji Missing Zaginieni

FAZA DRUGA

KOŃCE ŚWIATA

1 marca 1999

TATA DARKA

TO BYŁ BARDZO ZIMNY MARZEC. Nie bałem się o jabłonki – wszystko wytrzymały, stare gatunki tak mają, bo niejedno przeżyły. Martwiłem się o orzechy włoskie. Miałem na nich kiedyś całkiem spory zarobek, ale od dwóch lat niestety nic, marzły, właśnie w marcu. No bo w przyrodzie od dwóch lat wszystko było na odwrót. W lutym, dziwnie ciepłym, drzewa się budziły, ożywały za wcześnie, żeby w marcu z mrozu czernieć. Gałązki potem łamały się w dłoniach jak chrust. Korę miały czarną, liści niewiele. Znowu mogę zapomnieć o zarobku na orzechach – pomyślałem tego ranka. – Może zresztą tak ma teraz być, wszystko na odwrót, może trzeba się przyzwyczaić do nowego: ciepły styczeń i luty, mróz w marcu i kwietniu. Wiek się kończy dwudziesty, tysiąclecie się kończy, może wszystko już będzie inaczej, jeśli w ogóle jeszcze coś będzie. Tak pomyślałem i nagle zrobiło mi się nieprzyjemnie.

Mroźno było, kiedy wstawałem nad ranem. Zaraz poszedłem rozpalić – dobrze, że jeszcze drewna z zimy zostało, bo węgiel już wypaliliśmy cały, a nie dokupywałem, marzec przecież. Żona rano nie miała tej sprawności, tłukła się po domu, wszystko robiła dłużej, szczapki i zapałki jej z rąk leciały, więc wysypać popiół, nanieść drewna i rozpalić wolałem sam. Żona zresztą młodsza ode mnie sporo, a kiedy się jest młodszym, chce się rano spać dłużej – pamiętałem to jeszcze. Tylko że mnie już czas się skracał. Więc napaliłem, zobaczyłem przez okno, że mróz, że jezioro zamrożone, pomyślałem o orzechach, pożałowałem straconego zarobku. Obudziłem żonę. Tyle lat już nam razem minęło, całe piętnaście, a ciągle miałem przyjemność i z tego, że ktoś śpi w moim łóżku, i z tego, że mam kogo nazywać moją żoną.

A potem poszedłem budzić syna. Stałem w progu i patrzyłem na niego. Spał zakopany w kołdrę jak kret, tylko mu te włosy było ciemne widać, skrawek twarzy, długie rzęsy. Stałem i patrzyłem. W końcu potrząsnąłem za ramię.

– Wstawaj, synek. Mamy nowy dzień. I nowy tydzień. Poniedziałek, trze-

ba go dobrze zacząć.

Żona dała mu na śniadanie płatki z mlekiem. Ja wtedy robiłem obrządek: krowa, kury, kaczki. Normalnie – słomy podsypać, siana nałożyć, wydoić krowę. Zimą kury mało niosą, ale dwa jajka znalazłem. Wystawiłem mleko w bańce na ławkę za płot, zaraz będzie jechał samochód z mleczarni. A potem stanąłem w progu, zapaliłem papierosa i omiotłem wzrokiem podwórze. Kury już łąziły, kaczki jeszcze nie. Pies podrzemywał, krowa zadowolona stała w obórce. Obok domu ten dół, gdzie żona w końcu postawiła donice z kwiatami, teraz suchymi, oszronionymi, białymi takimi. Zzieleniałe pustaki trochę dalej, wspomnienie naszych planów rozbudowy. Może trzeba je sprzedać – pomyślałem jak co dzień i zgasilem papierosa.

Kiedy wszedłem do kuchni, byli już po śniadaniu. Na mnie czekała kawa w szklance. Dolałem sobie mleka, łyknąłem. Dobra, ciepła. Żona zapakowała synowi kanapkę do plecaka, a ja kazałem mu się ciepło ubrać, bo znowu mróz. Ubrał się, właśnie czapkę zakładał, gdy nagle mu się przypomniało, że czegoś tam nie zrobił do szkoły, więc rozpakował plecak, usiadł przy stole w kuchni i zaczął szybko kończyć. Tylko że Darek niczego nie umiał robić szybko, więc już na ten pierwszy autobus do Letniska nie zdążył. Tak bardzo zawsze chciałem mieć syna, żeby przejął gospodarkę, ale kiedy patrzyłem na Darka, bałem się, że nie da rady nic po mnie przejąć.

O dziesiątej wyszedł wreszcie z domu. Nie chciał. „Jaki sens teraz, tatu-siu, tak późno? – mówił. – Lekcje już w połowie, jutro pójdę”. Ale pomyślałem, że lepiej, żeby pojechał do szkoły na którąś tam lekcję niż w ogóle. Gdyby mu pozwolić, wcale by do szkoły nie poszedł, a tak nie może być, niech skorzysta choć trochę. Tak wtedy myślałem.

Nie spieszył się specjalnie. Widziałem z progu, bo znowu zapaliłem. Szedł powoli drogą w tej swojej grubej niebieskiej bluzie z żółtymi i niebieskimi literami i rozglądał się, aż zawołałem za nim: „Nie guzdraj się tak, melepeto!”. Ale pewnie i tak nie usłyszał. Do autobusu miał niecały kilometr między polami, potem chwilkę w lesie, tam rozstaje i już szosa, kawałek wzdłuż i przystanek. Stamtąd siedem kilometrów do Letniska. No dobrze, nie przystanek, tylko sam słupek i oberwany rozkład jazdy. Ale po co

komu rozkład, kiedy wszyscy znaleźmy autobusy na pamięć? Żona może najmniej, bo rzadko jeździła, ale zawsze mogła mnie spytać. Widziałem więc, jak dotarł do lasu, niebieska bluza zniknęła między drzewami. I więcej już jej nie zobaczyłem.

Nie byłby to pierwszy raz, kiedy nasz syn się zawieruszył po drodze i nie dotarł do szkoły. Ja też tak miałem jako chłopak. Dochodziłem do leśnych rozstajów i stawałem, żeby się zastanowić: na przystanek i do szkoły czy nad jezioro? Często, kiedy było ciepło, wybierałem jezioro. Ale tamten marzec był mroźny. Już to mówiłem, prawda?

Więc Darek doszedł do rozstajów. Wisi tam kapliczka na sośnie. U nas wszędzie na rozstajach mamy kapliczki. Dlaczego? Naprawdę pani nie wie? Bo na rozstaju dróg człowiek musi wybierać, w którą stronę iść, i potrzebuje zrozumienia, a łatwiej o nie, kiedy się przeżegna. Dlatego nie lubię miejsc, gdzie trzeba wybrać w prawo czy w lewo, a nawet krzyża nie ma. Darek doszedł do rozstajów i może też się przeżegnał, może też się zastanawiał: na przystanek czy nad jezioro?

Do dziś nie wiem, co wybrał.



Przedtem często myślałem, że nasz syn pojawił się na świecie cudem. Teraz czasem mi się wydaje, że może w ogóle go nie powinno być. Że może w ogóle nie był pisany. Sobie. Nam.

Po raz pierwszy zacząłem przeczuwać, że nigdy nie będę miał syna, gdy skończyłem dwadzieścia lat. Dlaczego? Pani widzi, jaka tu wioska, nie za bogato. Stu ludzi mieszka, może nawet nie. Turyści ciągną raczej do Letniska, tam są ośrodki, kwatery, bary. Tam są sklep i szkoła. Kobiety też tam ciągną, albo jeszcze dalej, do większego miasta, do Szczecina, do Koszalina. Ja to rozumiem – u nas na wsi ciężka praca, a pieniędzy z niej niewiele. Wszystkie dziewczyny, koleżanki ze szkoły, od razu powyjeżdżały, gdzie tam która mogła, a te trzy, co zostały, wyszły za mąż za bogatszych niż ja gospodarzy. Nie zanosilo się więc na to, że znajdę sobie żonę. Ale też mi

się nie spieszyło. Mieliśmy trochę ziemi, choć nie aż tyle, żeby z tego żyć, to tatuś gospodarował, a ja jeździłem do Letniska i dorabiałem w magazynie, codziennie od siódmej do piętnastej. Wielu nas takich było, kawalerów. Spotykaliśmy się rano na przystanku, tak, na tym samym, z którego Darek miał pojechać pierwszego marca do szkoły. Ale przecież wtedy jeszcze nie wiedziałem, że będzie Darek. Stawałem tam z kolegami, wypalaliśmy po fajce i wsiadaliśmy do autobusu.

W soboty o świcie chodziliśmy z kolegami na ryby. A w niedzielę jeździliśmy do Letniska, ale nie na ryby, tylko żeby oglądać letniczki na plaży nad jeziorem. Kładliśmy się niedaleko i patrzyliśmy, jak rozwiązują staniki, kiedy już przewrócą się na brzuch, a potem tak sprytnie z powrotem zawiązują, że nic nie widać. Witek Panek mówił, że z dwiema letniczkami spał. Ja zaś nie miałem śmiałości do żadnej zagadać. One też nas nie zaczepiały, zerkały tylko i czasem chichotały, gdy skakaliśmy z pomostu. Piliśmy tam piwo i graliśmy w karty, co roku starsi. Do domu wracałem dopiero wieczorem, czerwony od słońca, oczadziały od piwa i oszołomiony widokami.

Marzena mieszkała kilka wiosek dalej, co tydzień widywałem ją w kościele. Dobiła już trzydziestki, mało mówiła i niezbyt składnie, ale miała dobre oczy, szczery uśmiech, a jak mnie zaprosili na obiad, to zauważyłem, że robi gęste, dobre zupy. Uwielbiała się kochać, robiliśmy to wiele razy przed ślubem – tak chciała, prosiła nawet. Ale przecież po zaręczynach to nie grzech, prawda? Ludzie mówili, że Marzena jest po szkole specjalnej, ale nie była. Nie wiem, dlaczego tak gadali. Zresztą gdyby nawet była, to co z tego? I tak dobrze się dogadywaliśmy. A ja przecież nie byłem ani specjalnie bogaty, ani specjalnie przystojny, ani specjalnie młody, już dobrze po czterdziestce. W sam raz dla takiej dziewczyny jak ona.

Nie będzie nam źle w tym małżeństwie – myślałem wtedy. – Człowiek nie jest stworzony do tego, żeby był sam. Ani ja, ani ona nie byliśmy do tego stworzeni. I pobraliśmy się.

Kochałem się z nią co wieczór. Lubiała to, ale musiała mieć poduszkę pod plecami. Ja też lubiłem się kochać, tylko czasem mi się mniej chciało, ale wtedy myślałem: Trzeba. Postaraj się, Roman, niech ma kto po tobie odzie-

dziczyć gospodarkę. Za każdym razem myślałem: Trzeba, Roman, i żeby tylko to był syn.

Poza tym miałem pomysły, dostałem takiej energii po ślubie. Myślałem nawet dom remontować, zainwestować w jakiś pokój do wynajęcia. Tu u nas dużo jezior, więc turyści się zjeżdżają – no może bardziej do Letniska niż do nas, tam są ośrodki, u nas tylko jeziora. Ale my byśmy mieli taniej. I lepiej byśmy dawali jeść, na przykład te gęste zupy mojej żony. I pierogi. Pokazywałbym też letnikom, jak i gdzie ryby łowić, łódkę bym wypożyczał. No i ładnie u nas jest, przecież zaraz za pół kilometra zaczyna się park krajobrazowy. Więc nawieźliśmy pustaków na tę dobudówkę dla letników, zaczęliśmy z Witkiem Pankiem kopać dół na fundament i zdążyliśmy nawet opić budowę, kiedy okazało się, że Marzena jest w ciąży.

Lekarz mówił, że ma nie rodzić. Miała chory kręgosłup, to był drugi znak od Pana Boga, że dzieci mi nie są pisane. Nie, nikt nie mówił o usuwaniu, u nas lekarze porządni, wierzący, ale żona przez ten kręgosłup całą ciężę leżała w szpitalu. Ciągłe krwawiła i już myślałem, że dzieciaka nie będzie. Lekarze też tak myśleli. To był trzeci znak od Pana Boga, że Darka ma nie być.

Nie miałem wtedy głowy do stawiania dobudówki, dół pod fundamenty się osypał, pustaki zaczęły porastać na zielono. Gotowałem kurę, jechałem do szpitala, trzymałem Marzenę za rękę, dawałem kurę i rosół do picia i się martwiłem. Mamusia już wtedy nie żyła ani tatuś, więc byłem sam w tym domu nad jeziorem. Wieczorem wracałem, smażyłem sobie jajka, paliłem papierosy i bałem się, że nic z tego dziecka nie będzie.

Coś się pokomplikowało przy porodzie i wyszło, że Marzena więcej nie urodzi. Tak powiedział lekarz. Może to i lepiej, bo przez ten jej kręgosłup znowu by musiała miesiącami leżeć w szpitalu. Ale po co miała rodzić? Przecież mieliśmy już syna. Darek był taki ładny, że żona się nim chwaliła na porodówce innym paniom, pielęgniarkom, lekarzom. Bo Darek daliśmy mu na imię. Darek, bo był darem, którego żadne z nas się nie spodziewało. Już mówiłem, że przecież miało go nie być. Taki był śliczny: niebieskie oczka, cera śniada jak u Marzeny, ciemny taki. Znaczący mówiąc „ciemny”,

wcale nie myślę „głupi”. On nie był głupi, tylko taki jakiś... Melepet, może tak powiem. Melepet. Znaczący nie radził sobie dobrze w życiu.

– Jeszcze urośnie, jeszcze się wszystkiego nauczy – mówiła Marzena, wpatrzona w niego jak w obrazek.

Córka sąsiadki, choć młodsza, prowadziła Darka do szkoły. Nie kochał nauki. Nie wiem sam, co kochał. Najbardziej to chyba w tym ubranku białym stać i do mszy służyć. Wszyscy na niego patrzyli, tak ładnie wyglądał w tych koronkach. Przy ołtarzu robił minę aniołka. „Chłopakowi nie przystoi robić takich min, nie jesteś baba” – mówiłem. Ale i tak robił ten ciupek taki.

„Niech zmądrzeje – prosiłem Pana Boga. – Niech zmądrzeje, jeśli ma ciągnąć gospodarkę”. Ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że Pan Bóg ma inne plany co do niego, mnie, Marzeny i naszej gospodarki.

Więc pierwszego marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku był poniedziałek. Darek wyszedł wreszcie z domu o dziesiątej, do szkoły miał dojechać na czwartą lekcję.

Wtedy go widziałem po raz ostatni.

Po południu zajrzała do nas córka sąsiadki. Spytała, czy Darek znowu został w domu, i dodała, że nie powinien, bo i tak marnie mu idzie z nauką. I tak się z Marzeną dowiedzieliśmy, że nasz syn nie dotarł do szkoły. Do domu też nie wrócił do wieczora. Na noc zostawiłem światło w kuchni. Nie pokazał się.

Witek Panek powiedział mi na drugi dzień, że widział Darka, jak wsiadał do samochodu niedaleko przystanku, tego w stronę szkoły. Jaki samochód, co, jak, kto za kierownicą – tego Witek Panek nie pamiętał.

Jaki samochód? – zastanawialiśmy się z Marzeną.

Może Darek spóźnił się na autobus i chciał jechać do szkoły okazją? A zawsze mu mówiłem, żeby nie jeździł z nieznajomymi, bo to niebezpieczne.

– Trzeźwy byłeś, jak go widziałeś? – spytałem Witka Panka.

– Trzeźwy jak dziecko! – Uderzył się w pierś, aż zadudniło.

No więc tak wychodziło, że jakiś nieznajomy kierowca gdzieś nam wywiózł dziecko. Nie letnik, bo był dopiero marzec, letnicy jeszcze nie najechali. Chodziłem i pytałem, czy kto widział, czy kto zna tego kierowcę. Ale kto o dziesiątej chodzi przy szosie? Ludzie w pracy, dzieciaki w szkole, kobiety w domu obiad gotują. Nikt nie widział Darka, nikt nie widział tego samochodu. Poszliśmy do kościoła i daliśmy z Marzeną na mszę, żeby się znalazł nasz syn. Nie żałowaliśmy, daliśmy co łaska całe trzysta złotych. A ja potem, jak już wyszliśmy na dwór, jeszcze po cichu wróciłem do kancelarii i dorzuciłem stówkę. Nigdy na Darka nie żałowałem.

Kiedy policjanci pojechali wypytać Witka Panka tak dokładniej, gdzie widział Darka w poniedziałek po dziesiątej rano, to powiedział, że go widział, jak chodził po lodzie, po jeziorze. Ślizgał się. I ani słowa o szosie ani o tym samochodzie. Policjantom też się zaklinał, że był trzeźwy jak dziecko i że dobrze pamięta. Po tamtym przestałem z Witkiem gadać – nie podobało mi się, że nie jest poważny i każdemu mówi co innego. A sprawa była bardzo poważna: zaginął nasz jedyny syn.

Potem policjanci zajechali do nas i powiedzieli, że według świadków Darek najprawdopodobniej utonął. Że tu tyle osób tonie co roku. I że Darek też. Chodził po jeziorze, ślizgał się, lód się załamał i po chłopaku. Tak mi tłumaczyli.

Lód? Darek w życiu by nie wszedł w marcu na lód – chciałem im powiedzieć. A nawet gdyby wszedł, to wiedział, jak rozpoznać mocny lód. Akurat na jeziorze znał się dobrze, całe życie tu mieszkał, jak ja. Zresztą byłem pewien, że lód na jeziorze stał w poniedziałek i wtorek niepokruszony, przy brzegu bielszy, ale bez dziur, w których mógłby się zmieścić mój chłopak. Ale tacy policjanci pewnie wiedzą, co mówią. Inaczej by nie mówili, prawda, proszę pani?



W 1999 roku utonąło 828 osób, z tego 537 wypadków zdarzyło się na wsi. W jeziorach utonąło 215 osób. Z powodu załamania się lodu utopiło się 14 osób. Z dzieci między 15 a 18 rokiem życia utonąło tamtego roku 76.

ze statystyk Policji



Kiedy policjanci powiedzieli mi, że Darek utonął, lód zaczynał już topnieć, jezioro trzaskało. Powiedzieli, że zimą ciało wypływa jakoś po miesiącu, a ten marzec to jak zima prawie, więc raczej nie wcześniej. Pierwszego kwietnia lodu już na jeziorze nie było, więc stanąłem w oknie i patrzyłem. Napaliłem w piecu i patrzyłem, zrobiłem obrządek i patrzyłem, zjadłem obiad i patrzyłem, paliłem papierosa i patrzyłem. Nic. Ciało się nie pokazywało. Pytałem policjantów dlaczego. „Zaplątał się w korzenie, zielsko jakieś na pewno przy dnie – mówili. – Znajdziemy w mule kosteczki po latach. A bo to raz się tak zdarzyło, że po latach dopiero kości znaleźliśmy? Ileż to ciał znajduje się po dziesięciu, kilkunastu albo nigdy”.

Więc nawet dokończenia nie miała ta historia naszego jedyne dziecko. Nawet pogrzebu miało nie być, grobu, nic. Na Wszystkich Świętych nie miałem gdzie postawić pierworodnemu znicza, bo gdzie? Przy szosie? Na rozstajach? Na przystanku? Przy jeziorze?

Czasem żona, kiedy wracała ze sklepu, powtarzała, co jej tam kobiety mówiły. Że dzieciaka wcale nie ma w jeziorze, że na pewno go porwali i wycięli nerki, serce, wątrobę i płuca, że z dzieciaka szrot zrobili. Kiwałem głową, gdy o tym opowiadała, kiwałem głową, gdy mówiła, że to skandal, i pytała, dlaczego nikt się tym nie zajmie, nie ukróci. Potem mówiła, że zabrał go pedofil w samochodzie, a ja znowu kiwałem głową. Z Marzeną nie było co dyskutować, kiedy się uparła, ale wiedziałem, że takie gadanie nie ma sensu. I nie było chyba nawet prawdziwe, tak jak gadanie Witka Panka. Kiwałem więc głową, żeby jej nie denerwować, ale myślałem, że prawda jest gdzie indziej.

Bo prawda była taka, że Darka nigdy nie miało być na świecie – teraz to zrozumiałem. Syn nigdy nie był nam pisany. Miałem nigdy nie mieć żony, a Marzena miała nie zająć w ciążę, bo kręgosłup. Miała poronić, bo krwawiła. Miała nie urodzić. Darek pojawił się wbrew planom Pana Boga, bo tak bardzo się uparłem, karmiłem żonę kurą i rosółem i prosiłem ją, żeby wytrzymała w łóżku bez ruchu.

Wiedziałem, że ktokolwiek Darkowi coś zrobił, cokolwiek Darkowi się stało – Pan Bóg tak chciał. To się nazywa Opatrzność. Pan Bóg czasem daje nam rzeczy, których byśmy nie chcieli, albo odbiera te, których chcemy bardzo, ale potem, koniec końców, okazuje się, że jednak lepiej na tym wychodzimy. Bo taka jest miłość Pana Boga, mądrzejsza niż miłość człowieka. Nie wiem przecież, a Marzena to już na pewno nie wie, kim by został Darek, gdyby dorósł. A może, tak czasem myślałem, by mordercą jakim został? Podpalaczem? Może by oszalał i się powiesił, a na przykład ja bym go znalazł? Albo jego matka? Czy to nie byłoby jeszcze gorsze?

To wszystko są straszne rzeczy, których nie doczekaliśmy przez to, że Darek zniknął z życia, gdy miał piętnaście lat. Gdy jeszcze nawet nie zaczął mówić po męsku, bo głos mu dopiero zaczynał grubieć. Gdy poszedł do szkoły, bo mu kazałem, choć wcale tego dnia nie chciał.

Widzi pani, że siedzę tyłem do okna, żeby nie patrzeć? Tak naprawdę nienawidzę tego jeziora, a wiem, że patrzeć będę musiał na nie do śmierci. Bo właśnie tu tatuś zbudował dom, tu zmarł on i mamusia, tu się ożeniłem, tu zrobiłem dziecko, tu je wychowywałem. Tu pokazywałem synowi, gdzie biorą ryby, tu paliłem w piecu, żeby nie było mu zimno, tu żona gotowała mu gęste zupy. I tu siedzę z papierosem, tyłem do okna.

Marzena przestała mi powtarzać, co baby w sklepie mówiły. Odzywa się do mnie coraz rzadziej. Prawie wcale. Ale tak chyba lepiej, bo i o czym tu mówić?

Boję się patrzeć przez okno na jezioro, boję się też włączać telewizor, tyle w nim pokazują złych wiadomości. Wypadki, trzęsienia ziemi, wojny, porwania. Wszystko to mogło się przydarzyć mojemu synowi, jeśli wsiadł do tego samochodu i pojechał w świat. Wolę myśleć, że nie wsiadł, że to się stało bezboleśnie, chwila i już. Idę więc nad jezioro i mówię cicho, żeby Witek Panek nie usłyszał:

– Tu leżysz? Tu jesteś, Darek?

Bo teraz już wiem – nie było nam pisane mieć tego dzieciaka. Mieliśmy go piętnaście lat, na pożyczkę. Pan Bóg nam go odebrał, bo uważał, że tak będzie lepiej. Dla nas? Dla świata? Dla samego Darka? Jeden Pan Bóg wie

dla kogo.

I musimy się z Marzeną z tym pogodzić.



Komisariat Policji w Letnisku poszukuje zaginionego w dniu 1.03.1999 r.:

Dariusz Woźniak

s. Romana i Marzeny

ur. 04.07.1983

zam. Stara Wioska 28 gm. Letnisko

Rysopis zaginionego: wiek z wyglądu 15 lat, wzrost 167 cm, szczupła budowa ciała, włosy krótkie w kolorze ciemny blond.

Zaginiony ubrany był w niebieską bluzę z napisami w kolorze niebiesko-żółtym, czarne spodnie typu „wycieruch”, czarne trzewiki.

Znaki szczególne: brak.

Zaginiony w dniu 01.03.1999 r. około godziny 10.00 wyszedł z domu z zamiarem udania się do szkoły w Letnisku. Do chwili obecnej nie powrócił do miejsca zamieszkania ani nie nawiązał kontaktu z rodziną.

FAZA TRZECIA

PYTANIA

MAMA SZYMONA

KTÓREGOŚ DNIA DOSTAŁAM LIST. Niepodpisany, ale pismo na kopercie było chłopięce, kulfoniaste.

Otworzyłam kopertę, cała roztrzęsiona. W środku była kartka wyrwana z zeszytu.

Nie, to nie przypominało pisma Szymona.

„Musi pani wiedzieć, że Szymon Lubertowicz wachał klej. Dużo, bo lubił. Tamtej nocy też wachał. Może nie pił za wiele, ale nie był specjalnie przytomny po kleju. To ja myślę, że mógł się utopić”.

I tyle. Bez podpisu.

Klej? Jaki klej? Co to za bzdury? Mój Szymon nie robiłby takich głupot przecież, nie on. Żaden butapren, nie wierzę. Ale weszłam do pokoju chłopców i zaczęłam szukać, szafka po szafce, potem biurko. Majtki, koszulki, podręczniki. Wszystko było jak wtedy, gdy wyszedł z domu, jednak otarłam oczy rękawem i przeglądałam dalej. Byłam pewna, że nic nie znajdę, policja już tutaj szukała. Ale czy się przyłożyli?

Nie miałam pojęcia, co by się zmieniło w naszym życiu, gdybym w rzeczach Szymona znalazła butapren czy poklejone torebki. Pewnie nic. Poza myślą, że nie wiedziałam wszystkiego o swoim synu, że tego ostatniego wieczoru mógł robić rzeczy, o których nie miałam pojęcia, i że mógł je robić z ludźmi, których nie znałam.

I nie byłaby to pierwsza taka myśl. Bo tydzień czy dwa wcześniej zaczęła mnie w sklepie dziewczyna. Szczupła, nastoletnia, brązowe włosy do ramion, uroda niezapadająca w pamięć.

– Coś o nim wiadomo?

– O kim?

– O Szymonie – szepnęła, jakby wyznawała tajemnicę.

– Nie jesteś chyba z jego klasy?

– Rok niżej.

Kasjerki nadstawiały uszu.

– Wyjdziemy? – szepnęła znowu dziewczyna.

Jak ona sobie na lekcjach radzi, jeśli zawsze mówi tak cicho? Jak ona sobie w życiu poradzi, taka cicha i niewidzialna?

Wyszliśmy. Słońce raziło mnie w oczy, trochę łzawiłam.

– Ciągłe się zastanawiam, co się z nim stało. Gdzie jest. Taki fajny chłopak. Taki mądry.

– Coś was łączyło?

Błada skóra troszkę się zaróżowiła.

– Rozmawialiśmy. Dużo. Na przerwach. Naprawdę dużo. Nie mówił pani?

Pokręciłam głową. Nie, nigdy, przecież zapamiętałabym. Chyba zrobiło jej się przykro.

– Nic o nim nie wiadomo?

Znowu pokręciłam głową, bo „Nie” wydawało mi się zbyt definitywne.

– A ty coś wiesz? Co się mogło z nim stać?

– Nie wiem. Ale wiem, że nie zrobiłby nic głupiego.

– Jesteś pewna?

– On musi się znaleźć, proszę pani.

Patrzyła na mnie i miała łzy w oczach. Już nie wydawała mi się taka żadna. Wyglądała jak sarenka: wielkie oczy, cienkie nogi, cienkie włosy. Podołała ci się, Szymon? Lubieś ją?

– Ja już muszę iść.

Z tyłu znowu wydała się zwykła, prawie niewidoczna.

Wyglądałam jej potem na ulicy, w kościele, chciałam spytać, o czym rozmawiali na przerwach i czego głupiego nie zrobiłby Szymon. Ale nigdy już jej nie namierzyłam. Nienawidziłam siebie za to, że wtedy, pod sklepem, nie złapałam jej za rękaw, nie przytrzymałam, nie wypytałam, choćby nawet szeptem, nie dowiedziałam się więcej, nie poznałam prawdy o moim synu, jeśli była jakaś jedna prawda o nim.

Za to znowu przetrząsałam rzeczy Szymona, kiedy Piotrek był w szkole.

Przerzucałam wszystko w pokoju, który jakoś zgodnie przestaliśmy nazywać pokojem chłopców. Teraz mówiliśmy po prostu „tamten pokój” – nawet nie trzeba było machać w jego kierunku, bo wszyscy wiedzieli, który jest „tamten”. Wchodziłam i przepatrywałam wszystko, co zostało po Szymona stronie sznurka. Nie, nie znalazłam butaprenu. Ani torebek z klejem. Ani zdjęć dziewczyny-sarenki. W ogóle żadnych zdjęć poza tym ostatnim, klasowym, z pozaginanymi rogami, na którym Szymon kucał w pierwszym rzędzie, poważny, piękny, wpatrzony w obiektyw. Nie znalazłam też puszek po piwie ani papierosów. Nawet zapalek. Tylko zepsute tamagotchi z martwym ekranem, zakurzone, porysowane, porzucone w rogu szuflady. A tyle było jęków, że kup mi, kup. Oprócz tego trochę śmieci: papierki po batonach, opakowania po chipsach. Skąd ich tyle brał? Przecież do domu nie kupowałam. Z zeszytów, z podręczników czasem wypadały jakieś karteczki. Każdą podnosiłam z nadzieją, a odkładałam z rozczarowaniem. Na nich jakieś „odrobić matkę”, jakieś „pierdol się”, chyba od kolegi, bo nie Szymona charakter pisma. Na innych wyprężone penisy cieniowane pracowicie długopisem. „Matematyka liże fiuta wuefmenowi”. „Ksiądz Dominik to spała świnia”. „Maszyńska ma rudą”. Nie pasowało mi to do mojego syna.

„Nic nie rozumiesz z tych chłopców” – mówił wtedy Grzesiek.

I może rzeczywiście nie rozumiałam. Fiuty. Chipsy. „Pierdol się”. Matma. Okulary dorysowane na zdjęciach w podręcznikach. „Nudzisz, ty ciulu” na marginesie w ćwiczeniach z matematyki. Kasety z bazarku, wszystkie z niechlujnie odbitymi na ksero obwolutami, a na nich jakiś Coolio, jakiś Puff Daddy. Pierwszy raz widziałam te nazwiska... Imiona? Jedynie Elektryczne Gitary wydawały się bardziej swojskie. Tylko tyle w tym pokoju zostało po moim starszym synu.



Gdy rano weszłam do kuchni, od razu zobaczyłam, że przy stole czegoś brakuje. Pod oknem, tam, gdzie od lat widziałam krzesło Szymona, ziała dotkliwa pustka. Od kilkunastu lat coś tam stało – najpierw wysokie krzesło niemowlęce, po dwóch latach zwyczajne, jak reszta. A teraz puste

miejsce i trochę wytarte kafelki. Nie wierzyłam własnym oczom. Zaczęłam biegać po mieszkaniu, że kto zabrał Szymonowi krzesło.

Teściowa aż się skuliła w łóżku, gdy do niej wpadłam.

– Nie bij, nie bij, nie bij!

Jakbym ją kiedykolwiek uderzyła. Jakie wspomnienia i skąd krążyły po tej biednej głowie?

Krzesła jednak u teściowej nie było. Grzesiek? Grzesiek zabrał? Zaraz pobiegnę do niego do kiosku, wypytam, co mu do głowy strzeliło, gdzie wyniósł i czemu nic nie powiedział. Zaczęłam wkładać buty.

– To ja! – krzyknął Piotrek z tamtego pokoju. – Ja je zabrałem!

Wparowałam do niego. Tapczan Szymona był zawalony z czubkiem, ani skrawka materaca nie było widać. A na samym szczycie tego stosu, przykryte kocem, leżało na boku krzesło, to Szymonowe, spod okna w kuchni. Zrzuciłam koc, złapałam krzesło i dalejże je wynosić z pokoju.

– Mamuś, wariujesz.

– Dlaczego zabrałaś krzesło?!

– Kiedy Szymon wróci, odniosę.

Kiedy, nie jeśli. Nie wiem, czy tak myślał, ale przynajmniej tak powiedział.

– Mamuś, proszę.

– A co ci przeszkadza jego krzesło w kuchni?!

– Płakać mi się chce od tego. Bez przerwy na nie patrzysz. Nawet jak rozmawiasz ze mną. Chciałbym, żebyś patrzyła też na mnie.

– Przecież patrzę.

Złapał mnie za ramiona i odwrócił tyłem do siebie.

– To powiedz, jak jestem dzisiaj ubrany.

Ciemne spodnie? Jasna bluza? Chociaż umiałabym wyliczyć każdą rysę, każde zmatowienie śrubki, każde zaciągnięcie tapicerki na krześle Szymona, chociaż nadal w środku nocy potrafiłabym wyrecytować, jak był ubrany mój starszy syn w dniu zaginięcia – w koszulę w czerwono-czarne pasy,

dżinsy, niebieski podkoszulek, jasne slipy, jasne skarpety i adidas firmy Nike – to nie miałam pojęcia, jak dzisiaj ubrany jest Piotrek.

Pokręciłam głową i odwróciłam się. Granatowe dżinsy, szara bluza z kapturem. I poważna twarz bliska płaczu. Z wąsem, który zaczynał już mu się sypać.

Przytuliłam go.

– Może postawimy je w przedpokoju? To krzesło? – zaproponowałam.

Ale kiedy wzięłam się do odgrzewania obiadu, zobaczyłam, że Piotrek zdejmuje z haczyka klucze do piwnicy i wychodzi z mieszkania z krzesłem Szymona pod pachą. Nie protestowałam. Tak widać musiało być, jeśli mieliśmy przetrwać to wszystko.



Teściowa była w świetnej formie fizycznej, zupełnie jakby nasz niepokój ją napędzał. Odkąd zaginął Szymon, dreptała jeszcze szybciej, mówiła jeszcze głośniej i coraz trudniej było się wyłączyć, bo jej wyłączyć nie dawało się w ogóle.

– Życie to cierpienie. Życie to cierpienie. Życierpienie. Życierpienieży-cierpienieżycierpienie.

Takie było hasło na dzisiaj. Na wczoraj i przedwczoraj też.

Życie to cierpienie. Kiedyś zrozumiesz – powtarzała, gdy jeszcze była zdrowa i królowała w swoim domu, a ja ciągle uczyłam się królować w swoim, świeżo po ślubie.

Niczego prawie tam nie mieliśmy, ale tak mi wtedy było dobrze na świecie. Od rana do wieczora łąziłam uśmiechnięta jak pięciolatka. Mój mąż, mój dom, moja cięża, moje szczęście.

Nie uśmiechaj się do obcych ludzi, bo pomyślą, że jakaś nienormalna jesteś – pouczała mnie matka mojego męża.

Nie mów, że jesteś szczęśliwa, bo zapeszysz.

Mam nadzieję, że przynajmniej na obiad przyjdziecie, skoro już całkiem dla matki czasu nie macie.

Ech, życie, życie, znowu nie mogłam wykupić mięsa na kartki. Znowu trzeba do kolejki, znowu będę robić cuda, żeby było co na obiad podać. Człowiek je byle jak, zaraz chorować zacznie, na co nam przyszło w tej Polsce, na co.

Ale mam, pójdę do mięsnego i wykupię kartki, ciężarne mogą bez kolejki. Poza tym świat jest taki fajny, słońce takie piękne. Jestem w ciąży, bo bardzo chciałam, dziecko ślicznie rośnie, czuję, jak się rusza, najwięcej, kiedy chcę spać. Wtedy przypomina mi o sobie: „Tu, mam, tutaj jestem, cały czas z tobą”. Mąż przyniósł mi ogórki z warzywniaka, sam o tym pomyślał, dużo kopru, dużo czosnku, a ja akurat na takie miałam smaka. Kochamy się i nawet jeśli nie lubię obierać kartofli, to mogę się cieszyć, gdy już skończę to robić. Ze wszystkiego można się cieszyć. Nawet z mycia kibla. Że mam go czym myć. Nawet z tego pustego mieszkania. Że przynajmniej mało jest do sprzątnięcia.

– Też tak kiedyś myślałam – powtarzała teściowa tonem, w którym dźwięczało „Też byłam kiedyś taka głupia”. – Młoda jesteś, młoda i niedoświadczona. Kiedyś zrozumiesz, jak naprawdę wygląda życie. Teraz ci się wszystko udaje, to się cieszysz. I myślisz, że tak będzie zawsze. Lepiej się przygotuj na to, że nie będzie. Jeszcze zrozumiesz, że tak naprawdę nie ma się z czego cieszyć. Że nie ma mięsa, że choroba, że śmierć, że wszyscy z czasem odchodzą. Oby nie za wcześnie.

Popatrywała przy tym na Grześka, bo miała żal, że nie zamieszkaliśmy z nią, tylko przenieśliśmy się do tego pustego mieszkania po mojej babci, pustego, bo dalsza rodzina wszystkie meble zabrała, skoro mnie przypadło mieszkanie.

– Dlaczego, Grzesiu, tak bardzo chciałeś od matki uciec, że aż musisz jak pies spać na materacu na podłodze? – wzdychała teściowa.

Chodziliśmy do niej co niedziela na obiad. „Jedz, sześć godzin po to stałam. Jedz, w ciąży jesteś” – marudziła. Jej kolejne „O Jezu, Jezu” wędrowały w powietrzu, przypominając, że życie nam jeszcze udowodni, czym jest

naprawdę, o Jezu, Jezu.

Ale ja się buntowałam. Nie, nic nie mówiłam, nauczono mnie przecież nie kłócić się ze starszymi, byłam pociechą rodziców. Siedziałam więc cicho przy stole teściowej, jadłam bitki wołowe, chwaliłam, że dobre. Nawet ziemniaków nie dosalałam, żeby nie robić jej przykrości. Nie mówiłam, że skoro tak trudno dostać mięso na kartki, to można jeść naleśniki. Jednak starałam się udowodnić jej każdym dniem, że nie ma racji. Stawałam na głowie, żeby pokazać, że można być szczęśliwą, że ludzie mogą chcieć być z tobą, że wcale nie odchodzą, jeśli się choć trochę postarasz, że można razem się cieszyć, nie tylko narzekać. Reżyserowałam nasze życie, żeby wciśnięć teściowej w gardło te nieprawdziwe słowa: „Życie jest cierpieniem”. Nie jest cierpieniem, upierałam się. Życie nie jest tylko cierpieniem, upierałam się. We wszystkim można znaleźć radość, upierałam się. Upierałam się przy tym przez lata i nawet mi się udawało.

– Życie ci jeszcze nie dało w kość – wzdychała. – Oby nigdy nie dało – dodawała tonem „Nie uciekniesz przed tym”. – Oby nie – kończyła, jakby chciała powiedzieć „Obyś zrozumiała, że zawsze mam rację”.

Nie powiedziałam jej o tamtej ucieczce Szymona do Szczecina. Nie dowiedziała się też, że kiedyś okradli nam kiosk – zabroniłam Grześkowi o tym mówić. Nawet, że rura nam w łazience pękła, nie mówiłam. Byłam szczęśliwa, jej na złość. U nas w domu byliśmy wszyscy jak z pięknego obrazka. Lubiłam, gdy na nas patrzyła na tych obiadach, gdy wzdychała, świadoma, że jej westchnienia w ogóle nas nie dotyczą.

A potem przestała być świadoma czegokolwiek. Musieliśmy ją zainstalować u nas, w trzypokojowym mieszkaniu po mojej babci. Chłopcy więc zamieszkali razem, a teściowa w najmniejszym pokoju. Przez cały miesiąc się oswajała – nie umiała się odnaleźć w obcym miejscu, nie chciała wstawać, nawet oczu czasem nie chciała otwierać – ale kiedy już się oswoiła, nagle było jej w domu mnóstwo. Jej, jej dreptania, jej słów, jej westchnień.

O Jezu, Jezu. O Jezu, Jezu.

Święta Maryjo, Matko Boża.

Dzieci śmieci.

Coś się wydarzy.

Szymon. SzymonSzymonSzymon.

Będziesz płakać.

Życierpienieżycierpienieżycierpienie.

Zdarzało mi się na nią ostatnio pokrzykiwać: Zmień śpiewkę, mamó. Zamilcz wreszcie, mamó. Odpuść, mamó. Idź wreszcie spać, mamó. Dodawałam „mamó”, żeby złagodzić to „zamilcz”, ale czasem „mamó” też brzmiało wrogo, jak klaps.

– Nie wyrabiam nerwowo, Grzesiek. Ja już z nią nie mogę.

– I co, do placówki mam ją oddać? Wiesz, jak tam jest? Naprawdę mam ją oddać?

– Ja nie wiem, co masz zrobić. Mówię tylko, że już nie mogę.

Ale musiałam. Jak nie ja, to kto? Musiałam podnosić się z łóżka, gdy słyszałam wierzganie z jej pokoju, a gdy rozlegało się poranne mamrotanie, musiałam ją postawić na nogi, ubrać, nakarmić i puścić w ruch po mieszkaniu, bo inaczej robiła się nieznośna.

– Życierpienieżycierpienieżycierpienie.

Cieszyłam się tylko z jednego – że po zaginięciu Szymona nie była na tyle świadoma sytuacji, by skomentować:

– A nie mówiłam? A nie mówiłam? Aniemówiłamaniemówiłamaniemówiłam?

Tyle mojego zwycięstwa.



I tak minął nam pierwszy rok bez Szymona. Ale przecież wtedy jeszcze nie wiedziałam, że pierwszy, bo nie miałam pojęcia, że będą następne.

Wtedy nie wiedziałam nic o pozostałych zaginionych chłopcach z zachodniopomorskiego. Czy cokolwiek by to zmieniło, gdybym wiedziała? Często się nad tym zastanawiam. Nie wiem. Od równonocy w dziewięćdziesiątym ósmym przybyło w naszym życiu sytuacji, w których „Nie

wiem” było jedyną właściwą odpowiedzią.

Rozumie pani? Nie sędę. Trudno opowiadać o tym czasie komuś, kto tego nie przeżył.

Mam spróbować? No dobrze. To może na przykładach. Jak wypełnić zeznanie podatkowe? Dwoje mamy dzieci przecież, prawda? A może jednak jedno? Jak tę sprzeczność zawrzeć w rubryczkach?

Albo czy rozumie pani, jak bolą zwykłe, takie najzwyklejsze codzienne pytania? Na przykład takie:

- Ile pani ma dzieci?
- Czy Piotrek jest jedynakiem?
- Jak się pani czuje?
- Najmilsze wspomnienie w życiu?
- Po co znowu smażyysz pięć schabowych?
- Dlaczego kupujesz zielone Frugo, skoro nikt w domu go nie lubi?

W odpowiedzi na każde z tych pytań powinien się przewinać Szymon, a wymawianie jego imienia bolało.

- Frugo. Frugo. Frugofrugofrugo.

Czasem trudno mi było patrzeć na Piotrka, taki był chwilami do Szymona podobny w jakimś geście, w tonie głosu. Ale częściej nie mogłam patrzeć na męża. Dlaczego? – pyta pani. A kto zlekceważył moje lęki, gdy tamtej nocy martwiłam się, że Szymon się spóźnia? A przecież pierwsza godzina po zaginięciu jest najważniejsza, tyle się już od policjantów dowiedziałam. Więc kiedy można było jeszcze coś zrobić, Grzesiek musiał być mądrzejszy. Bo kobiety lubią przesadzać, a my, mężczyźni, wiemy, jak żyć i kiedy się przejmować.

Przyłapałam go na tym, że i on na mnie właściwie nie patrzy.

- O co ci chodzi? – Zaszłam mu raz drogę i od dołu spojrzałam w oczy.
- Nie, nic – migał się, ale wiedziałam, że coś jest na rzeczy.

W końcu wydusił, że gdybym tamtego ranka nie zachowywała się jak idiotka na policji, tak właśnie powiedział: „jak idiotka”, może od razu po-

traktowaliby zniknięcie Szymona poważnie, od razu zaczęli szukać, bo przecież wiadomo, że w takich wypadkach im szybciej, tym lepiej. Ale nie, dopiero on musiał pójść na komendę, dopiero on musiał to zgłosić jak należy, dopiero on sprawił, że potraktowali nas poważnie.

Zatkało mnie na tę niesprawiedliwość. Na to, że on naprawdę nic nie pojmuję. Słowa pojawiały się we mnie, ale eksplodowały, zanim doszły do ust. Aż mnie brzuch od tych niewypowiedzianych słów rozbolał, aż głowa zaczęła łupać od myśli drepczących wte i wewte jak mamusia po dużym pokaju.

Jakich myśli? A że moja wina. Grzeška wina. Moja wina. Grzeška wina. Moja wina. Grzeška wina. Trzeba było przecież wcześniej zacząć dzieciaka szukać, nikogo nie słuchać, tylko biec nad rzekę od razu, gdy Szymon się spóźnił, zaraz po dwudziestej drugiej. Albo jeszcze lepiej, trzeba było mu w ogóle nie pozwalać wychodzić z domu po ciemku. Trzeba było tamtego ranka stanąć na środku komendy powiatowej i powiedzieć, że nie wyjdę, póki z tym czegoś nie zrobią, póki go nie znajdą. Trzeba było wezwać więcej psów, więcej nurków, tłumy jasnowidzów i setki dziennikarzy śledczych. Tymczasem siedziało się w domu, płakało, rozmawiało z jego kolegami, dawało na mszę, dzwoniło do gazet i co trzy dni zaglądało na komendę. Wieszalo się plakaty, biegało po mieście i nad rzeką. Mało. Mało. Mało.

Moja wina. Grzeška wina. Moja wina. Grzeška wina. Moja wina. Grzeška wina.

Ale nic nie powiedziałam. Odwróciłam się od męża.

Coraz częściej wychodziłam z domu i nawet nie udawałam, że idę na zakupy. A on nie pytał, dlaczego tak długo mnie nie było. Już się nie tuliliśmy na kanapie przed telewizorem, zresztą nawet gdybym chciała i tak nie mogłam przysiąc na dłużej, bo przecież co chwila musiałam podchodzić do okna i sprawdzać, czy nie idzie ktoś, kto sprężynuje w kolanach. Grzesiek nadal szukał mnie dłońmi w łóżku, ale się odsuwałam. Odkąd Szymon zniknął, kochaliśmy się tylko raz. Znaczący próbowaliśmy się kochać, ale w końcu go odepchnęłam, wypchnęłam z siebie mojego męża. Nie można się kochać z bólu. Nie można z bólu kochać się z kimś, kto jest obcy i niesprawie-

dliwy. Więc teraz całymi godzinami Grzesiek leżał odwrócony do mnie plecami, udając, że śpi. A ja udawałam po mojej stronie przepaści.

No i przestaliśmy chodzić nad rzekę.

Do tej pory robiliśmy to całkiem często, zwłaszcza w maju, w naszą rocznicę. Stawaliśmy wtedy pod tamtą wierzbą, żeby wodzić palcami po śladach na korze. Grzesiek wyrył je nożem ukradzionym z kuchni matki, gdy byliśmy w ósmej klasie. Więc wodziliśmy po nich palcami, a potem się całowaliśmy, to był nasz małżeński rytuał.

Teraz wierzba z bliznami w kształcie AZ+GL=WM stała samotnie, bo rzeka kojarzyła nam się z jednym: złożoną w kostkę kurtką. Jeśli tam w ogóle chodziliśmy, to osobno. Wiedziałam, że Grzesiek wraca znad rzeki, kiedy miał rudą glinę na butach – zmiatałam ją potem w przedpokoju. Nie pytałam, a on nic nie mówił, tylko siadał na kanapie, włączał telewizor i milczał. Czekał, aż się dosiędę, ale wolałam stać przy oknie. Obok niego siadał Piotrek i też milczał. Tylko teściowa szurała i mamrotała:

– Życierpienieżycierpienieżycierpienie.



– Uwielbiam pierwszy dzień wiosny, a pani? – zagadnęła mnie na schodach cholerna Sawicka.

Ale przecież wiedziałam, że wcale nie chce być złośliwa. Minął rok, więc pewnie zapomniała. Dla niej dwudziesty pierwszy marca to był po prostu początek wiosny. Dla nas – rocznica końca prawie wszystkiego. Dwa tygodnie przed dwudziestym pierwszym marca i dwa tygodnie po żyliśmy w zdwojonym bólu, zdwojonym napięciu. Cholerna równonoc wiosenna. Podobnie obolali czuliśmy się przed jego urodzinami. I imieninami. Trochę mniej bolała Gwiazdka, bo wtedy we wszystkich rodzinach zostawia się przecież puste krzesło i nieużywane nakrycie. Tego jednego dnia byliśmy prawie jak wszyscy.

Co rano, naprawdę, czekałam, aż Szymon wejdzie do domu, trochę zmięty, trochę niewyspany, trochę śmierdzący. Teraz już pewnie nie pachniał jak

dzieciaczek. Już pewnie nie miał meszku pod nosem.

Ale nie wchodził.

Wyjęłam z szuflady plakat ze zdjęciem Szymona, ten, który kserowaliśmy i wieszaliśmy w całym Miasteczku, ten z komunikatem, że zaginął i że ktokolwiek wie. Tamte plakaty już dawno spłowiały i spłynęły strzępami ze ścian, ze słupów. Wieszalam je na nowo i znowu spływały, przez cały rok. Teraz dbałam już tylko, żeby wisiał ten jeden, ostatni, w poczekalni na dworcu kolejowym, pod dachem. Na wszelki wypadek. Na podtrzymanie nadziei. A nuż ktoś – tylu ludzi się po dworcu kręci, nie tylko miejscowi.

Szymon się znajdzie, bo wciąż żyje, byłam tego pewna. Przecież inaczej bym coś poczuła.



– Siódmy raz jest pani u nas w tym miesiącu. Siódmy raz. Minął rok, a pani ciągle do nas przychodzi. Proszę pani, to już jest nękanie.

– Ale ja...

– Czynności są w trakcie, jak już pani mówiłem dwa dni temu i w zeszłym tygodniu. Nie mamy też żadnych nowych danych. Gdybyśmy mieli, tobyśmy do pani zadzwonili. Skoro nie dzwoniemy, znaczy, że nie mamy nic nowego. Jak w tych warunkach można pracować? To nie jest nasza jedyna sprawa, naprawdę. I nie płacą nam za odpowiadanie na wciąż te same pytania.

– A co pan zrobił ostatnio w tej sprawie? No co? Robicie coś w ogóle?

Obrócił się do mnie bokiem, podniósł słuchawkę i dał znak, żebym już poszła. Żebym dała mu wreszcie spokój. Żebym odpuściła.

Przypomniałam się, więc mogłam już iść. Wiedziałam, że gdy tylko wyjdę, zaczną mówić same złe rzeczy: że nie umiem zrozumieć najprostszych spraw, że topielca nikt nie ożywi, że mają co robić, a nie tylko szukać Szymona, i że jestem rozhisteryzowaną matką w żałobie.

Ale przecież ja nie byłam w żałobie. Ja byłam w poszukiwaniu. Nic nie rozumieli.



Telefon zadzwonił o takiej godzinie, że nie miałam pojęcia, kto to może być. Więc od razu pomyślałam, że to Szymon. Zerwałam się z łóżka, pobiegłam, aż się potknęłam o własne kapcie i obijałam o framugę. Na zegarze była jedenasta wieczorem, niektórzy w Miasteczku pewnie już spali. W telefonie usłyszałam tylko ciszę i oddech. To musiał być on. Po ponad roku. Nareszcie!

– Szymon? Szymon!

Tylko oddech.

– Szymon, odezwij się!

Ale odezwał się tylko sygnał, gdy się rozłączył.

Popędziłam do sypialni, potrząsnęłam Grześkiem.

– Szymon dzwonił! Szymon!

Nie uwierzył. Pobiegł do telefonu, nie wiadomo po co, bo tam już słychać było jedynie sygnał. Dopytywał, co mówił i skąd wiem, że to był on. Zaraz też zadzwonił na policję – znudzony dyżurny słuchał mojego męża trochę uważniej niż mnie. Przyjęli od Grześka zgłoszenie. Może nawet wypełnili jakiś papierek.

Następna noc, dwudziesta trzecia dwadzieścia. Czekałam – nie wiem, na jakiej podstawie, bo we własne przeczucia już dawno przestałam wierzyć – tuż przy telefonie, na krześle w przedpokoju. Co z tego, skoro na dzwonek i tak podskoczyłam. Grzesiek rzucił się do aparatu i pierwszy podniósł słuchawkę do ucha, a ja przytuliłam się do niej od drugiej strony. Nie śmiałam się odezwać. Grzesiek też. Dopiero po chwili szepnęłam:

– Szymon?

Usłyszeliśmy dwa oddechy i jakiś głos, zupełnie niespodziewany, bo nieznanany:

– Szymona już nie ma. A ty przestań wreszcie grzebać w tej sprawie, dobrze ci radzę.

I znowu sygnał przerwanej rozmowy. Usiadłam ciężko na krześle przy

telefonie, który już milczał.

Zza drzwi swojego pokoju włączyła się teściowa:

– Szymon. Szymon. SzymonSzymonSzymon.

Zatkałam dłońmi uszy.

Grzesiek złapał mnie za ramiona i wyprowadził do dużego pokoju, do rozścielonej kanapy, byle dalej od tego „SzymonSzymonSzymon”, byle bliżej siebie, jakby nie było między nami tej przepaści, która rosła od roku.

– Kto to był? Poznałaś głos? Kim był ten facet?

– Jaki facet? To przecież była kobieta, starsza, zachrypnięta kobieta.

– Facet. Słyszałem męski głos. W czym mamy nie grzebać?

– Jak to w czym? W sprawie zaginięcia Szymona.

– No właśnie. Mówiłem ci. Po co tam ciągle chodzisz? Policja ma nas już dość. Jesteś na komendzie co drugi dzień. W końcu nie wytrzymali.

– Myślisz, że to policjanci dzwoniли?

– A kto? W końcu ich wkurzyłaś.

– Wcale nie chodzę na policję co drugi dzień. Chodzę dwa razy w tygodniu. Chcę, żeby coś robili. Żeby go szukali.

– No to może nie chcą, żebyś tam ciągle chodziła.

– To nie policja dzwoniła. Oszalałeś, Grzesiek? Myślisz, że nie mają co robić, tylko nas w nocy straszyć przez telefon?

– To kto?

– Ktoś, kto coś wie. O Szymonie. O nas. O tym, że ciągle go szukamy. I nie chce, żebyśmy to robili.



Od ponad roku nie mieliśmy nic nowego – tylko puste łóżko Szymona, puste miejsce po jego krześle w kuchni, puste milczenie między nami – więc nagle zaczęła mnie krzepić myśl, że jednak pojawiło się coś nowego, jakiś trop na tyle ważny, że ktoś nas straszy przez telefon. Coś nowego w sprawie, nawet jeśli nie miałam pojęcia co.

– Mamo, ty się uśmiechasz? – zdziwił się Piotrek przy śniadaniu.

Sama się dziwiłam.

A potem umalowałam oczy, pierwszy raz od ponad roku, i poszłam tą samą trasą, którą od ponad roku chodziłam przynajmniej dwa razy w tygodniu. Do komendy powiatowej.

Gdy weszłam, działo się to, co zwykle – spuszczała oczy, podnosili słuchawki telefonów, zagłębiali się w papierach. Wpatrywałam się w te uciekające pod biurka twarze. Jak dobrze już je znałam. Każdy nos, każde czoło, każde niechętnie usta.

– Dzwonią do nas. Straszą. Chyba coś wiedzą, bo po co by dzwonili?

Stałam przed biurkiem policjanta, a ten potakiwał. Tak, ten gruby zawsze potakiwał. A teraz nawet spytał, co mówili przez telefon, kto mówił i czy padły jakieś groźby karalne. I zapisał coś w notesie – czarne ceratowe okładki i obciamkany długopis. Dobry znak, pomyślałam, że akurat on ze mną rozmawia, z całej tej komendy powiatowej jego lubiłam najbardziej, choć on też już dawno nie prosił siadać, obawiając się, żebym za długo nie została.

Więc nie zostałam, miałam na co czekać w domu. Na wieczór, na telefon. Z którego może się czegoś dowiem, czegoś jeszcze.

Po *Wiadomościach*, po jakiejś komedii sensacyjnej i po *Kabarecie Olgi Lipińskiej* w powietrzu aż iskrzyło. Trudno było wysłać Piotrka do łóżka – czuł nasz stres, widział nasze spojrzenia na siebie, na telefon, na siebie, na telefon. Nosilo go.

– Brawo. Brawo. Brawo. – Bardzo entuzjastyczna dziś teściowa też nie miała zamiaru się położyć. – Brawobrawobrawo.

– Mamo, zabierz babcię. Chcę oglądać.

– Już nic dla ciebie w telewizji nie ma. Do łóżka, Piotrek.

– Ale jutro nie ma szkoooooły.

– Idźże spać wreszcie!

I wtedy rozległ się dzwonek telefonu. Zamarłam. Zerknęłam na zegar. Dwudziesta trzecia. Grzesiek był pierwszy przy aparacie, ja zaraz po nim.

Oboje przytknęliśmy uszy do słuchawki.

- Halo?
- Przemyślałaś to? Przestań drążyć w tej sprawie.
- Ale gdzie on jest? Powiedz, gdzie jest Szymon!
- Pomyśl o drugim synu. Jak nie przestaniesz, jemu też coś się stanie.
- Ale kto mówi? Proszę powiedzieć, kto mówi!

W odpowiedzi rozległ się przerywany sygnał. Siedziałam przytulona do słuchawki, sygnał pojękiwał mi w ucho. Grzesiek odsunął się, odwrócił ode mnie głowę. Piotrek siedział bezpieczny na kanapie. Chociaż jeden mój syn jest bezpieczny.

- Tato, kto dzwoni tak późno?
- Brawobrawobrawo.
- Co on powiedział? Przestań krążyć? – spytał Grzesiek.
- Ona. Przestań drążyć.
- To nie była kobieta.
- Była. Starsza. Trochę zachrypnięta.
- Mężczyzna. Na pewno mężczyzna.
- Brawobrawobrawo.
- Mamo, no powiesz, kto dzwonił?
- Nie wiem. Nie wiem, synku.
- A co mówił?
- Nie denerwuj się, to była pomyłka.
- To co jesteście tacy zdenerwowani?
- Brawobrawobrawo!

Nagle coś mnie zabolalo. Spojrzałam w dół: wbiłam sobie paznokcie w dłoń, do krwi. Zacisnęłam pięści, żeby żadne z nich tego nie zobaczyło.



Czwartego dnia od pierwszego telefonu, to była niedziela, modliliśmy się

po mszy, każde na kolanach. Bardzo długo. Ludzie już dawno wyszli, organista skończył, a my dalej klęczeliśmy w ławce, Grzesiek i ja.

Panie Boże, uratuj go. Uratuj go. Uratuj! – powtarzałam w duchu jak przez wszystkie ostatnie miesiące, teraz z nieco odzyskaną mocą i nadzieją.

Piotrek kręcił się niespokojnie po kościele, czekał, aż skończymy. Zasnął na mszę młodzieżową, nie obudziłam go, bo zawinięty w pościel i wciśnięty w poduszkę wyglądał tak słodko i bezpiecznie. Zresztą niech on lepiej na razie nigdzie nie chodzi sam, nawet do kościoła lepiej nie, po tych telefonach. Piotrek wybrał się więc na mszę z nami, a teraz kręcił się obok, gdy my klęczeliśmy i prosiliśmy, oboje o to samo. Może prośby wygłaszane na klęczkach przed ołtarzem są rozpatrywane przychylniej niż te wygłaszane na stojąco, na siedząco, w biegu, przed oknem, kuchnią, po kilkaset razy dziennie?

Kiedy wychodziliśmy z kościoła – Grzesiek z martwą, nieruchomą twarzą, ja z czerwonymi oczami, szukając chusteczki w torbie – podszedł do nas ksiądz. Zagadał w przedśionku, przedstawił się, że ksiądz Dominik, że uczył Szymona religii w ósmej klasie, że opiekował się nim podczas przygotowań do bierzmowania, że wspomniały chłopak, piękna dusza. Nie znałam tego katechety, nie bywał na szkolnych wywiadówkach, ale księża chyba nie muszą. Miły był, serdeczny, dobrze, że to właśnie on uczył mojego syna. Chusteczkę mi podał, wygrzebał całą paczkę w kieszeni sutanny, nie wiedziałam, że w sutannie w ogóle są kieszenie. Głupio mi było, że zauważył, jak łowię łyzy czubkiem palca, ale potem pomyślałam, że ksiądz powinien zauważać takie rzeczy. Tyle że gdy wytarłam oczy, zorientowałam się, że Piotrka już w kościele nie ma.

Ksiądz mówił, że się za Szymona modli, codziennie. I spytał, czy wiemy coś nowego o synu. A ja tylko ślepiłam przez uchylone drzwi kościoła, czy Piotrek stoi gdzieś na widoku.

– Nic nie wiemy – powiedział Grzesiek. – Niestety nic.

– Zostańcie z Bogiem. – Ksiądz zrobił nad nami znak krzyża.

Podsunęłam się do drzwi i wtedy zauważyłam Piotrka. Gadał z jakimiś młodziami, stał zgarbiony trochę. Był.

– Dobrze, że wy też się modlicie – dodał ksiądz Dominik. – Modlitwa ma wielką wartość w oczach Boga.

A ja, nawet nie czekając, aż zniknie w zakrystii, wyszłam z kościoła, poszłam do Piotrka i położyłam rękę na jego ciepłym ramieniu. Był.



Wieczorem, choć oboje z Grześkiem zaklinaliśmy wzrokiem telefon, choć czuwaliśmy do drugiej w nocy – nic. Nikt nie zadzwonił. Telefon milczał.

Pobiegłam do tamtego pokoju. Pachniało chłopięcym potem, oddechem. Piotrek, bezpieczny, posapywał na swoim tapczanie. Na tapczanie Szymona leżały jak zwykle stosy rzeczy jego brata. Powinnam je zdjąć, przełożyć, to ważne, żeby wszystko na niego czekało, kiedy wróci. Obróciłam się i wyszłam. Nie miałam siły.

W poniedziałek postanowiłam odprowadzić Piotrka do szkoły, niby że mam obok coś do załatwienia. Nawet się ucieszył, zawsze to jakaś odmiana. Potem nadszedł wtorek, a Piotrek już marudził, że nie chce z matką do szkoły chodzić i że chłopaki będą się śmiać. Ale nie mogłam go przecież puścić samego – ta kobieta, a może to był facet, przez telefon wyraźnie powiedziała, że nasz drugi syn też zniknie, jeśli nie przestaniemy grzebać w tej sprawie. W środę nie odprowadziłam Piotrka do szkoły, ale wymknęłam się za nim z domu, nie spuszczałam wzroku z jego pleców i powtarzałam sobie, w co jest ubrany, żeby w razie czego... I zaraz wyrzucałam to „w razie czego” z głowy. Szłam za nim i patrzyłam, tyle. Odstawiłam go bezpiecznie na lekcje. O czternastej, znowu zostawiwszy mamę samą w domu, pobiegłam pod szkołę, żeby czekać po drugiej stronie ulicy, gdy Piotrek będzie wracać do domu.

– Przestań, mamó. Przestań to robić. Chłopaki mówią, że wariujesz. Śmieją się, że jestem mamusi synek. Pytają, czy mi będziesz plecak nosić.

– Przecież wiesz, dlaczego to robię.

– Przestań, mamó. Nie chcę. Nie trzeba.

Następnego dnia robiłam wszystko, żeby nie pójść za nim. Obiecywałam

sobie, że najwyżej z okna popatrzę, stałam więc i patrzyłam z naszego drugiego piętra, jak idzie po bloku do szkoły. W ogóle nie sprężynował w kolanach, tylko włókł się i gapił w ziemię, zgięty pod ciężarem plecaka. Już zniknął za rogiem, więc szybko narzuciłam coś na siebie i pobiegłam za nim. Kryłam się za samochodami, ale nie spuszczałam go z oczu.

– Szuka pani czegoś? – zapytała Sawicka, która znienacka pojawiła się obok.

Zacząłam jej tłumaczyć, że coś tam, że nic, popatrując przy tym za Piotrkim, ale zdążył mi już zniknąć.

Nienawidziłam słowa „zniknąć”. Kiedy w końcu uwolniłam się od Sawickiej, pobiegłam do szkoły.

Wpadłam do sekretariatu.

– Jest mój Piotrek? Jest?

Sekretarka poszła sprawdzić. Sprowadziła go do gabinetu.

– Stało się coś, mam? Coś z tatą? – Piotrek był blady i szybko oddychał.

Sekretarka patrzyła na mnie z niepokojem.

Pokręciłam tylko głową i zaczęłam coś nieskładnie wyjaśniać.

Zdenerwowany Piotrek wrócił na lekcje, a sekretarka zaczęła mi tłumaczyć, żebym się nie martwiła tak strasznie, bo piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce. Los nie zabierze nam drugiego dziecka, to niemożliwe. Zaparzyła herbaty, głaskała mnie po ręce i opowiadała o tych piorunach, co to nigdy dwa razy.

– Piotrkowi nic się nie stanie. Niech pani mi uwierzy. Wystarczy już nie-szczęść na jedną rodzinę.

Dobrze mi było, bo głaskała mnie i pocieszała, a ja mogłam pić za słodką herbatę, której nie musiałam sama robić. Nie wierzyłam jej jednak w ogóle. Dlaczego? Bo to niestety bzdura z tymi piorunami, że nie uderzają dwa razy w jedno miejsce. Wiedziałam o tym, ale nie chciało mi się otwierać ust.

Nie powiedziałam, że poznaliśmy kiedyś z rodzicami na wczasach w Mielnie takiego dziwnego człowieka, w którego piorun uderzył trzy razy. Z jednej strony łysy i głuchy na jedno ucho od tych piorunów, mówił, że nie

ma głupszego powiedzonka. Bo w niego walnęło aż trzy razy. Trzy razy w tego samego człowieka, rozumie pani?

Tamtego dnia Piotrek wrócił ze szkoły wściekły. Nic nie mówił, stał bładny, z zaciśniętymi ustami i patrzył na mnie. Nie wiedziałam, co powiedzieć. A on rzucił plecak na podłogę, obrócił się na pięcie i ruszył przed siebie.

– Wychodzę. Będę, kiedy będę. I nie idź za mną! – krzyknął w progu i trzasnął drzwiami.

Usiadłam i patrzyłam na drzwi. Czekałam, aż wróci. Trzymałam się krzesła obiema dłońmi, żeby się nie zerwać i nie pobiec za nim. Powtarzałam sobie, w co jest ubrany, że ma trzysta lat i na razie żadnej plomby.

– Będę. Będę. Będę – mamrotała teściowa w przedpokoju.

– Tak, wiem, mamusiu. Jesteś i będziesz.

– Będębędębędę.

– Co się stało? – spytał Grzesiek, kiedy przyszedł na kolację. – Gdzie jest Piotrek?

– Zaraz wróci. – Ale nie miałam żadnej pewności. A raczej miałam w sobie samą niepewność. Miałam jednak również plan. Jeśli i Piotrek zniknie, pojedę do Szczecina, wybiorę jakiś blok i skoczę z dziesiątego piętra. Tak zrobię. Skończę ze sobą, a wtedy skończą się także ból i strach. Wiedziałam, że nie wytrzymam dwóch piorunów uderzających w jedną rodzinę.

– Cześć, tato. – Po jakiejś godzinie Piotrek stanął w drzwiach, ale ja nadal się trzęsłam. – Wiesz, co mama narobiła mi dziś w szkole?

Grzesiek wysłuchał opowieści Piotrka, po czym spojrzał na mnie z troską. Mogłeś tak na mnie patrzeć w marcu zeszłego roku – pomyślałam. – W marcu, kiedy martwiłam się, że Szymon spóźnia się do domu. Teraz na tę uważność trochę za późno.

– Agnieszko, musisz z tym skończyć.

Nie muszę, nic nie muszę – pomyślałam. – Poza tym, że muszę żyć, bo Piotrek i on, bo nie mogę im tego zrobić. Żadnych dziesięciopiętrowych bloków w Szczecinie, nie wolno mi.

– Musimy chronić Piotrka, on jeden nam został. Musimy o niego zadbać.

Nie widzisz, co się z nim dzieje? Szymona na razie nie ma. Piotrek jest.

Byłam mu wdzięczna za to „na razie”.

I nagle usłyszałam coś z tamtego pokoju. Poderwałam się i pobiegłam, bo straszne były te zduszone dźwięki. Na łóżku Szymona twarzą do poduszki leżał Piotrek i płakał. „Co się dzieje?” – powinnam spytać. Ale nie spytałam. Wiedziałam.

– Mamo, a może jego dałoby się sklonować? Jak tę owcę Dolly. Żeby jeden Szymon był gdzieś tam, gdzie chce, a drugi tutaj, z nami. Nauka przecież umie różne rzeczy, prawda?

„Myślisz, że on jest teraz tam, gdzie chce?” Ale nie wypowiedziałam tego zdania, nie chciałam dokładać Piotrkowi.

Usiadłam przy nim i położyłam dłoń na jego rozedrganych plecach.



Musiałam przestać chodzić na komendę. Nie dzwoniłam już do żadnych gazet. Jeden nam Piotrek przecież został. I ktoś mu groził przez telefon. Nie wolno mi było szukać jednego syna, bo musiałam chronić drugiego. Więc zajmowałam się tym bez przerwy. Chodziłam tak napięta, że wieczorami płakałam z bólu, taki miałam zeszywniały kark. Nie oddalałam się od okna, dopóki Piotrek nie wrócił ze szkoły. Wymyślałam cuda, żeby nie wychodził z domu. Denerwował się na mnie strasznie.

Musiałam go chronić, ale nie wolno mi było za nim chodzić. Musiałam nad nim czuwać, ale tak, żeby o tym nie wiedział. Musiałam patrzeć na niego, ale tylko wtedy, kiedy mi na to pozwalał. Musiałam go słuchać, ale nie wolno mi było mówić o Szymonie, bo Piotrek zaraz odchrząkiwał, zmieniał temat, opuszczał pokój. Widziałam, że unika rozmowy o starszym bracie, nie tylko o jego zniknięciu, ale o nim w ogóle, o całej naszej wspólnej przeszłości, jakby ją unieważnił i przysypał, tak jak przysypywał łóżko Szymona, jego połowę pokoju swoimi rzeczami.

Mogłabym dużo opowiadać o tym czasie, ale to nie ma sensu. Bo tego się nie da zrozumieć, jeśli się tego nie przeżyło. To trochę jak na wojnie: jedno

dziecko nie wiadomo gdzie, a człowiek nigdy nie wie, czy drugiemu też zaraz coś złego się nie stanie. Ale kto zrozumie te wojenne opowieści, jeśli sam tego nie zaznał?

– Minęło półtora roku, prawda? – spytała lekarka. – Najcięższa żałoba po stracie trwa około roku. Nie jest przez cały czas taka sama.

– Wiem, są różne fazy.

– Zaprzeczanie, gniew, negocjacje, depresja, akceptacja. Ale w tej chwili odchodzi się od nazywania tych faz. Po pierwsze, nie występują po sobie, więc właściwie nie powinno się ich nazywać fazami. Po drugie, nie wszystkie zawsze się pojawiają. Wiadomo w każdym razie, że powrót do równowagi psychicznej po tak wielkich życiowych wstrząsach trwa około trzech, nawet czterech lat. Teraz, po prawie dwóch latach, powinna być pani w połowie drogi do względnej równowagi.

– Tylko że ja, pani doktor, nie mam zamiaru być w żałobie, gdy nic nie wiadomo o moim synu.

– No właśnie. Strata w przypadku rodzin osób zaginionych jest bardzo trudna do przepracowania. Pani żyje na huśtawce między rozpaczą a nadzieją. To bardzo niszczące.

– A widzi pani inne wyjście?

– Ja wiem tylko, że trudno znowu zacząć żyć, nie zamknąwszy pewnego etapu.

– Nie będę nic zamykać. Czekam na Szymona. I będę czekać. Proszę mi tylko dać jakieś pastylki, żebym dała radę.

W domu próbowałam wypytać Grześka, czy i jemu by się jakieś leki na rozpacz nie przydały, ale zbył mnie, jak często ostatnio. Że jaka psychiatra, że nie jest wariatem, że radzi sobie, że lepsza siła charakteru niż łykanie tabletek, że w co ja go chcę zrobić. I uciekł przed telewizor, chociaż leciał właśnie *Klan*, w który jakoś nigdy się nie wciągnął, poza tym odcinek był już w połowie. Zaraz dosiadł się do niego Piotrek i razem patrzyli na tych Lubiczów, a teściowa z uporem wędrowała po pokoju.

– Wariatka. Wariatka. Wariatkawariatkawariatka.

Pastylki od psychiatry wykupiłam więc po kryjomu. Nie chciałam, żeby Grzesiek wiedział, bo i tak już czasem mówił do mnie tonem, jakim dotąd odzywał się tylko do swojej ześwirowanej matki. Życie stało się odrobinę łatwiejsze, bo gdy się rozdygotałam, łykałam błękitną pastylkę xanaxu. A niekiedy jeszcze jedną. Na spanie dostałam białe, dużo mniejsze pigułki. Były naprawdę magiczne, bo po piętnastu minutach od łyknięcia zapadałam nagle w czarną dziurę. Nie było w niej nic – ani mnie, ani snów, ani myśli o Szymonie. Czasem czułam ulgę z tego powodu, a czasem pojawiało się poczucie winy, że śpię, gdy dziecko zniknęło, że przez całe dziewięć godzin o nim nie myślę.

Na początku, gdy budziłam się po nocy na lekach, cały dzień chodziłam jak błędna. Chwilami wydawało mi się, że w ogóle się nie obudziłam, tylko ciągle łązę po omacku, jakby mnie kto zanurzył w budyniu. Ale to i tak było lepsze niż czas, gdy zdawało mi się, że w ogóle nie śpię. Zresztą ten budyń trochę znieczulał.

A potem przywykłam. Już wiedziałam, że po białej pigułce łatwo zasnąć, po błękitnej trochę łatwiej przetrwać dzień, mniej drżą głos i ręce, trochę mniej mnie podrywa z krzesła, żeby znowu podejść do okna i sprawdzić, czy jednak ktoś nie wraca do domu. Wszyscy wracali, tylko on jakoś ciągle nie.

Ale poza pastylkami najbardziej pomagało to, że wiedziałam jedno: Szymon żyje, jest gdzieś tam, może nawet daleko, może nawet bez pamięci, ale jest. Przecież bym poczuła, gdyby było inaczej. Na pewno bym poczuła.

– Nieprawda. Nieprawda. Nieprawdanieprawdanieprawda.

FAZA CZWARTA

PUDEŁKA

MAMA JĘDRZEJA

DZIWACZNE – POMYŚLAŁA KAŚKA, gdy Bożena pierwszy raz o tym wspomniała. – Idiotyzm. Durna zabawa. Ale przede wszystkim: Nie przystoi.

– Nie rozumiesz? – spytała Bożena. – Chodzi o szacunek. W ośrodku nie mieli dla chłopców szacunku. My mamy. I dlatego musimy to zrobić. Najlepiej, jak potrafimy.

I zaczęła wyjaśniać. Nie, „wyjaśniać” to niewłaściwe słowo, Bożena przecież nie mówiła, tylko pokrzykiwała, aż Kaśka musiała odsuwać słuchawkę od ucha. Więc Bożena pokrzykiwała, że tamci nie szanowali ich od początku. Bo co to jest, żeby nie pozwalać dzieciakowi dzwonić do domu?! Żeby nie pozwalać matce przyjeżdżać do dziecka?! Co to jest, żeby nie poinformować matki, że dziecko uciekło?! Że uciekło z ośrodka dwa miesiące temu! Co to jest, żeby zgłaszać ucieczkę na policję, a matce nie powiedzieć ani słowa?! Wszystko to, kurwa, brak szacunku, jakby to nie były dzieci, tylko problemy!

Trochę tak było, że problemy. Kaśka pamiętała swój telefon do Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego. Ten sprzed trzech lat.

– Skoro się tak wychowało syna, trzeba się liczyć z tym, że będą kłopoty. A my niestety nie naprawimy ich w pół roku – powiedział dyrektor, Kaśka zaś, czego tamten rzecz jasna nie widział, spuściła głowę. A potem pokornie przeprosiła, pokornie poprosiła, żeby nie przestawali szukać Jędrzeja, i pokornie odłożyła słuchawkę.

Tak, źle go wychowała, więc co się dziwić. Nie wiedziała, gdzie zawaliła, ale gdzieś na pewno. Bo Jędrzej udał się gorzej niż pozostałe dzieci. Za mało się pewnie starała, gdy co rano stała nad nim, zagrzebanym po uszy w pościeli, i krzyczała:

– Szkoła! Idziesz do szkoły! Spóźnisz się!

Obracał się na drugi bok i spał dalej.

Za mało się starała, gdy zrywała z niego kołdrę, gdy stawiała po trzy budziki nastawione co dziesięć minut, gdy umieszczała jedzenie blisko łóżka,

żeby budził go zapach smażonej kiełbasy. Nic. Bywało, że gdy wracała z pracy, jeszcze spał. Do czternastej potrafił spać. Do szesnastej nawet.

– Prześpisz życie – mówiła.

– Ale jakie ja mam piękne sny!

A potem, dzień czy dwa później, wstawał sam rano, bez proszenia szedł na lekcje, dostawał jakieś trójki czy czwórki, wracał do domu i mówił, że chodzenie na ósmą do szkoły jest nieludzkie.

– Ale jeśli się nie będziesz uczył, niedługo będziesz chodził na szóstą do fabryki.

– Wiem, mam, wiem. To ja jutro wstanę na czas.

Jednak następnego dnia znowu spał do oporu.

Co jeszcze miała zrobić? Zanieść go do tej szkoły?

– Nie możesz tak myśleć. Nie możesz tak myśleć o nim ani o sobie – odpowiadała jej Bożena. – Jest, jaki jest, i to nie twoja wina.

A czyja? Przecież jego ojca nigdy nie było na miejscu, całe wychowanie spoczywało na niej. No i nie wyszło, bo dziecko w ośrodku wychowawczym to porażka matki. Wiadomo, że nie ojca, skoro go w domu nie było – Kaśka zdawała sobie z tego sprawę. Czytała to w oczach nauczycieli Jędrzeja. Dyrektorki szkoły. Rodziny, bliższej i dalszej. Znajomych i sąsiadów. Wiedziała, co oni wszyscy mówią.

– Nie udało ci się wychować syna. Teraz go państwo wychowuje. Za nasze podatki. W tym poprawczaku.

– To nie poprawczak – tłumaczyła. – To Młodzieżowy Ośrodek Wychowawczy. I trafił tam za wagary. Wyłącznie za to, że czasem nie chodził do szkoły.

– Akurat. A kradzież? A ta kurtka, co ją ukradł w szóstej klasie?

– Raz mu się zdarzyło. Tylko raz przecież.

Zresztą było inaczej. Jędrzej niczego nie ukradł. On jedynie zabrał tę kurtkę, bo kolega, który zostawił ją w szatni, bił drugiego.

– Nie mogłeś mu powiedzieć, żeby przestał bić Przemka? – pytała wtedy

Kaśka.

– Mówiłem. Nie słuchał. Miałem stać i patrzeć, jak go tłucze?

– Panią mogłeś wezwać.

– A on przez ten czas by tłukł Przemka? No pomyśl, mamó. To wziąłem jego kurtkę i rzuciłem za płot. No i super, bo zaraz przestał bić Przemka. Ale podszedł do mnie i powiedział: „Oddawaj, złodzieju”. Więc musiałem mu przywalić, bo nie jestem żadnym złodziejem.

Prawda była taka, że Jędrzej, choć rogaty, pyskaty i prędko w rękach, czuły był i sprawiedliwy. Zawsze reagował, gdy komuś działo się coś złego.

W papierach jednak napisano i zostało tam na zawsze czarno na białym: „Jędrzej Zaręba ukradł koledze drogą kurtkę skórzaną, a potem pobił okradzionego”.

I tak na każdą prawdę zapisaną w pamięci Kaśki znajdowała się inna prawda zapisana w papierach. Jędrzejowi jakoś zawsze udawało się pojawić w odpowiednim miejscu i czasie, żeby wpaść w kłopoty. Ale kiedy tłumaczyła to ludziom, od razu widziała ich spojrzenia. „Głupia i naiwna” – czytała w ich oczach. W oczach nauczycieli. Dyrektorki szkoły. Rodziny, bliższej i dalszej. Znajomych i sąsiadów.

Jedna Bożena jej nie potępiała.

– Akurat jego wina! Akurat twoja! Pomyśl, dlaczego wagarował. Bo szkoła się nie postarała, żeby się mu chciało chodzić. Nuda. Rygory. Dali dupy.

Bożena lubiła ostre słowa, natomiast Kaśka do tej pory ich nie używała. I dzieciom też nie pozwalała. Nie jej świat. Zresztą w życiu by się z Bożeną nie zaprzyjaźniła, gdyby nie to wszystko. Pewnie nawet nie spytałaby jej o godzinę na ulicy. A teraz rozmawiały prawie codziennie. Przez telefon, bo za daleko od siebie mieszkały, żeby się widywać.

A dzisiaj, po trzech latach rozmów, wspólnych płaczów, gniewu na tych idiotów, drani i leni z ośrodka i z policji, stały obok siebie, dotykając się ramionami, żeby było raźniej w ciemnościach rozświetlonych tylko kilkoma świeczkami.

Kaśka myślała, że cała ta niby-uroczystość będzie groteskowa albo żenująca, ale była tylko potwornie smutna. Dwa nieduże dołki, dwa małe pudełka. Kaśka nie wiedziała, co Bożena wsadziła do swojego. W jej pudełku było zdjęcie syna i batonik Grzesiek, ten, który Jędrzej lubił najbardziej i o który prosił w listach z ośrodka. Znajdowało się tam też kilka włosów z jego grzebienia, żeby było coś z ciała, i koszulka. Nie była pewna, czy dać tę, którą lubił najbardziej i dlatego nosił rzadziej, bo oszczędzał, czy tę, którą nosił najczęściej. W końcu dała tę, którą lubił i oszczędzał, bo chyba była dla niego ważniejsza. No i był jeszcze skrawek listu od niego, tego ostatniego, starannie odcięty, ale bez żadnych słów, bo te wołała mieć przy sobie. Po prostu papier, którego dotykał. Nie wiedziała, czy może napisać na pudełku „Jędrzej”, ale kiedy spojrzała na pudełko Bożeny, oklejone kwiatami i listkami ze sreberka, ze zdjęciem, napisem „Kocham cię, synku, kochany Kamilu” i datami „12 listopada 1983–marzec 1999”, oparła się o najbliższy nagrobek, żeby napisać „Kocham cię. Odpoczywaj w spokoju. Kiedyś się zobaczymy”. Od środka, bo po co miał to ktoś czytać.

Rzuciły na te swoje pudełka po garści ziemi, położyły na wierzchu krzyżyki i zasypały, żeby nikt ich nie znalazł, nie wyśmiał, nie zabrał, nie zbezczeszczył. Dwie trzydziestoparatki bawiące się ziemią na cmentarzu.

Cmentarz wybrała Bożena. Był niedaleko jej domu, wiedziała, że na noc zamykają go tylko na skobel. Poza tym leżał z dala od innych zabudowań, a niedawno został powiększony o znaczny teren. Kaśka obejrzała z Bożeną wszystko za dnia i razem ustaliły miejsce między drzewem a płotem, na wszelki wypadek bliżej płotu, gdyby drzewo mieli kiedyś wyciąć. Miejsce wydawało się piękne, z widokiem na zagajnik i łąki za ogrodzeniem. Kaśka była wrażliwa na widoki. Jędrzej też.

– Może lepiej grób wykupić? – zastanawiała się.

Pewnie byłoby lepiej, ale żadna z nich nie miała na to pieniędzy.

Dziwaczne – myślała. – To, co robimy, jest wyjątkowo dziwaczne. Stała jednak nad ukrytym w ziemi pudełkiem i płakała jak na prawdziwym pogrzebie. Przytulały się z Bożeną, jakby zostały tylko we dwie na całej planecie, a księżyc chował się za mgłą. Bożena pachniała papierosami, mocno,

za mocno, ale Kaśce już nic nie przeszkadzało poza tym, co przeszkadzało jej najbardziej – brakiem starszego syna.

Postały, pomodliły się w ciszy. Kaśka się przeżegnała, po chwili wahania Bożena też.

- Trzeba było to zrobić.
- Dobrze, że to zrobiłyśmy.
- Innego pogrzebu nasze dzieci mieć nie będą.
- Raczej nie.

Kaśka wiedziała też, że nikomu tego nie powie, nigdy, bo spaliłaby się ze wstydu. Poszła wtedy spać do Bożeny, jej stary akurat miał nockę, więc chata była wolna. Rano wypili kawę, zjadły po kanapce z serem i Bożena ruszyła do pracy, a Kaśka na autobus. Milczały, nawet Bożena, ale czuły się mocniejsze niż poprzedniego dnia.

– Dziękuję – powiedziała Kaśka, gdy rozstawały się tam, gdzie skręcało się na dworzec.

Przytuliły się, jak nigdy nie tuliła się z siostrą. Zapach papierosów. Silny, jak cała Bożena.

Od tamtej pory było trochę inaczej. Trochę, bo Kaśka mogła wreszcie zacząć Jędrzeja opłakiwać.

Przedtem płacz był zdradą, bo należało się trzymać i szukać. Mieć nadzieję i walczyć. Dzwonić codziennie na policję i do ośrodka wychowawczego, które były za daleko, żeby tam bez przerwy jeździć. Pytać co, pytać jak, pytać kiedy. No i gdzie w końcu jest prawda. Czasem Kaśka padała po południu na łóżko i nie miała siły wstać. Dobrze, że Julia była w miarę samodzielna, że umiała ugotować sobie i Dawidowi, chociaż potem nie zmywała. Dobrze też, że Julia sama wstawiała do szkoły, jeszcze Dawida budziła i odprowadzała na lekcje. Więc o nich Kaśka nie musiała się martwić. O Jędrzeja tak. I była tym strasznie zmęczona.

Nie żyje. Trzeba się oswoić z tą straszną myślą.

Przypuszczalnie nie żyje.

Wszystko było „przypuszczalnie”.



Kaśka nie wiedziała, w co Jędrzej był ubrany, gdy zaginął. Ci z ośrodka jej nie powiedzieli. Nie byli nawet pewni, kiedy zaginął, co chwila mówili coś innego. Ona była pewna jednego: do ośrodka zadzwoniła trzydziestego marca, we wtorek po Niedzieli Palmowej, jakoś koło piętnastej, bo chciała tak trafić, żeby Jędrzej był już po szkole. Miała mu powiedzieć, że będzie u niego w święta, bo nie załatwiła przepustki, więc on nie przyjedzie do domu na jajeczko. Jajeczko, tak zawsze mówił. Jajeczko, nie Wielkanoc. Ale ona go odwiedzi. To właśnie chciała mu powiedzieć.

A oni, znaczy ta pani, co odebrała telefon, chyba sekretarka, od razu w te słowa:

– Jędrzej Zaręba nie może podejść do telefonu.

– Dlaczego?

– Ma karę.

– To kiedy mam dzwonić?

– Jutro.

Więc następnego dnia znowu zadzwoniła.

– Ale Jędrzeja Zaręby przecież nie ma.

– Dlaczego? Pojechał jednak do domu? Przecież to ja mam do niego jechać.

– Nie, proszę pani, na razie nie ma po co jechać. Nikt pani nie zawiadomił?

– Co się stało?!

– Proszę się nie denerwować. Jędrzej Zaręba uciekł z ośrodka.

– Kiedy?

– Wczoraj.

Może zresztą ta pani powiedziała „Wwwwczoraj”. Jakby się wahała.

W każdym razie Kaśka dowiedziała się, że ucieczka została zgłoszona na policję, że szukają chłopca i że pewnie zaraz się znajdzie.

– Dzieci na ucieczce zawsze się znajdują. Do tygodnia będzie na miejscu. Może nawet sam wróci. Tak się zawsze dzieje, proszę pani.

No i Kaśka siedziała, czekała, aż znajdą Jędrzeja, zastanawiała się, co takiego się działo w ośrodku, że musiał uciekać, czytała listy od niego, chociaż tam nic na ten temat nie było, piekła pasztet i sernik na Wielkanoc, a cały czas zachodziła w głowę, czy mimo tej ucieczki pozwolą Jędrzejowi się z nią zobaczyć, kiedy już wróci do ośrodka. Marzyła też, żeby mąż, który przez dwa ostatnie lata w ogóle się nie pokazał, przyjechał wreszcie na święta i wsparł ją choć trochę, a razem ustaliliby, co robić. Dzwoniła do niego, jednak numer, który miała, był nieaktualny.

W Wielki Piątek znów zatelefonowała do ośrodka.

– Cóż, proszę pani, myśmy się do tych jego ucieczek trochę przyzwyczaili. Przecież Jędrzej nie uciekł po raz pierwszy – powiedział dyrektor. – To bardzo zbuntowany chłopak.

– Jak to: nie uciekł po raz pierwszy? Nie wiedziałam! Dlaczego pan do mnie wtedy nie zadzwonił?

– Myśli pani, że za co syn miał te wszystkie kary? Nie pochwalił się pani? On już tak ma, nie usiedzi. Z domu też pewnie uciekał.

– Nie, z domu nie. Nigdy. Coście mu tam robili, że ciągle uciekał? – odważyła się wreszcie, ale może za cicho, bo dyrektor nie odpowiedział.

Dopiero po chwili milczenia zbeształ ją, że jak się ma źle wychowane dziecko, to należy się liczyć z wszelkimi problemami. I że bez hysterii – Jędrzej zaraz się znajdzie, jak poprzednio.

Teraz Kaśka już rozumiała, dlaczego syn tak rzadko do niej dzwonił. Miał kary. Tylko listy wolno mu było pisać.

I pisał. Jak nigdy. Co parę dni.

„Mamo, pisz więcej – prosił w każdym. – Mamo, niech Julia do mnie pisze, niech Dawid coś powie, a ty zapiszesz, dobrze? Mamo, a może jeszcze ktoś do mnie napisze?” Przecież w tych listach doskonale było widać, że Jędrzej nie zaadaptował się w ośrodku, chociaż zawsze na górze kartki widniało to samo ozdobne zdanie, pewnie wyuczone w szkole: „Na samym po-

czątku mojego listu serdecznie Was pozdrawiam i chciałbym Wam powiedzieć, że dobrze się czuję”.

Potem było już mniej ozdobnie.

„Mamo, przyjedź po mnie na jajeczko, bo ja tu nie chcę być na jajeczku. Przepraszam, że list dopiero wysłałem 5.03. Na tym kończę ten krótki list. Odpisz, mamo”.

Tęsknił. Zależało mu, żeby spędzić z nią tych kilka godzin, więc po co miał uciekać nie wiadomo dokąd? Kochał ich. Kochał ją. I to „mamo” co zdanie, co dwa, jakby chciał ją w ten sposób przywołać.

Święta były straszne. Kaśka powiedziała Julii i Dawidowi tyle, że Jędrzej nie dostał przepustki. Niech się nie martwią. Wystarczy, że ona płakała, kiedy spali. Nawet w nocy siedziała jak na szpilkach, czekając, że może Jędrzej zadzwoni do drzwi. Nic z tego. Do ośrodka zadzwoniła po Wielkanocy.

– Poszukiwania trwają, ale zastanawiamy się, czy chłopiec nie uciekł do Szwecji – powiedział dyrektor.

Do jakiej Szwecji? Jędrzej w życiu nie mówił o Szwecji. O Niemczech prędzej, bo tam kiedyś mieszkał jego tata. I o Holandii. Dlaczego miałyby uciekać do Szwecji? Bez sensu. Przecież dom rodzinny był dużo bliżej. Kaśka wiedziała jedno – źle, że pozwoliła Jędrzeja zabrać do ośrodka. Powinna walczyć zębami i pazurami, żeby został w domu. Powinna go schować, powinna z nim wyjechać, powinna go chronić przed policją, przed tymi urzędasami, co udawali, że chcą dobrze dla dzieci, a tak naprawdę chcieli mieć spokój, odfajkowane w papierach.

A przecież Jędrzej jakby coś przed wyjazdem przeczuwał. Mogła go wtedy posłuchać.

– Gdybyś do szkoły chodził, toby teraz tego nie było – powtarzała mu tylko, myśląc, że może wreszcie coś do niego dotrze.

Kiwał głową.

– Sam sobie jesteś winny.

Kiwał głową.

- Może oni będą umieli zapanować nad tobą.
- Mamo, ale ja nie chcę do ośrodka. Nie mogę przecież. Ja nic nie zrobiłem.
- Może tam wyjdiesz na ludzi.
- Ja już się poprawię. Tylko zostaw mnie w domu.
- Ile razy mi to obiecywałeś?
- Ale żeby do poprawczaka? Bo do szkoły nie poszedłem raz czy dwa?
- Masz osiemdziesiąt procent nieobecności.
- Nadrobię. Przecież wiesz, że nadrobię. Zawsze nadrabiam. Nie chcę do poprawczaka.
 - To nie poprawczak, synku. To ośrodek wychowawczy. Mieszkasz tam, a oni pilnują, żebyś skończył szkołę. Mnie się to nie udało. Może oni dadzą radę.
 - Mamo!
 - Wyjdiesz na ludzi, synku. Zmądrzejesz. Będzie dobrze – przekonywała jego i siebie.
- Miała go tam zawieźć, ale ciągle to odkładała. Prosił i namawiał, więc jeszcze na dzień zostawiała go w domu. Niech dojrzeje, niech zrozumie, przecież nie będzie go siłą ciągnąć do pociągu, bo to duży, mądry chłopak.
 - Telefon z ośrodka, jeden, drugi.
 - Jutro, jutro – odpowiadała. – Jutro na pewno będziemy.
 - Aż po miesiącu przyjechała po Jędrzeja policja z jakąś urzędniczką.
 - Pożegnaj się z mamą i z rodzeństwem, kolego, i zbieraj się – powiedzieli.
- Spakowany był od dawna, torba stała w przedpokoju, chociaż ciągle coś z niej wyjmował. Dorzuciła więc, co jej się wydawało potrzebne, jeszcze dwa Grześki na osłodę i zamknęła torbę.
 - Mamusiu, nie daj im mnie zabrać – płakał Jędrzej. O płacz zawsze było u niego łatwo.
 - Nie maź się, kolego. Już czas. – Policjant dotknął jego ramienia.

– Bądź dobry, synku. Nie wagaruj. Nie przynieś nam wstydu. Trzymaj się.

I Jędrzej wyszedł z domu, oglądając się na nią w drzwiach.

– Mamo, to jest jak szkoła z internatem – pocieszała ją córka. – Może on wreszcie zacznie chodzić na lekcje.

– Ale Jędrzej i tak wszystko umiał. Mówił, że mógłby zdać każdy egzamin już teraz, bez chodzenia.

– Nie wierz we wszystko, co on mówi – powiedziała Julia. – Prawda jest taka, że nie chodził do szkoły, prawie wcale. Poza tym była ta kradzież. I pobicie.

I znowu o tej kradzieży. Ale Kaśka nie miała siły tłumaczyć Julii, jak było naprawdę. Bo niby po co? Już się stało, zabrali dzieciaka.

Młodzieżowy Ośrodek Wychowawczy znajdował się daleko, w innym województwie, podobno po to, żeby Jędrzej nie chciał uciekać do domu. Choć kurator powiedziała, że to dla dobra dziecka, by je oddzielić od toksycznego środowiska. Czyli przypuszczalnie od matki.

Ale gdybym była taka toksyczna – myślała Kaśka – Dawid i Julia też by mi się nie udali. Tymczasem Julia zawsze czysta, wyprasowana, odrobiona. Dawid też, w szkole na ogół czwórki, prawie profesorek. Tylko Jędrzej... Najładniejszy z nich, chociaż nigdy im tego nie mówiła. I najbardziej nieznośny, gorzej niż pięciolatek. Tak czasem powtarzała, żeby mu wejść na ambicję. Ale nie pomagało.

Po wyjeździe Jędrzeja jego zdjęcie ustawiła na meblościance. Przed wyjściem do pracy zawsze przecierała je chusteczką jednorazową. Jędrzej miał na nim tę swoją minę „bez kija nie podchodź”. Kaśka wiedziała, że to pozory. Ale niektóre pozory świadczą o nas bardzo źle. Jędrzej zawsze miał taką minę, kiedy mu coś kazali. Jak na przykład ten fotograf z tym swoim „Stójże, chłopcze, nieruchomo”.

Taką samą minę miał jego ojciec na ich zdjęciu ślubnym. Stał chwilę u boku Kaśki, wytrzymał dwa ujęcia, a potem zawisł na framudze drzwi i bujał się, mówiąc, żeby go złapała za nogi, to będzie ciekawsze zdjęcie.

Nie złapała – wstydziła się fotografa. Czekala więc w tej idiotycznej białej sukni, aż mąż znowu stanie przy niej i zacznie grzecznie pozować. A przecież gdyby wtedy zgodziła się złapać go za nogi i poszaleć, może dłużej zostałyby w domu. Robert jednak zniknął, gdy Julia miała dwa miesiące. Jednego dnia kołysał córeczkę w ramionach i opowiadał, przytulając usta do małej główki, jakie życie będzie dla niej piękne, drugiego zaś stał w drzwiach z torbą, gładząc, że tu szaro, smutno i komuniści, a gdzie indziej zarobiłby na nich wszystkich i szkoda nie skorzystać, gdy może wyjechać. Parę dni później zatelefonował z Niemiec, ale Kaśka chyba źle zapisała numer, bo kiedy potem dzwoniła, słyszała tylko automat, żaden człowiek nie odpowiadał.

Po roku Robert pojawił się z pieniędzmi i prezentami. Kochali się jak szaleni, zrobili Jędrzeja, mąż pomieszkał z nimi kilka tygodni i znowu go nie było. Czasem tylko przychodziły przekazy z Niemiec. Różne sumy. Nieregularnie. Niedużo. Niekiedy więcej. Stara się, myślała Kaśka. Wysyła, co może. Kocha ich. Tęskni, jak ona.

Potem pieniądze zaczęły przychodzić z Holandii. Jej mąż remontował tam domy. Dzwonił, mówił, że ma więcej zleceń niż czasu, i pytał, co przysłać.

– Przyjedź – mówiła. – Nic nie przysyłaj, tylko przyjedź. Może jedynie na kolonie dla Julii, bo wakacje zaraz, a nie mam.

Czasem Robert wpadał na parę dni do Polski z prezentami, piękny, pachnący, z uśmiechem pełnym białych, trochę nierównych zębów, na który tak lubiła patrzeć. Nie czekała na niego, boby oszalała, ale te jego wizyty traktowała jak prezenty-niespodzianki. Taki wspaniały mężczyzna do niej wracał. Taki piękny. Niezwykły w łóżku. Kochający. Mówił do niej: Moja księżniczko!, Moja najpiękniejsza!, Broń Boże nie gotuj dzisiaj, kupię coś w garmazerce. Dlaczego wy nie macie tutaj pizzy? A rano przynosił jej kawę do łóżka, co z tego że za mocną i bez cukru.

W czasie jednej z takich wizyt począł się Dawid. Od razu wiedziała, że zaszła – zawsze wtedy czuła ciepło, jakby brzuch zaczynał jej świecić. Przy Julii i Jędrzeju też. Ale mąż wyjechał, nim zdążyła mu powiedzieć o ciąży.

Powiedziała potem, przez telefon. Przysłał więc śpioszki, czerwone, bo jeszcze nie wiedziała, czy dziewczynka czy chłopiec, i buczki w kratkę, rozkoszne, choć szkoda, że nie pieluchy jednorazowe. Dawid zaraz z tych śpioszków wyrósł, może ze dwa razy zdążyła mu założyć, a może nawet nie. A pieluchy potrzebne były codziennie.

Mąż wpadł do domu na Boże Narodzenie, dopiero gdy Dawid miał trzy lata. Najpierw się na niego boczyli, ona też, bo trzy lata to już przesada, a Dawid się go nawet trochę bał, bo Robert był wielki i głośny. Po dwóch dniach jednak wszyscy już go uwielbiali. Umiał podbijać serca. Umiał dbać o rodzinę, gdy już z nią był. Umiał dawać prezenty, jej na przykład ciemnoróżową atlasową bieliznę, zupełnie niepraktyczną i przez to taką piękną. Nigdy jakoś nie miała odwagi jej włożyć, ale czasem otwierała szufladę i patrzyła na lśniący materiał, na koronki pod kolor. Dzieciom przywiózł stopy ciuchów i zabawek. Zabrał ich na obiad do pizzerii w Szczecinie – tak, teraz już mieli w Polsce pizzę – i do zoo. Kupował ciastka i lody. A potem wyjechał. Zadzwoił dopiero po miesiącu, że źle mu tutaj, że czuje się samotny, że nie ma w tej Holandii z kim pogadać.

– Wracaj – powiedziała. – Jestem. Jesteśmy. Przecież czekamy na ciebie.

Powiedział, że wróci. Pozamyka sprawy i szybko wróci. Po czym zamilkł na sześć lat, jeśli nie liczyć jednej paczki ze słodyczami na Boże Narodzenie.

– Zrób z tym coś – mówiły inne salowe w pracy, kiedy czasem zdarzyło jej się zwierzyć. – Nie pozwól sobie wchodzić na głowę.

Nie chciała. Przecież pokochała swojego mężczyznę za to, że był wolny i niezależny. Złego słowa na niego nie powiedziała. A już dzieciom nigdy. Gorzej, że w pewnym momencie to one zaczęły pyszczyć, zwłaszcza Julia. Że tak nie może być, musimy mieć tatę, a ty, mamo, musisz mieć męża, że nigdy nie wiemy, gdzie on jest i kiedy przyjedzie. I że nawet zadzwonić do niego nie można, bo nie wiadomo dokąd.

– Tata już taki jest – tłumaczyła jej Kaśka.

Ale Julia nie chciała tego zrozumieć. Lubiła mieć wszystko odtąd dotąd. I w czymś takim jej tata się nie mieścił.

Z tamtej paczki na Boże Narodzenie prawie wszystkie słodyczne wyjadł Jędrzej – wciągnął czekolady, batoniki, herbatniki z karmelem i niemal cały słoik masła orzechowego. Gdy Julia wróciła ze szkoły, zastała głównie pomięte papierki. Wściekła się, no bo jakim prawem. To miało być od taty dla nich wszystkich!

– Rozchorujesz się! – wrzasnęła na Jędrzeja.

Ale jego jak na złość nic nie wzięło. Leżał zadowolony, klepał się po brzuchu i mówił, że dobre było. Potem w pościeli znalazł zapomniany batonik, to dał Dawidowi. Mały się ucieszył. Uwielbiał starszego brata i wszystko potrafił mu wybaczyć. Jak ojcu.

Po Dawidzie Kaśka postanowiła, że więcej dzieci mieć nie będzie. Że musi się zająć tymi, które są. Że nie wystarczy jej pieniędzy ani sił na jeszcze jedno. I założyła sobie spiralę. Trochę może bez sensu, skoro mąż się nie pokazywał, ale gdyby nagle stanął w progu z prezentami i szerokim białym uśmiechem, byłaby przygotowana. Któreś z nich musiało być odpowiedzialne. Pewnie to, które żywiło dzieci z pensji salowej i z tego, co czasem rodziny pacjentów wsunęły do kieszeni, żeby komuś zasikaną pościel zmieniła czy nakarmiła, gdy postawią obiad przy łóżku.

Udane były te ich dzieci, inteligentne, z polotem. Lubiała myśleć, że coś jej się w życiu udało. No ta trójka przecież. Piękne, po tatusiu: ciemna cera, ciemne oczy, wydatne kości policzkowe. A Jędrzej najpiękniejszy.



Minęły ze dwa miesiące, odkąd Jędrzej uciekł z ośrodka, gdy po raz pierwszy zadzwoniła do niej Bożena.

– Dzień dobry. Jestem mamą Kamila Sosnowskiego.

– Kogo? – zdziwiła się Kaśka.

– Kamila Sosnowskiego. Tego, z którym uciekł z ośrodka twój syn. Znaczący Jędrzej.

– To Jędrzej z kimś uciekł?

– Z moim synem. Zrobili to we dwóch. Znaczący razem. Tak mi tam po-

wiedzieli.

Bożena mówiła jej od początku na „ty”, jakby znały się od lat, a nie tylko łączyły je ból i niepewność.

– Nie wiedziałam. – Jędrzej w listach o żadnym Kamilu nie wspominał. – Wiem tylko, że uciekł we wtorek, trzydziestego marca.

– Akurat. Oni w tym ośrodku łąą jak psy. Chłopaki uciekli parę dni wcześniej, tylko policja usłyszała, że trzydziestego. Mogło ich już nie być od paru dni. Może nawet od tygodnia.

– Co ty mówisz?!

– Mówię, jak jest. To skandal! Ci durnie z ośrodka nawet mnie, kurwa, nie powiadomili, że mój dzieciak uciekł! Oni nawet nie wiedzą, kiedy uciekł, rozumiesz?! Pewnie nie zauważyli, bo kto tam się przejmuje dziećciakami. To ja się muszę dowiadywać od policji w moim mieście, że syna już nie ma w ośrodku? Po dwóch miesiącach?! Taki to gówniany ośrodek, rozumiesz? Myślisz, że im się opłaca walczyć z ucieczkami? A skąd. Im więcej wychowanków na gigancie, tym bardziej oszczędzają. Na jedzeniu, na prądzie. Na policję też nie zgłaszają tego od razu. Dlatego, rozumiesz? Kasa, kurwa, jest ważna, dzieciaki wcale!

– To jedźmy tam. Wypytamy wszystkich. Znajdziemy ich.

– Dyrektor może cię wpuści do gabinetu, może porozmawia. Ale na teren nie wejdiesz, z żadnym dzieciakiem nie pogadasz. Zapomnij.

– To co robić, Bożena?

– Czekać. Kamil już nieraz uciekał z ośrodka, żeby wrócić do mnie. Poradzą sobie, głupi nie są. Jak kto miał trudne życie, umie sobie radzić. Kamil umie. A poza tym to dobre dziecko, kochające.

Jak Jędrzej. Zupełnie jak Jędrzej, który wolał swoje piękne sny od siedzenia w szkole.



Od tamtej pory Kaśka coraz częściej dzwoniła do Bożeny, a ta zapewniała, że będzie dobrze.

Czasem też krzyczała:

– Nie dajmy zrobić z naszych synów przestępców! Co te durnie nam mówią, co oni, kurwa, wiedzą?! Nasi chłopcy po prostu mieli trudne dzieciństwo!

Kaśka nie była pewna, czy Jędrzej miał trudne dzieciństwo. Robiła w końcu wszystko, żeby mu było dobrze.

– Kamil miał trudne dzieciństwo, bo mieliśmy trudne warunki w domu! – krzyczała tymczasem Bożena do telefonu. – Mój mąż to pijak! Bił go! A dzieciak robił wszystko, żeby go ojciec pochwalił. Palił papierosy. Opuszczał szkołę. Kradł. Pił z ojcem! Nie jego wina, tylko tego mojego durnego starego. Wyrzucę drania pieprzonego na zbity pysk. Dziecko mi zmarnował!



Jędrzej nie żyje – powtarzała sobie Kaśka już jakiś czas przed pogrzebem pudełek. – Nie żyje. Muszę się z tym pogodzić. Mój starszy syn nie żyje. Tak w końcu powiedział jasnowidz, jeden i drugi. Skoro obaj mówili to samo, muszą mieć rację, prawda?

Pierwszy jasnowidz był bardzo drogi, wziął aż dwieście pięćdziesiąt złotych za pół godziny. Kaśka zbierała na to całe dwa miesiące, każdą złotówkę odkładała, dorzuciło jej się nawet kilka dziewczyn z pracy. A wszystko po to, żeby mogła wsunąć banknoty w dużą, białą dłoń z ciemnymi włoskami, żeby mogła spojrzeć na okrągłą twarz widzianą kiedyś w telewizji. Siedziała u niego w gabinecie, gdy wyszedł do drugiego pokoju ze zdjęciem i koszulką Jędrzeja. Miał tam poczekać na wizję. Musiał być naprawdę dobry, bo wrócił po niecałych dziesięciu minutach.

– Nie żyje – powiedział. – Czuję, że pani syn niestety nie żyje.

Aż jej się czarno zrobiło przed oczami, bo nie dlatego tyle czasu zbierała pieniądze, nie po to jechała przez pół Polski pociągiem i pekaesem, żeby słuchać takich rzeczy. Kręciła głową, a on mówił dalej:

– Uważam, że chłopiec wcale nie uciekł z ośrodka. On został tam mocno

pobity, w wyniku czego zmarł. W ośrodku jest jakaś stara kanalizacja i dwa opuszczone szamba. Ciało chłopca zostało zasypane śmieciami w jednym z tych dwóch szamb.

I narysował mapkę, że tu budynek, tu szambo, a tu krzyżyk. Nie skarb, ciało.

– Nie rozumiem – powiedziała Kaśka. – Nic nie rozumiem z tej mapy.

Więc znowu mapka. O kreskę więcej, że budynek, o kółko więcej, że szambo. I krzyżyk większy, pogrubiony.

– Tam zostanie odkryte ciało.

Nie Jędrzej, ciało.

– Cierpiał?

– Przykro mi to mówić, ale raczej tak. Został bardzo mocno pobity. Podczas wizji czułem jego ból.

Dwieście pięćdziesiąt złotych za wizję bólu, za mapkę i za „ciało zasypane śmieciami w jednym z tych dwóch szamb”. I za radę, którą często słyszała również od mniej jasnowidzących osób: „Proszę pochować syna w swoim sercu, a odczuje pani ulgę. Jemu już jest lepiej. Nie cierpi”.

– Może jeszcze czegoś się dowiem. Może będę miał mocniejszą wizję. Niech pani zadzwoni do mnie za kilka dni – dorzucił jasnowidz.

Ale nie zadzwoniła. Nie wierzyła mu wcale. Jędrzej i grób? Aż zgrzytało. Co innego Jędrzej i wagary. Jędrzej i nowe buty do kupienia, bo ze starych znowu wyrósł. Jędrzej i przydługa, wiecznie opadająca na oczy grzywka. To wszystko było normalne w wieku czternastu lat. Ale nie śmierć. Nie ból. Jasnowidz musiał się pomylić. Jednak potem przypominała sobie, że jasnowidzowi klientów nie brakowało, że jakoś wszyscy bez mrugnienia okiem płacili mu te dwieście pięćdziesiąt złotych za pół godziny, że telewizja robiła z nim wywiady, a w gabinecie miał całą ścianę podziękowań. Wtedy łykała kolejny xanax i powtarzała sobie, że Jędrzej już nie cierpi, cokolwiek działo się wcześniej.

Musiała wstawać z łóżka, musiała zajmować się dziećmi i domem, a przede wszystkim musiała chodzić do szpitala i tam przynajmniej pozoro-

wać pracę, chociaż cały czas myślała o pobitym na śmierć Jędrzeju. Stała oparta na mopie i gapiła się na brudną wodę w wiadrze, aż koleżanki trącały ją w plecy: „No rusz się, Kaśka, nie stój tak na środku korytarza, nie za to nam te grosze płacą”.

Nie umiała opowiedzieć o tym Bożenie. Mamrotała do niej tylko przez łyzy:

– Jędrzej nie żyje, pobili mi go, zabili.

A tamta:

– Nie martw się, nie martw, to się musi wyjaśnić.

I Kaśka nawet chwilami jej wierzyła.



Do tego drugiego jasnowidza najpierw pojechała Bożena.

Wróciła i wydzwaniała do Kaśki.

– A ten jasnowidz jest mądry, dobry taki. Ludzki. Jemu nie o pieniądze chodzi, tylko o prawdę. O sprawiedliwość. O krzywdę, którą naszym dzieciom zrobił ośrodek. O to, żeby wszystko wreszcie wyjaśnić. Jedź do niego, Kaśka! Przecież chcesz znać prawdę.

– Mówił o szambie? Że nie żyją?

– Mówił różne rzeczy. O Kamilu. A ty jedź, niech ci opowie o Jędrzeju.

Ale Kaśka nie chciała.

Jasnowidz w końcu sam się do niej zgłosił. Zadzwoił, powiedział, że wie coś o jej synu, że to ważne i że zaprasza do siebie.

– Ale ja nie mam pieniędzy, proszę pana.

– Nie o pieniądze mi chodzi. Robię to w ramach pomocy rodzinom, w imię sprawiedliwości. A Jędrzej chce coś pani powiedzieć. Proszę przyjechać.

Uczepiła się tego skrawka nadziei. I znowu trzęsące się ręce, ściśnięty brzuch, pekaes, jeden, drugi. To też swoje kosztowało, ale przecież nie wolno na dziecko żałować.

Jasnowidz miał rozbiegane oczka, okrągłą twarz, włosy prawie do ramion, myte już jakiś czas temu. Na szyi nosił złoty łańcuszek, na przegubie grubą srebrną bransoletę, więc pieniędzy raczej mu nie brakowało. Kaśka nie była pewna, czy to źle czy dobrze.

Już w drzwiach popatrzył na nią badawczo, spojrzawszy głęboko w oczy i przytulił. Tak mało po zniknięciu Jędrzeja dostała współczucia – tyle, co od Bożeny, może też trochę od niektórych dziewczyn z pracy. Inni ją winili, że źle syna wychowała. Że nie dopilnowała. Że nie zmuszała. Że Bóg wie co jeszcze źle robiła, skoro skutki były takie straszne: najpierw ośrodek wychowawczy, a potem... A ten ją przytulił. Pachniał strasznie mocno jakimś dezodorantem, ale co z tego, skoro klepał ją po plecach i mówił:

– Bardzo, bardzo pani współczuję. Takie nieszczęście. Taki wspaniały chłopak.

Jeden z pokoiów niewielkiego mieszkania przekształcił w gabinet, zupełnie jakby był lekarzem. Usiadł po drugiej stronie biurka, znowu spojrzawszy jej głęboko w oczy, pomilczał dłuższą chwilę.

– Miałem wizję, słyszałem go.

Opadła na siedzisko.

– Wołał, bo chce być pochowany.

– Nie żyje?

– Kiedy spojrzełem na jego zdjęcie, wiedziałem, że nie żyje. On już nie żył, kiedy zgłoszono, że zaginął.

Kaśka odwróciła głowę, żeby jasnowidz nie widział, że zaraz się rozbeczy.

– Gdy miałem z nim kontakt jako medium, powiedział, że wtedy wiele dziwnych rzeczy działo się w ośrodku. Że jedni na drugich napadali. Że dochodziło do wykorzystywań seksualnych, że się bał.

Boże, jeszcze i to.

– Miał już tego wszystkiego dosyć, zagroził, że o wszystkim powie. Doszło do bijatyki i niestety zginął.

To zupełnie tak, jak mówił pierwszy jasnowidz.

– Pamięta, że wrzucono go do dużego pojemnika, jakby szamba. Czuł, że spada, coś chlupnęło i skończyło się. To szambo, stare, poniemieckie, jest na terenie ośrodka. Tak mi Jędrzej powiedział.

No i już nie było nadziei.

– A teraz chcę, żeby pani też go posłuchała.

– Jak to?!

– Mówię o specjalnej technologii, EVP – ciągnął. – To po angielsku. Po polsku mówimy na to „fenomen głosów elektronicznych” albo „transkomunikacja”. To głosy nieznanego pochodzenia, które wypowiadają słowa lub zdania. My możemy je usłyszeć na nagraniach. W ten właśnie sposób skontaktowałem się z Jędrzejem.

Kaśka nic z tego nie rozumiała.

– Ale rozmawiał pan z nim, tak pan przecież mówi. Czyli on żyje, prawda?!

– Magnetofon rejestruje głosy nieobecnych, osób nieobecnych na tym świecie. Te głosy mogą unosić się w eterze. Ci ludzie chcą do nas mówić, odpowiadać na pytania. Nagrałem wszystko. Wszystkie odpowiedzi, jakich udzielił Jędrzej.

– Czyli on żyje?!

Jasnowidz umilkł, spojrział jej w oczy, a potem opuścił głowę, aż bure kosmyki opadły mu na czoło.

– Przykro mi, ale nie. Moje kondolencje. – Podniósł się odrobinę z krzesła, gdy to mówił. – Inaczej bym go nie nagrał. Tą technologią nagrywa się głosy zmarłych. Znaczą duchów.

– Mówił pan, że nieobecnych!

– A kim są nasi zmarli? Ukochanymi nieobecnyimi. Ja tylko przekazuję to, co syn chce pani powiedzieć. Kiedyś do komunikacji z duchami na seansach spirytystycznych używano wirujących talerzyków. Teraz są inne rzeczy. Mamy sprzęt elektroniczny.

Chciało jej się krzyczeć, że to niemożliwe, jakie duchy, jacy zmarli. Ale jeszcze bardziej chciała posłuchać głosu swojego dziecka.

Puścił jej nagranie ze starego magnetofonu kasetowego. Dygotała, czekając, aż Jędrzej się odezwie, aż powie to, co chciał jej przekazać. Najpierw usłyszała głos jasnowidza:

– Słyszysz mnie, Jędrzej? Jeśli słyszysz, potwierdź.

W odpowiedzi szum, a potem szurgot. Zaraz się urwało. A gdzie Jędrzej? Jasnowidz cofnął taśmę.

– Słyszysz mnie, Jędrzej? Jeśli słyszysz, potwierdź.

Szum i szurgot.

– Słyszysz?

Szurgot.

– Potwierdził, słyszy pani?

Nie słyszała.

– To Jędrzej mówi: „Słyszę cię”. Mówi: „Tak”. Niech pani się wsłucha.

I znowu puścił nagranie, ale Kaśka nadal nie słyszała głosu syna, tylko szum i szurgot. Pokręciła głową.

Raz jeszcze włączył nagranie i mówił mu do wtóru, powtarzał słowa, których nie umiała zrozumieć. Pokiwała głową dla świętego spokoju.

Jasnowidz znów nacisnął guzik, nagranie szło dalej.

– Jędrzej, powiedz, co się tam wydarzyło.

Szum, szurgot i bełkot.

– Usłyszała pani?

A co niby miała usłyszeć? Pokręciła głową.

– „Jędrzej, powiedz, co się tam wydarzyło”. On mówi: „Mordercy, jest morderstwo”. Jeszcze raz to pani puszczę.

I znowu wtórował nagraniu, żeby usłyszała, co trzeba. Ale ciągle nie słyszała.

Jasnowidz powiedział, że może łatwiej będzie, gdy zostanie sama i zostawił ją z magnetofonem w tym tak zwanym gabinecie, wśród zwałów rzeczy, stosów książek, zdjęć zaginionych. Wisiała tam też fotografia Kamila. Kaśka przez moment poczuła, jakby spotkała starego znajomego. Postawiła

obok zdjęcie Jędrzeja i, patrząc synowi w oczy, cofała taśmę w magnetofonie, słuchała i cofała.

– Mordercy, jest morderstwo – zdołała wreszcie usłyszeć, odsłuchawszy kilkadziesiąt razy szurgoty i bełkotanie.

I znowu cofnęła. Tak, teraz słyszała słowa. Coraz dokładniej.

– Mordercy, jest morderstwo.

Jak mogła tego dotąd nie wychwycić?

– Mordercy, jest morderstwo.

– Słyszę, proszę pana, słyszę Jędrzeja! – Kaśka poderwała się, wypadła z pokoju i pobiegła tam, gdzie paliło się światło, do kuchni.

Jasnowidz siedział przy stole, popijał herbatę i jadł chleb z szynką. Przełknął i odłożył kromkę na papierową serwetkę.

– Wiedziałem, że ma pani dobrą aurę.

Aurę? Co to jest aura? Ale ucieszyła się, że jest dobra. A jasnowidz siorbnął herbaty, wytarł ręce w ścierkę i poprowadził ją do gabinetu.

– Miałem wizję. Jeszcze jedną wizję związaną z Jędrzejem. Ostrzegam, że nie była przyjemna.

Kaśce aż powietrza zabrakło. Położył dłoń na jej dłoni.

– W tej wizji często pojawiała się słowo „fabryka”. I „zdjęcia”. Fabryka, rozumie pani?

Nie rozumiała.

– Doszedłem do wniosku, że tam była fabryka pornografii.

– Jędrzej?! – Zmartwiała. – Jędrzej w filmie pornograficznym?!

– On tylko zobaczył i usłyszał za dużo. Musieli go uciszyć.

– Kto?

– Ci od filmów. Od fabryki.

Nie pojmowała tego.

– Ja też wszystkiego nie wiem, proszę pani – przyznał skromnie jasnowidz. – Strasznie mi przykro, takie nieszczęście. Nie zasłużyła pani na to. Ani on. Wspaniały chłopak.

– Ale nie cierpiał, prawda?

– Nie, nie cierpiał.

Aż westchnęła z ulgi i wtedy uświadomiła sobie, jak płytko oddychała przez ostatnie tygodnie. Jakby jej coś siedziało na piersi, a teraz zeszło i poszło precz. W opuszczonym szambie, powiedział tamten jasnowidz. W starym, poniemieckim szambie, powiedział ten. A jej syn wypowiedział się przez szum, szurgot i bełkot. Ale nie cierpiał, przynajmniej nie cierpiał. Tak mówił drugi z jasnowidzów, ten miłszy.

Łykała łapczywie powietrze, aż jej się w głowie zakręciło. Uspokoila się dopiero po chwili, gdy jasnowidz podał jej chusteczkę wyjętą z kieszeni spodni, ciepłą i wymiętą.

Nie chciał żadnych pieniędzy – „Przecież ja też jestem człowiekiem, przecież chodzi mi tylko o pomoc, o pomoc rodzinie i sprawiedliwość” – ale zostawiła mu pięćdziesiątkę i dwie dwudziestki przy magnetofonie z głosem Jędrzeja. Jak ofiarę.



Policjantowi prowadzącemu sprawę bała się mówić o mordercach, nie miała w końcu żadnych dowodów, ale o szambie mówili obaj jasnowidze, to przecież coś znaczyło.

– Proszę pani, zapewniam, że przeszukaliśmy cały teren ośrodka. Nieużywane szambo już dawno, kilka lat temu, zostało zasypane, zabetonowane i zabezpieczone. Nikt nie miał prawa tam wpaść.

Znowu zadzwoniła do jasnowidza.

– Szanowna pani, powtarzam: przeszukali tylko czynne szambo. Tam były jeszcze szamba poniemieckie, od dziesiątków lat nieużywane. Tak widziałem w wizji. Wizje nie kłamią.

I znowu telefon do policjanta prowadzącego sprawę. Westchnął.

– Pani da sobie spokój z tymi jasnowidzami, oni tylko wyciągają pieniądze. Nie znam przypadku, w którym by realnie pomogli. Albo mówią same oczywistości, albo coś, co trudno sprawdzić. Niech pani nie daje mącić so-

bie w głowie. Będą opowiadać głupoty, żeby więcej pieniędzy od pani wyciągnąć. A za opowiadanie rzeczy nie do sprawdzenia nic im przecież nie grozi.

No to zadzwoniła do Bożeny. I dopiero teraz się dowiedziała, że jej też jasnowidz puścił nagranie, tym razem z głosem Kamila. Jej też powiedział, że Kamil nie żyje. Że już nie żył, gdy funkcjonariusze zaczęli go szukać. Że zabito go dwa albo trzy dni przed tym, jak sprawę zgłoszono na policję.

„Leżę pod dębami” – mówił Kamil na nagraniu.

„Kto ci to zrobił?” – dopytywał jasnowidz.

A chłopak na to, że mordercy. Ksiądz pedofil. Do tego jasnowidz wspominał o wykorzystywaniu seksualnym. O szambie. O fabryce. I ponownie o księdzu.

– Że jakiś klecha mógł być w to zamieszany, to tak, bo po nich, kurwa, nie spodziewam się niczego dobrego – mówiła Bożena. – Wiedziałam też, że same chuje siedzą w tym ośrodku. Im się nic nie chciało, nawet dziećmi zajmować. Ale żeby pornosy kręcić? Zabijać? No nie, to by się zaraz rozeszło. No powiedz sama, Kaśka. Powiedz, co myślisz.

Jednak Kaśka nie była w stanie o tym myśleć. Dęby, szambo. Fabryka, zdjęcia, ksiądz – była na to wszystko za słaba. Wiedziała tylko, że jej syn nie żyje, bo za dużo widział. I że nie cierpiał dużo. Chłupnęło i skończyło się. Przynajmniej według drugiego wróżbity.

A potem obie opuszczone, osierocone matki, z którymi nie chciał gadać nikt poza jasnowidzami, dojrzały do tej najdziwaczniejszej w życiu rzeczy. I zrobiły to – w środku nocy, przy świeczkach, w kącie cmentarza z pięknym za dnia widokiem.

– Pogrzeb, kurwa, pudełek – podsumowała przez łzy Bożena.

Gdy tylko wyszły z cmentarza, zapaliła papierosa.

– Daj mi jednego – poprosiła Kaśka, choć przecież nigdy nie paliła.

Zaciągnęła się, aż zakręciło jej się w głowie. A może również troszkę przejaśniło. I zrozumiała, że dobrze zrobiły. Że w całym tym koszmarze, w całym tym odbijaniu się od kolejnych instytucji, które w ogóle nie przeje-

mowały się życiem ich synów, a skupiały na zwalaniu winy, one zrobiły najlepszą rzecz pod słońcem: uszanowały własne dzieci, żywe czy zmarłe. Chyba jednak zmarłe.

A gdy już wypaliły papierosy, patrząc na nikłe światełka zniczy, pociągnęły z małpeczki żołądkową gorzką, którą Bożena wygrzebała z torby.



Kiedy Kaśka wróciła do domu, powiedziała córce:

- Jędrzej nie żyje.
- Skąd wiesz? – zaniepokoiła się Julia.

Kaśka nie zamierzała wspominać o jasnowidzu, a już tym bardziej o pudełkach.

– Bo przecież gdyby żył, skontaktowałby się ze mną. Pamiętasz, jaki był kochający, jaki rodzinny, jaki z nami zżyty. Niemożliwe, żeby się nie odezwał. Musimy się więc z tym pogodzić: jeśli wasz brat się do nas nie odzywa, znaczy, że nie żyje.

Mówienie tego bolało jak cholera. Zupełnie jakby Kaśka odpiłowywała sobie poranioną nogę. Może i chodzić było z nią trudno, ale wcale nie miała pewności, czy nauczy się chodzić bez niej.

A Julia pokiwała głową, jakby chciała powiedzieć: Nareszcie to zrozumiałaś. Nareszcie ruszymy do przodu.

Boże, jak bolało.



ZAGINIONY JĘDRZEJ ZARĘBA

Data zaginięcia: 30.03.1999

Wiek w dniu zaginięcia: 14 lat

Wzrost: 170 cm w dniu zaginięcia

Kolor oczu: piwne

Włosy: ciemne, brunet

Znaki szczególne: pieprzyk na ramieniu

Ostatnie znane miejsce pobytu: Ośrodek Nadmorski, woj. zachodniopomorskie,

POLSKA

Dodatkowe informacje:

Chłopiec PRAWDOPODOBNIIE uciekł z Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego wraz z Kamilem Sosnowskim. Nikt go już później nie widział. Zaginięcie zgłoszono na policji przez ośrodek wychowawczy 31 marca 1999.

z ogłoszeń organizacji Missing Zaginieni

ZAGINIONY KAMIL SOSNOWSKI

Data zaginięcia: 30.03.1999

Wiek w dniu zaginięcia: 15 lat

Wzrost: 165 cm w dniu zaginięcia

Kolor oczu: niebieskie

Włosy: blond

Znaki szczególne: brak w dniu zaginięcia

Ostatnie znane miejsce pobytu: Ośrodek Nadmorski, woj. zachodniopomorskie,
POLSKA

Dodatkowe informacje:

Chłopiec PRAWDOPODOBNIIE wraz ze swoim kolegą uciekł z placówki szkolno-wychowawczej.

z ogłoszeń organizacji Missing Zaginieni

FAZA PIĄTA

PUSTKI

MAMA SZYMONA

– MIMO WSZYSTKO TRZEBA IŚĆ DO PRZODU. I zawsze trzeba mieć nadzieję.

Albo z drugiej mańki:

– Niech go pani pochowa w swoim sercu. Trzeba się pogodzić z tym, że Szymon jest teraz w lepszym świecie.

Ale przede wszystkim:

– Macie jeszcze drugie dziecko, o nim należy myśleć.

Poza tym:

– Czas leczy rany. Może to teraz brzmi niewłaściwie, ale sama zobaczysz: pogodzisz się z tym i czas uleczy rany. Czas to najlepszy lekarz, pamiętaj.

No i najdurniejsze z tego całego zestawu:

– Co cię nie zabije, to cię wzmocni.

Bo co oni wiedzą o niezabijaniu.



– A ty jakie masz sukcesy? – spytały mnie koleżanki na spotkaniu klasowym, kiedyś jeszcze, w poprzednim życiu, piętnaście lat po maturze.

Najpierw się zamyśliłam, bo co, o kiosku będę opowiadać? Interes szedł, zarabialiśmy na normalne życie, mogliśmy się zmieniać przy dzieciach, ale czym tu się chwalić? To nie lekarstwo na raka. Jednak chwilę potem już wiedziałam, jakie mam sukcesy, i aż wstyd mi się zrobiło, że nie wpadłam na to od razu.

– Mam cudowną rodzinę. Męża i dwóch synów. Jesteśmy szczęśliwi. Lubimy być ze sobą. Dużo się śmiejemy.

Tak powiedziałam, samą prawdę przecież, a po mnie ludzie się ośmielili i też zaczęli mówić o rodzinach, nie tylko o biznesach, świetnych posiadach, służbowych samochodach, awansach, nowych domach i podróżach.

O zwolnieniach z pracy i o zamykaniu państwowych zakładów jakoś nikt nie chciał opowiadać, ale może i lepiej, bo gazety i telewizja były tego pełne.

Pięć lat później, na dwudziestolecie matury, już nie poszłam. Tym razem nie wiedziałabym, co powiedzieć, gdyby koleżanki i koledzy pytali o sukcesy. Bo jakie ja teraz mogłam mieć sukcesy? Sukcesem było to, że jakimś cudem wszyscy nadal żyliśmy. Że nikt więcej u nas nie zaginął. Że się nie rozsypaliśmy, chociaż w naszej rodzinie ziała rana tak wielka, że można by tam człowieka wsadzić.

Bo stamtąd właśnie człowieka wyjęto.

Nie zrozumie tego nikt, kto nie przeżył utraty dziecka. Kto nie żyje w cieniu wiecznego znaku zapytania. I nie było nawet co tego tłumaczyć. Bo w jakim celu? Dla współczucia? Niepotrzebne mi ono. Dla chorej ciekawości? Żeby patrzyli, czy i jak udało mi się pozbierać? A może, żeby mówili to, co już setki razy słyszałam?

Przecież pani zna te zdania. Kilka z nich nawet pani wypowiedziała. A inne planowała powiedzieć, prawda? To niech już pani może sobie daruje. Wystarczy, że pani spyta, jak się czuję, a będę wiedziała, że pamięta pani o Szymonie, o tym, że zniknął. Ja wtedy odpowiem „jakoś”, bo już chyba nigdy nie powiem, że dobrze.



W domu o Szymonie nie rozmawialiśmy – za bardzo bolało – ale przecież ciągle każde z nas wzdrygało się na niespodziewany dzwonek czy sygnał telefonu. Nie tylko ja rzucałam się do drzwi albo chwytalam słuchawkę, aż czasem aparat spadał ze stoliczka i Grzesiek musiał go podkleić szarą taśmą, żeby się całkiem nie rozsypał.

Dwunastego czerwca dwa tysiące drugiego roku kupiłam w drogerii dwie świece w kształcie cyfr, ósemkę i jedynkę.

– Osiemdziesiąte pierwsze urodziny? Kto? Teściowa pewnie? – zainteresowała się ekspedientka, u której kupowałam od lat.

Uśmiechnęłam się niewyraźnie. Nikt już nie pamiętał o Szymonie. Więc ja musiałam. Musiałam upiec czekoladowca, jak lubił, oblać polewą, posypać pałeczkami cukrowymi, wbić świece i patrzeć, jak płoną.

Nie miał ich tylko kto zdmuchnąć.

Stearyna ściekała na kolorowe pałeczki, topiły się bez sensu jedyńka z ósemką.

„Co cię nie zabije, to cię potwornie osłabi”.

Albo:

„Co cię nie zabije, to ci życie przełamie na pół”.

Nawet jeśli cię nie zabije, życie już zawsze będzie się dzieliło na „przed” i „po”.

– Gdzie jesteś, synku? Gdzie się podziałeś?

Mama szurała mi za plecami.

– Synku sryнку, synku sryнку, synku sryнку.

Brzmiało to prawie jak „Sto lat!”, więc jej nie uciszałam.

Kiedy klucz zazgrzytał w drzwiach, szybko zdmuchnęłam świece i wyrwałam je z ciasta.

– Czekoladowiec! – ucieszył się Piotrek. – Aż na klatce pachnie. Co to za dziury? Wyjadałaś ze środka, mamuś?

On mówił na mnie „mamuś”, Szymon – „mamusiu”. Już nikt nigdy nie powie do mnie „mamusiu”, uświadomiłam sobie. Odwróciłam się i wyjęłam rondel, żeby odgrzać Piotrkowi zupę.

– Stało się coś?

Pokręciłam głową, lecz zaraz wyjęłam z kieszeni i położyłam na kuchennym blacie te świece, jedyńkę i ósemkę. Stopione, ale nadal czytelne.

– Synku sryнку – skomentowała teściowa.

– Ale ja przecież kończę szesnaście. I to dopiero za miesiąc, mamuś. – Uśmiech zamarł mu na ustach. – Szymon, prawda? To dzisiaj?

Pokiwałam głową, żeby się nie rozbeczeć.

– Osiemnaście? Skończyłby osiemnaście lat?

Tyle właśnie by skończył. Mój syn, od dzisiaj pełnoletni. Dowód osobisty. Studniówka. Matura.

Nic z tego nas nie czekało.

– Zrobiłaś mu tort. Lubił to ciasto, prawda?

Pewnie, że lubił, piekłam mu je co roku. Ale już dawno zauważyłam, że Piotrek coraz słabiej pamięta starszego brata.

Jemu akurat na to pozwalałam. Musi mniej pamiętać, mniej czuć, żeby móc normalnie żyć. Chociaż on, bo przecież my już nigdy nie będziemy.

Ale i tak miałam o to do niego żal.

– Mamuś, ale ty wiesz, że Szymona nie ma w domu?

Pokiwałam głową. Nie zwariowałam jeszcze. Zupa w rondelku zaczęła się fajczyć, ale zrozumiałam, co tak skwierczy i śmierdzi, dopiero gdy Piotrek zdjął rondel z ognia.

– Ojej – powiedziałam. – Odgrzeję ci nową.

– Mamuś, daj spokój. Poradzę sobie. Zrobić ci herbaty? Chcesz się położyć?

Jedynka i ósemka na blacie wyglądały tak samotnie, że zgarnęłam je i ścisnęłam w dłoni, aż się ogrzały. A potem dałam zaprowadzić się do łóżka.

– Synku sryнку, synku sryнку, synku sryнку – pożegnała mnie teściowa.



Wieczorem opowiedziałam o wszystkim Grześkowi. Nadal gadaliśmy ze sobą, bo choć lubiliśmy się dużo mniej niż kiedyś, potrzebowaliśmy się dużo bardziej.

– Ja też cały dzień chory byłem. Chory na jego osiemnastkę. A jeszcze gorzej mi się zrobiło, kiedy się dowiedziałem, że w sobotę w klubie będzie osiemnastka Kamila. Pamiętasz, jak Szymon z nim wszędzie chodził?

– Mszę mogłam zamówić za Szymona na jego urodziny. Chociaż tyle. Za zbawienie albo odnalezienie. A nie kupować te durne świece. Po co to

komu?

– A msza po co komu?

– Grzesiek!

– Ja tylko pytam, co nam z tej mszy przyjdzie. Tyle ich już odprawili za szczęśliwe odnalezienie. I co one dały? Przecież to Pan Bóg nam go odebrał. To jego decyzja. Więc po co teraz msze? Żeby Pan Bóg zmienił decyzję? Naprawdę wierzysz, że to zrobi?

– Grzesiek!

– Ja tylko zupełnie nie rozumiem, po co się to wszystko wydarzyło. Żebyśmy cierpieli? Ale dlaczego? A Szymon? On dlaczego ma cierpieć? Dlaczego nie może mieć osiemnastki jak wszyscy jego koledzy? Dlaczego nie może mieć pierwszej dziewczyny, pierwszej pracy? Dlaczego nie może zdawać na prawo jazdy i zbierać na samochód? Co on złego zrobił? Mnie się Bóg, który robi takie rzeczy, wcale nie podoba.

Oddychał ciężko, jakby wymiotował to, co od dawna leżało mu na żołądku.

– Grzesiek, czy ty nie rozumiesz, że musimy? Musimy wierzyć w Boga. Tylko wtedy w przyszłości, w niebie, spotkamy się z Szymonem. Bo wcześniej to przecież nie wiadomo. Nie przestawaj wierzyć w Boga, proszę. Musimy robić to wszystko: msze, modlitwy, spowiedź na Wielkanoc, ksiądz po koledzie. Wszystko, co trzeba.

Westchnął.

– To już daj jutro na tę mszę. Niedzielną, młodzieżową może. Co myślisz?

Wtuliłam się w niego na chwilę.

Następnego ranka, sprzątając, zauważyłam w kubie na śmieci resztki czekoladowca owinięte w gazetę. Rozłożyłam ją, sprawdziłam. Nikt nawet nie tknął ciasta, jakby nikomu się nie należało.



Nadal nie przepadałam za wychodzeniem z domu, bo zanadto uwierały mnie ludzkie spojrzenia. Zresztą mama wymagała coraz więcej uwagi, niemal nieprzerwanej obecności. Czasem jednak musiałam gdzieś pójść, choćby do sklepu. Do kościoła. Albo na zebranie do szkoły, do Piotrka, bo przecież Grzesiek ciągle siedział w kiosku. Prosiłam wtedy o pomoc Sawicką, dawałam jej parę groszy i siedziała z mamą, rozwiązując krzyżówkę, albo przynajmniej zaglądała do niej co parę minut.

Tego dnia szłam akurat po ziemniaki, sól, masło i kapustę, gdy nagle go zobaczyłam. Wysoki, zwałisty, szerokie barki, rozczochrane włosy, podkrążone oczy i trochę opuchnięta twarz, jakby się od dawna nie wysypiał. Sebastian. Jeden z ostatnich, którzy widzieli mojego syna. Szedł z naprzeciwka, kołysał ramionami. Będę odważna, zamienię z nim kilka słów, nie rozpłaczę się. Spytałam, jak się ma, gdzie planuje wyprawić osiemnastkę, co chce robić po maturze. Nie, on ma już ze dwadzieścia lat, starszy przecież był od Szymona. No to spytałam, co robi, po prostu. Uśmiechnę się do niego może nawet, może mi się uda. I wtedy zobaczyłam, że Sebastian przechodzi na drugą stronę ulicy, tę bez chodnika, a do tego patrzy w lewo, tam gdzie mnie nie ma, nagle bardzo zainteresowany płotami, domami i podwórkami. I tak się minęliśmy, każde po innej stronie ulicy, nie wymieniając słowa ani spojrzenia.

Wieczorem pożałowałam się Grześkowi.

– Dzieci. To tylko dzieci, kochanie. Może czują się winne.

– To nie dzieci. To dorosły facet, naprawdę. Dużo większy ode mnie. Wielki, z barami. Już prawie ma brodę. A nawet „Dzień dobry” nie powiedział.

– Nie poznał?

– Poznał. Dlatego udawał, że mnie nie widzi.

– Innym też trudno poradzić sobie z tym, że Szymon zniknął. Myślisz, że tylko ty to przeżywasz? Tamci chłopcy też, na pewno. Może jeszcze nie są gotowi, żeby z tobą o tym rozmawiać.

– Nie są gotowi, żeby matce zaginionego kolegi powiedzieć „Dzień dobry”?!
?

- Może Sebastian czuje się winny.
- Myślisz, że ma powód?!
- Nie myślę, wcale tak nie myślę.
- Tak powiedziałeś.
- Agnieszka, proszę, nie nakręcaj się.
- Ale dlaczego myślisz, że Sebastian czuje się winny?
- Agnieszka, przestań! Nie rób znowu śledztwa na tej podstawie!
- Ale ja...
- I, broń Boże, nie idź na policję z tym, że ktoś nie powiedział ci „Dzień dobry”! Znowu cię wyśmieją!
- Przecież nie chodzę na policję, i to od dawna.
- Nie chodzisz?
- Nie. Od tych wieczornych telefonów. Nie zauważyłeś przez te wszystkie lata, że odpuściłam? Mówiłam ci.

Milczał.

- Mówiłam ci, że się boję o Piotрка. A ty pokiwałeś głową, jakbyś się zgodził. Kurde, Grzesiek, czy ty w ogóle mnie słuchasz?
- A myślisz, że ja mam czas?! Że mam czas ciągle cię wysłuchiwać?! Tych twoich żalów? Wykończony jestem! Cały dzień w kiosku, tylko ja się tym zajmuję, a ty nawet nie spytasz, jak tam idzie, nawet się nie zainteresujesz, skąd są pieniądze!
- Chętnie bym posiedziała w kiosku, ale ktoś musi się zajmować twoją matką!
- No tak, bo ty byś ją najchętniej gdzieś oddała!
- A ty oddałeś ją mnie i myślisz, że załatwione! Nie mogę zostawić jej samej na dłużej niż pół godziny! Jestem uwięziona w tym domu! Chyba że zapłacę Sawickiej.

Piotrek wparował do pokoju.

- Rozwodzicie się?

Grzesiek w końcu powiedział:

– Nie, synu. Rozmawiamy, i tyle.
– Strasznie głośno. Aż się babcia zdenerwowała.
– Nawet się pokłócić z mężem nie mogę, żeby nie zaalarmować całego domu?

– Więc jednak się kłóćcie.

– Ale się nie rozwodzimy.

– Na pewno?

Spojrzałam na Grześka, a on na mnie.

– A kto by tam ze mną wytrzymał.

– A ze mną?

I nagle zaczęliśmy się śmiać.

To już naprawdę przeraziło teściową, która przydreptała do kuchni i dalej wędrować, dalejże mamrotać:

– Będziesz płakać. Będziesz płakać. Będziesz płakać.

Ale my śmialiśmy się coraz głośniej. Nawet Piotrek do nas dołączył i chichotał jak koziołek.

Teściowa jeszcze bardziej przyspieszyła, aż się przestraszyłam, że w ścianę walnie, więc złapałam ją za ramiona, żeby trochę wyhamowała.

– Będziesz płakać, będziesz płakać, będziesz płakać – broniła się jeszcze, lecz potem zwolniła.



– Nie śpisz, prawda? – szepnął wieczorem Grzesiek ze swojego brzegu łóżka.

Nie odpowiedziałam, ale i tak wysunął ramię, żeby mnie objąć.

Było ciepłe i ciężkie. Dawało złudzenie, że człowiek nie jest całkiem sam na świecie.

A on nagle zaczął mnie dotykać tam, gdzie nikt mnie nie dotykał od ponad czterech lat. Aż się zdziwiłam, co go tak nagle naszło.

– Może zrobimy sobie jeszcze jedno dziecko? – Szept też miał ciepły.

Zupełnie jakby myślał, że nasza rodzina mknie przez życie kompletna i gotowa na nowych pasażerów, a nie z trudem kuśtyka na trzech nogach, dociążona teściową.

– Może byłaby córeczka?

Najpierw zamierzałam go odepchnąć, ale potem się zawahałam. W mojego męża wstąpiła nadzieja. Nie chciałam, żeby zniknęła. Niech już nic nie znika z naszego życia.

I wtedy znowu zaczęłam się z nim kochać.

Ale nie powiedziałam mu, że nie mam już zamiaru rodzić dzieci. Nikogo więcej nie utracę. Nie ma mowy.

FAZA SZÓSTA

BUNTY

MAMA JĘDRZEJA

WPADŁ – JAK ZWYKLE – BEZ ZAPOWIEDZI, znikąd. Kaśka już właściwie nie pamiętała, że ma męża, tyle trudnych lat bez niego przeżyła. Przyjechał podobno z Holandii, z Rotterdamu czy Amsterdamu; raz mówił tak, innym razem inaczej. Julia zaraz poszła zobaczyć na mapie, gdzie to jest, oba miasta na wszelki wypadek, a Dawid zaczął skakać dookoła ojca, zafascynowany wielkim, pięknym mężczyzną, którego rzadko miał okazję podziwiać z bliska. Samej Kaśce Robert wydał się obcy, zbyt przystojny, już nawet nie pamiętała, jak pachniał. Przywiózł masę prezentów, na przykład odlotowe adidasy, szkoda, że za małe na Dawida, bo najwyraźniej nie miał pojęcia, że dzieci rosną też wtedy, gdy się na nie nie patrzy. Julia dostała kosmetyki, natomiast ona perfumy i wisior. Perfumy pachniały jakąś obcą kobietą, a biżuterii nie nosiła, jednak skąd Robert mógł o tym wiedzieć. Ale co tam, liczył się fakt.

Choć właściwie zupełnie się nie liczył.

– A Jędrzej gdzie? – spytał Robert, gdy już się z nimi przywitał. – W szkole jeszcze? Mam dla niego kurtkę. Dżinsową. Fajną taką, z naszywkami.

Wszyscy ucichli, nawet Dawid zamarł i przestał wciskać stopy w nowe adidas.

– O co chodzi? – spytał mąż Kaśki. – Żle, że z naszywkami? Tam wszyscy takie noszą.

Julia tylko pokręciła głową. Wargi jej zbieleły.

– To o co?

– O Jędrzeja, tato.

– A co z Jędrzejem?

Znowu cisza. Julia spuściła głowę, jakby sama była winna.

– Dobrze, Robert, że po ponad sześciu latach nieobecności spytałeś o syna. Sama chciałam ci powiedzieć. Od razu. Cztery lata temu.

– Co się stało z Jędrzejem?!

– Słyszysz, co mówię?! Tygodniami próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale numer był nieaktualny, o ile zrozumiałam tego pana.

– Co. Się. Stało. Z moim. Synem.

– List bym wysłała, ale przecież nie wiedziałam dokąd.

– Jędrzej zaginął – powiedziała szybko Julia. – Zniknął. Nie wiemy, gdzie jest.

Robert pokręcił głową.

– Jak to? A zgłoszyliście to na policję?

– Tato, minęły cztery lata. Pewnie, że zgłoszyliśmy. Niczego nie znaleźli. Nikt nie wie, gdzie on jest.

Robert kręcił głową, teraz też blady. Kurtkę dżinsową w szeleszczącej przezroczystej torebce odłożył na kanapę i usiadł. Dawid zaraz znalazł się przy nim, położył rączkę na jego udzie i zaglądał mu w oczy, ale ojciec nie zwracał na niego uwagi.

– Maila mogłyście napisać. Maile odbieram codziennie.

– Szkoda, że nie znam adresu.

Nie wspomniała już, że nie miałyby go skąd wysłać. Nie zainstalowali poczty elektronicznej w komputerze, bo wiadomo – koszty połączeń duże, a zysk z tego żaden.

– Szukacie go? Jak? Plakaty? Internet? Tyle przecież można zrobić, nie siedźcie tak!

Szukamy? Teraz, kurde, o to pyta?

– Julia, opowiesz tacie? – I Kaśka poszła płakać do łóżka Dawida, bo u siebie nie mogła, skoro wszyscy kręcili się w dużym pokoju wokół jej kanapy.

Z łóżka Dawida od razu zadzwoniła do Bożeny. Opowiedziała jej ze szczegółami o samotności, o niepewnych latach, o mężu, który przyjechał nagle i nawet nie wiadomo skąd. Płakała, smarkala i opowiadała, jak całe lata była ze wszystkim sama – z wagarami, z ośrodkiem, z Jędrzejem, któremu chyba zaszkoziła, chociaż chciała dobrze. A teraz jej mąż pojawia się z Amsterdamu czy Rotterdamu i od razu ma pretensje.

Bożena wszystko rozumiała.

– Samą cię ze wszystkim zostawił, kurwa, a teraz z pyskiem?! – zaczęła krzyczeć. – Nie daj się, Kaśka! Ludzie, trzymajcie mnie, co za chuj!

Ależ Kaśkę nakręciły te krzyki. Przestała płakać, wytarła nos, zacisnęła pięści. I już wiedziała, co odpowiedzieć, gdy Robert wtargnął do pokoju i zapytał beczelnie:

– Poprawczak?! Mój syn w poprawczaku?!

– W ośrodku wychowawczym. To nie to samo.

– Kaśka, jak mogłaś do tego wszystkiego dopuścić?!

Czy on miał pojęcie, co tu przeżywała, z czym się borykała? Trójka dzieci i ona sama. Czasem nie miała siły podnieść się rano z łóżka, ale się podnosiła. A on pojawiał się i znikał jak tęcza.

– Bardzo mnie zawiodłaś, Kaśka.

– Nie masz prawa tak mówić.

– Słucham?!

– Nie było cię z nami. Przez tyle lat. Żaden z ciebie mąż, żaden ojciec.

– Ale poprawczak?! Kaśka, co tu się działo?!

– To był, kurwa, ośrodek wychowawczy, głuchy jesteś?!

– Kaśka, nie poznaję cię.

I wtedy nagle się uspokoiła.

– A ja ciebie już wystarczająco dobrze poznałam. Już wiem, że nie można na ciebie liczyć. Przecież od lat radzimy sobie sami. Słyszałeś? Lepiej lub gorzej, ale sami. Bez ciebie.

Milczał.

– I wiesz co? Nie śpisz tutaj. Z dziećmi możesz się widywać, jeśli się wcześniej umówisz. Sam zadzwonisz i się z nimi umówisz.

– Kaśka, no co ty?!

– I ciesz się, że cię nie podaję do komornika o alimenty.

– Przysyłałem pieniądze.

– Czasem. Nigdy nie wiedziałam, kiedy będą i ile.

- Kiedyś nie gadałaś tyle o pieniądzach.
- Kiedyś nie miałam dzieci do wykarmienia i ubrania.
- Ale z ciebie jędza. Nie dziwię się, że dzieciak od ciebie uciekł. Naprawdę się nie dziwię. Strasznie się zmieniłaś, Kaśka.
- Jak przeprosisz, może pozwolę ci zabrać dzieci na parę godzin do zoo. A na razie wypierdalaj!

Mocne słowa czasem są potrzebne, tego też się nauczyła od Bożeny.

Nie patrzyła na Roberta, bo wiedziała, że zobaczy błagalne, przepraszające spojrzenie, od którego zawsze miękło jej serce.

– Kaśka, tak nie można. Dzieci na mnie czekały, a poza tym to przecież mój...

Nadal nie rozumiał, że ona mówi poważnie. Wstała więc z łóżka, zdjęła z wieszaka jego kurtkę i wcisnęła mu rączkę walizki na kółkach. Kiedyś wyjeżdżał z domu z trzy razy mniejszą ortalionową torbą na ramię.

– Idź i przemyśl to sobie. Możesz też poszukać Jędrzeja. Ja już się go naszukałam.

A potem właściwie wypchnęła męża za drzwi.

Przekręciła zamek i oparła się o drzwi plecami, żeby przypadkiem nie sprawdzić, czy Robert nie tkwi na wycieraczce, czekając, aż ona się rozmyśli.

Dzieci stały w przedpokoju i patrzyły na matkę. Mały Dawid miał łzy w oczach.

– Mamo, dlaczego wyrzuciłaś tatusia z domu? – spytał w końcu. – Dlaczego krzyczałaś?

– Cicho bądź, mały durniu. – Julia stuknęła go w głowę. – Dobrze mama zrobiła. Naprawdę dobrze.

– Jak to: dobrze?

– Bo tata nie miał racji. Ani prawa.

I rogata, pyskująca ostatnio bez przerwy córka podeszła do Kaśki i wtuliła się w nią. Tak się kołysały w objęciach, że nawet smutny Dawid wcisnął

się między nie.

– Ja taty zupełnie nie pamiętałem, wiecie? Ale nie chciałem tego mówić, żeby mu nie było przykro. Bo najpierw pomyślałem: „Co to za obcy pan w drzwiach?”. Naprawdę tak pomyślałem.

– Może tata zabierze was do zoo, może gdzieś razem pójdziecie, to się lepiej poznacie. Nie wyrzuciłam go z waszego życia, tylko z domu – powiedziała Kaśka, jakby grała w filmie o kobiecie, która się wreszcie odważyła.



– Przeszło ci? Już dobrze, kochanie? – zapytał Robert następnego dnia przez telefon, gdy Kaśka właśnie po powrocie z pracy odłożyła zakupy na blat i rozmasowywała palce zeszywniałe od wpijających się uszu siatek.

– Z czym dobrze?

– Z nami. Już ci chyba przeszło, co? Nie będziesz na mnie krzyczeć? Byłem na policji, popędziłem ich. Teraz wezmą się do roboty, znajdą Jędrzeja. Na pewno znajdą.

Szkoda, że Robert nie wiedział, że policjant prowadzący tę sprawę urzęduje daleko stąd, w mieście, gdzie ich syn był w ośrodku i zaginął. Nie wydawało jej się, żeby ci tutaj wiedzieli cokolwiek.

– Ja się teraz wszystkim zajmę. Będzie lepiej, Kaśka, naprawdę. Dopilnuję spraw.

Patrzcie go, zbawca się znalazł. Bo bez niego nic tu, kurwa, nie szło! – tak skomentowałyby te słowa Bożena.

– Przecież kocham ciebie i te dzieci – dodał Robert z uczuciem.

Ale Kaśka milczała.

– Z domu pewnie łatwiej by mi było się wami zająć. Wami i tą sprawą.

Nabrała powietrza. Wypuściła. Znowu nabrała.

– O domu zapomnij – odważyła się w końcu powiedzieć, ale zaraz to złągodziła. – O domu to ty na razie zapomnij.

FAZA SIÓDMA

ODNALEZIONA
MAMA SZYMONA

– SŁYSZAŁAŚ? ZNALAZŁA SIĘ. – Grzesiek rzucił gazetę na stół. – Po ponad ośmiu latach. Natascha się znalazła!

Aż łzy napłynęły mi do oczu. A potem w kółko czytałam ten artykuł, zdanie po zdaniu, żeby przyswoić sobie wszystko, co dotyczyło zaginięcia i odnalezienia Nataschy Kampusch.

Natascha zniknęła, gdy jako dziesięcioletnia, grubawa dziewczynka szła z plecaczkiem do szkoły. Porwano ją w Wiedniu, z ulicy. Jakiś mężczyzna wrzucił ją do furgonetki jak worek kartofli i odjechał. Całe zajście widziała z chodnika po drugiej stronie ulicy zeszywniała z grozy, bezradna koleżanka Nataschy. Zapamiętała tylko białą furgonetkę.

Był rok dziewięćdziesiąty ósmy, marzec. Jak u nas. Myślałam wtedy, że może marzec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego to czas, kiedy na całym świecie znikają dzieci.

Na początku policja przykładała się do poszukiwań, rodzice wieszali plakaty, alarmowali media – wszystko jak u nas. Być może matka Nataschy też zbyt często chodziła na komendę, a policjanci chowali się przed nią za biurkami i telefonami. Potem chodziła pewnie coraz rzadziej, bo i tak nie miało znaczenia, ile razy pojawi się na posterunku, skoro dziecka ciągle nie ma. Z upływem lat policja zupełnie odpuściła, a sprawa Nataschy powędrowała na sam dół stosu nierozwiązanych spraw. Dla zbolących rodziców nastąpiły lata ciszy. Nie żyli już zresztą razem, więc chyba było im jeszcze trudniej. A może łatwiej? Przynajmniej nikt ich nie obwiniał każdym spojrzeniem i tonem głosu.

Być może mama Nataschy też się wtedy zastanawiała, czy uznać, że córka nie żyje, i pochować ją w sobie, pozwolić jej odejść. Mam nadzieję, że nie pochowała jej w sobie. Bo dziewczynka żyła. Przez ponad osiem lat siedziała zamknięta w piwnicy o powierzchni pięciu metrów kwadratowych, a porywacz bawił się nią jak lalką. Pokój jej urządzał, ubrania kupował, wybierał zabawki. Grał z nią w chińczyka i warcaby. Wychowywał po swojemu. Karał, gdy nie słuchała; najbardziej lubił pozbawiać ją posiłku albo go-

lić włosy. Ale jeśli się do niego uśmiechała, kupował jej coś ładnego, przynosił książki i gazety, włączał radio. A gdy była bardzo miła, wstawiał jej do pokoju telewizor.

Po kilku latach porywacz powiększył świat Nataschy o swój dom, ten, przez który wchodziło się do jej piwnicy. Lubił, gdy mu sprzątała. Gdy jadła z nim śniadanie. A kiedy Natascha dojrzała, mężczyzna zaczął ją gwałcić, po wszystkim zaś spała z ręką przywiązaną kablem do jego ręki i przez sen czuła każde jego poruszenie.

Natascha sprzątała mu więc i zmywała, była posłuszna i uprawiała z nim seks, zupełnie jak mała żoneczka. Upłynęło ponad osiem lat, a w tym czasie z tęskniącego za matką dziecka stała się kobietą, której cały świat stanowiły piwnica i na głucho zamknięty dom z opuszczonymi roletami. Horyzont jej świata wyznaczał mężczyzna, który ją tam hodował.

Porywacz przyzwyczał się do obecności Nataschy na górze. Miała nie podchodzić do okien, ale przecież czasem musiała się upewnić, że istnieje świat poza piwnicą i domem, więc, narażając się na karę, wyglądała zza spuszczonej rolety lub patrzyła na pasek światła z wolności. Jadali razem, jeśli porywacz uznał za stosowne, żeby w ogóle jadła. Potem sprzątała. Tamtego dnia też – odkurzała jego samochód w garażu. Zawsze drażnił go ten dźwięk, zatem z ulgą wszedł do domu odebrać telefon. Natascha sprzątała pilnie, żeby zasłużyć na pochwałę, ale czuła się nieswojo, nie widząc porywacza. Skoro go jednak nie widziała, mogła chwilę odpocząć. Odkurzacz hałasował, a ona stała obok. Mężczyzna nie zareagował, odeszła więc o krok. Nie zjawił się, nie ukarał jej. Odeszła o dwa kroki i przycisnęła się pod uchyloną bramę garażu. Słońce prażyło w twarz. Stąd też słyszała odkurzacz. Zawahała się i obejrzała na dom, po czym podeszła do furtki i nacisnęła kłamkę.

A na ulicy już nawet nie sprawdzała, czy mężczyzna zareagował, tylko puściła się biegiem, byle dalej. Płuca ją bolały, nogi słabły, ale biegła, biegła, aż wpadła w jakąś bramę i schowała się za płotem. A później wolno podeszła do domu, domu innego niż ten, w którym spędziła osiem i pół roku. Tak, były jeszcze na świecie inne domy.

Byli też na świecie inni ludzie, bo zaraz wyszła podejrzliwa sąsiadka, pytając, co dziewczyna robi na jej posesji. Więc Natascha powiedziała jej, co robi.

Kobieta nie uwierzyła od razu. W końcu nie co dzień spotyka się na swoim trawniku wychudzone dziewczęta, które mówią, że przez ostatnie osiem i pół roku były trzymane w piwnicy, a teraz właśnie udało im się uciec. Natascha jednak wyglądała tak dziwnie, blada i marnie ubrana, a przede wszystkim tyle miała udręki w oczach, że kobieta wezwała policję.

Czy gdyby to był sąsiad, wezwałby policję? Moim zdaniem lepiej, że dziewczyna natknęła się na kobietę, która umiała i chciała wyczytać jej historię z twarzy, z cery, ze stroju. Wiele może zmienić to, że ktoś potraktuje cię poważnie, że ci uwierzy, że od razu zrobi, o co prosisz. Że nie bagatelizuje, nie wyśmiewa: „Co ty możesz o tym wiedzieć?”, „Co ty za bajki opowiadasz?”, „Czego się boisz bez sensu?”. Ciągle się zastanawiam, czy gdyby w komendzie powiatowej zamiast policjanta z rzadkim wąsikiem siedziała tamtego ranka policjantka, która podeszłaby poważnie do tego, że czternastolatek nie wrócił na noc do domu, nasze życie wyglądałoby teraz inaczej.

No i taka jest historia Nataschy. Nie było jej osiem i pół roku. A przecież się znalazła, wróciła do domu, przytuliła do matki i ojca, duża, obca i dziwna, ale kochana i wytęskniona.

Ryczałam za każdym razem, gdy o niej czytałam, płakałam, widząc jej nazwisko i smutne oczy na zdjęciach. Codziennie gazety przynosiły nowe informacje, a ja myślałam, że na świecie może właśnie nastał czas znajdowania zaginionych dzieci.

Przecież historia Nataschy też wydawała się nieprawdopodobna. Wszyscy byli pewni, że porywacz wykorzystał ją i zabił, nikt nie podejrzewał, że ją żywi i bawi się nią. Ale tak, proszę pani, życie wymyśla najbardziej niezwykłe scenariusze.

I razem z tym oklepanym zdaniem wracała do nas nadzieja.

FAZA ÓSMA

CISZA
MAMA SZYMONA

„Rytm ubrany jest w melodię, z jej legato, zmianami wysokości i intensywności. Natomiast w przypadku perkusji rytm zostaje obnażony”.

Harmonia tkwi w liczbach. Muzyka i matematyka
Javier Arbonés, Pablo Milrud

TRUMNA. NIE WIEM CZEMU, ale pamiętam ją, proszę pani, jakbym miała zdjęcie przed oczami. Lakierowana sosna co prawda, nie żaden dąb, ale koronki i okucia, więc wstydu nie było. Na pogrzeb nie przyszło wiele osób, nikt też nie płakał, nawet najbliżsi. Ja nie. Piotrek nie. I nawet Grzesiek nie. Co myśleć o pogrzebie, na którym nikt nie płacze?

Dobrze, że teściowa tego nie widziała.

Leżała sobie w lakierowanej skrzyni na wyściółce z białego atłasu, nie mamrotała, nie przebierała nogami. Cicha, jakiej już nie pamiętałam.

Mieszkałam z nią tyle lat, myłam ją pod pachami, podcierałam, prałam zasikaną bieliznę i pościel, uciszałam ją, karmiłam, uspokajałam i poiłam z kubeczka z dzióbkiem, ale wcale jej nie lubiłam.

A teraz mi jej brakowało.

Kiedy mieliśmy ją w mieszkaniu, ktoś przynajmniej rozpraszał ciszę swoją upierdliwością. Ktoś mamrotał „dzieci śmieci” albo „synku sryнку”, ktoś szurał kapciami w rwanym rytmie, przez co mogłam się denerwować. Nie miałam za dużo czasu na myślenie, bo ciągle trzeba było coś przy mamusi robić, z roku na rok coraz więcej. Sprzątałam po niej, wyjmowałam jej z rąk noże i zapalki, „Jeszcze będziesz płakać”, rano stawiałam ją na nogi i wkładałam bluzkę i spódnicę, „Życierpienie, życierpienie”, wieczorem przecierałam wilgotną gąbką i przebierałam w koszulę nocną, a potem słyshałam z kanapy w dużym pokoju, jak przebiera nogami pod kołdrą przy wtórze „Święta Maryjo, Matko Boża”. Usypiałam przy tym mamrotaniu od czternastu lat.

Z roku na rok stanowiła coraz większe zagrożenie dla siebie i otoczenia. Bo już nie tylko zapalki i noże – teraz potrafiła odkręcić wodę, stać, patrzeć, jak leci z kranu i pryska dookoła, i powtarzać:

– Czas płynie. Czas płynie. Czas płynie. Czas płynie. Czas płynie.

Potem i ona była cała mokra, i blat, który już zaczynał gnić przy zlewie, bo ile może wytrzymać laminat, a podłoga robiła się śliska jak schody kościoła po deszczu. Musiałam więc ciągle zakręcać wodę na całe mieszkanie, głównym zaworem, a wtedy mamusia bezskutecznie kręciła kurkami i mamrotała „Święta Maryjo, Matko Boża”.

Zmarła w marcu, w wielkim poście. Tak, znowu marzec, powie pani. Miesiąc strat.

Zmarła, a wtedy domowi zupełnie zabrakło rytmu.

Stałam przy trumnie w zimnym kościele i nasłuchiwałam, czy mamusia coś zamamrocze ze środka.

Stałam przy trumnie i czekałam, aż zacznie ruszać stopami.

Teściowa umarła. Nikt mi już nie szeptał nad uchem rytmicznych głupot. Mogłam robić to sama. Stałam więc przy trumnie i szeptałam jak katarzynka:

– Widzisz już Szymona, mamusiu? Widzisz? Widzisz Szymona? Daj mi znak, jeśli go widzisz, mamusiu. Daj znak, czy jest już tam, czy ciągle po naszej stronie.

Tak, właściwie modliłam się do niej, choć chyba grzechem jest modlić się do kogoś, kogo nie uznano za świętego.

Przynajmniej tak mi się wydawało, bo księdza na wszelki wypadek nie zapytałam.

Teściowa nie dała mi jednak żadnego znaku w sprawie Szymona, choć wypatrywałam go we wszystkim – w zaciekach na laminacie w kuchni, w zmarszczkach pościeli, w ułożeniu kapci, które ściągnęłam mamie przed snem i które po wszystkim leżały na dywaniku. Nie umiałam jednak nic z tego wyczytać.

A może teściowa po prostu już nie chciała ze mną gadać.



Zwłoki. Tak mi wtedy powiedzieli. Podobno odnalazły się zwłoki.

Policjanci stali w progu. W pierwszej chwili się ucieszyłam, że coś robią, pamiętają, że ciągle coś się w sprawie Szymona dzieje, choć przecież od tamtych telefonów w dziewięćdziesiątym dziewiątym nie weszłam do komendy powiatowej.

Ale kiedy się odezwali, zaczęłam się trząść. Grzesiek złapał mnie za rękę.

– Niemożliwe, proszę panów. Niemożliwe. Przecież bym coś poczuła. Przecież poczułabym, gdyby Szymon zniknął z tego świata jako chłopiec, niższy ode mnie czternastolatek. Poczułabym też na pewno, gdyby jego życie skończyło się później. Poczułabym. Serce matki by poczuło, prawda?

– Proszę się uspokoić, przecież to jeszcze nic pewnego.

Ścisnęłam palce Grzeška, ale po chwili puściłam, żeby włożyć kurtkę.

– Pojadę z panami. Chcę zobaczyć. Sprawdzić.

– Nie ma potrzeby, proszę pani. Nie chcemy budzić w pani zbędnej nadziei.

Nadziei? Że niby wzbudzili we mnie nadzieję?!

– Zrobimy badanie DNA, a wtedy będziemy wiedzieć na pewno.

Gdzie znaleźli ciało? Kiedy? W jakim stanie?

– My nic nie wiemy, proszę pani. My tylko przyjechaliśmy po materiał. Koledzy będą się kontaktować, gdy dowiedzą się czegoś konkretnego. Czy wyraża pani zgodę na pobranie materiału genetycznego? Proszę tu podpisać.

Pogmerali mnie i Grześkowi patyczkami w ustach. Patyczki wsadzili do torebeczek. Torebeczki do pojemnika. I już.

– Co teraz?

– Trzeba czekać na wyniki.

I pojechali.

Nic więcej w tej sprawie nie mogłam zrobić, odkąd pozwoliłam sobie po-

gmerać patyczkiem w ustach, zupełnie nic. Miałam trwać nieruchomo, miałam czekać cierpliwie na wiadomość policji. Czułam się, jakbym stanęła na kołyszącym się pokładzie. Ani kroku w którąkolwiek stronę, bo zjadę do morza i już się nie odnajdę.

Więc trwałam.

Chodziłam do kiosku, gdzie od rana do nocy urzędował Grzesiek, siadałam na podłodze plecami do niego i czytałam te wszystkie kolorowe gazety, którymi handlował. Śluby, rozwody, sukienki, programy telewizyjne, operacje plastyczne, kosmetyki, dzięki którym będę piękna, leki, dzięki którym będę szczupła i zdrowa, wspaniałe życie, które miało tę zaletę, że mnie zupełnie nie dotyczyło. Czekałam.

Wiadomość przyszła po czterech dniach.

To nie on. Znalezione zwłoki nie są ciałem Szymona Lubertowicza.

Tyle dobrego.

Albo złego, zależy, z której strony na to patrzeć.

Dobrego.



Wtedy tak się porobiło, proszę pani, w tej naszej rodzinie: Grzesiek w kiosku, Piotrek w Szczecinie, teściowa na cmentarzu, Szymon wiadomo, a raczej nie wiadomo. A ja w domu, sama, przy oknie.

Przestałam przy nim wiele godzin, dni, tygodni. Przez ten czas blocko na alejkach przykryli chodnikiem z kostki Bauma w szaro-czerwone wzory. Zamiast piaskownicy zrobili klomb z iglakami. Bloki okleili styropianem i pomalowali na wesołe kolory – nasz, na przykład, stał się żółto-pomarańczowy, a ten sąsiedni, który widziałam z okna, różowo-fioletowy. „Kicz, aż zęby bolą” – mówił Grzesiek, ale ja chyba tak wolałam. Kolorowo. Bardzo się też pilnowałam, żeby kolorowo się ubierać, żadnej czerni, żadnej, wie pani dlaczego. Nie byłam przecież w żałobie. A wracając do tego, co za oknem, przybyło także latarni i jakimś cudem („To żaden cud, to Unia Europejska” – mówił Grzesiek. „Co ma Unia do naszych latarni?” – odpowia-

dałam) na ogół wszystkie działały, więc gwiazdy zniknęły z nieba.

Nie, nie zniknęły, głupio mówię. Czy ja już wspominałam, że nienawidzę słowa „zniknąć”? Gwiazdy przecież trwały, gdzieś daleko, tam gdzie zawsze. Po prostu nie było ich widać.

Piotrek pojawiał się w domu tylko na soboty i niedziele. Nie wszystkie. Wyrósł wielki i barczysty, szczękę miał kwadratową jak amerykański gwiazdor filmowy, z niebieskawym cieniem zarostu. No co pani chce, był już dorosły. Szymon też pewnie byłby taki, gdyby dać mu szansę. Nie, co ja gadam! Szymon gdzieś tam daleko pewnie też jest wysoki i barczysty. Założyłabym się, że dziewczyny się do niego garną, a chłopaki boją się go zaczepiać. Jak Piotrka.

Kiedy patrzyłam na Grześka i na siebie, aż się dziwiłam, skąd Piotrek się taki wziął – duży i obcy, wysoki i przystojny. Jeszcze parę lat temu łobuzy zabrali mu pod lasem pieniądze i rower, wrócił wtedy do domu zapłakany, zgnębiony i bezradny. Dobrze, że wrócił – myślałam i tuliłam go. – Dobrze, że już nie ma roweru, bo nie będzie odjeżdżał daleko od domu. Źle, że płakał, ale dobrze, że w moich ramionach. Grzesiek zaraz pojechał tam odebrać, co nasze, ale oczywiście nie znalazł ani roweru, ani tym bardziej pieniędzy.

Teraz nikt by się Piotrka nie odważył napaść – wiedziałam to, widziałam. Zadzieriałam głowę, żeby spojrzeć mu w oczy, kiedy przyjeżdżał z miasta, co tydzień większy, co tydzień bardziej obcy. Był bezpieczny – wiedziałam to, widziałam. Nic mu się nie stanie, nikt nie odważy się go zaatakować. Mogłam wreszcie wypuścić powietrze wstrzymywane latami w oczekiwaniu na drugie uderzenie pioruna.

FAZA DZIEWIĄTA

FALE

MAMA JĘDRZEJA

PIĘĆ MINUS DWA RÓWNA SIĘ TRZY. Ale w sumie to ani przez chwilę nie było pięć, bo Roberta nigdy nie powinna była liczyć – zrozumiała to dopiero niedawno. Tak czy siak, zostali we trójkę: Julia, Dawid i ona. Co nie było złe, naprawdę. Kaśka już nie siedziała jak na szpilkach, że Robert może napisze, zadzwoni, weźmie dzieci i zarzuci je prezentami, a ją komplementami. Przestało jej to być potrzebne. Porozmawiać mogła z Bożeną, z Julią też coraz częściej, a generalnie wiedziała, że liczyć może tylko na siebie.

No dobrze, przez dłuższy czas miała nadzieję, że Robert się zmienił, że dojrzał, zrozumiał. Nie wyjechał nigdzie, podłapał robotę w okolicy, miał kwaterę na budowie ośrodka wczasowego. W weekend wpadał do dzieci, zabierał je i jechali do McDonalda, po domu walały się potem plastikowe zwierzęta z pudełek z hamburgerami. Jednak później zjawiał się w piątek, na chwilę, by powiedzieć, że jutro nie może, ale przynosił dzieciom pizzę w pudełku, bo lubią. A w któryś weekend nie przyszedł w ogóle. Nie odezwał się ani nie odbierał telefonu. Złapała go dopiero po kilku dniach.

– Nie dzwoniłem, żeby im nie było przykro, że po nich nie przyjadę.

To durne zdanie pozwoliło Kaśce zrozumieć jedno: w życiu się z Robertem nie dogada. Jej mąż nic nie kumał, totalnie nic, jak powiedziała Bożena. Nie kumał, że przez cały tamten weekend, w który się nawet do nich nie odezwał, Dawid siedział z nosem przy oknie i nie można go było odkleić nawet obietnicą, że tym razem ona zabierze ich na frytki.

– A jeśli wtedy przyjdzie po nas tata?

– Akurat ci przyjdzie, mały głupku! – wybuchła Julia.

Kaśka nawet nie zwróciła jej uwagi za tego głupka, taka była wściekła na Roberta. Wiedziała, że zniesie wszystko, ale nie to, że ktoś dręczy jej dziecko. Jej dzieci. Nagle poczuła, że za to, by już nigdy nie cierpiały, mogłaby zabić.

Więc kiedy nadszedł następny weekend, wywiozła dzieciaki z domu. Nie będą czekać na Roberta jak idioci, ze smutnymi twarzami przyklejonymi do

szyby. Nigdy więcej, postanowiła. Dostyc już mieli bólu w życiu. To był jeden z lepszych sobotnich poranków – nic nie musieli, siedzieli na pustej plaży, wiatr rozwiewał im włosy, a oni jedli kanapki z szynką i ciasto drożdżowe, które piekła cały wieczór. Włożyła w to tyle pracy, że musieli pojechać. Dawid i Julia trochę protestowali, gdy wcześniej rano w sobotę zrywała ich z łóżek, ale teraz byli zadowoleni. Julia posypywała sobie stopy piaskiem, a Dawid, który bardzo urósł ostatnio, ganiał jak długonogie psi-sko, co nigdy dotąd nie widziało morza. Podbiegał i uskakiwał przed falami, z czego Julia, po raz pierwszy od dawna, śmiała się w głos. Kaśka wyłączyła telefon – nie chciała odpowiadać na wszystko, co mógł jej wykrzyzczyć Robert, a może nie chciała się zastanawiać, dlaczego nie dzwoni. Zamiast czekać na niego, siedzieli i patrzyli, jak jęzory wody zlizują ślady stóp, a potem łązili, cali w piachu. „Mam piasek w przedziałku” – śmiał się Dawid i klepał w tyłek. Po południu poszli na rybę, która była dobra i tłusta, i kradli sobie frytki z papierowych tacek. Do pociągu wsiedli dopiero po dwudziestej pierwszej, tak im było dobrze. W drodze do domu gapili się w czarne okna, a w głowie ciągle słyszeli łoskot fal.

W drzwiach mieszkania tkwiła kartka od Roberta – może był wściekły, a może przeproszał – ale Kaśka nie miała zamiaru jej czytać. Wsunęła ją do kieszeni, gdy niosła wykończonego Dawida do łóżka, a potem podarła i spuściła w kiblu, żeby jej nie kusilo zajrzeć.

– Dobrze robisz, mam. Nie chcę ciągle na niego czekać. Mam od tego dziury w sobie.

– Też tak czuję.

– Nie chcę go kochać. Nie chcę go potrzebować. A już najbardziej nie chcę być taka jak on.

– To zależy tylko od ciebie.

– Mam nadzieję. Szkoda, że dzisiaj Jędrzej nie mógł być z nami, prawda? Może biegałby za falami jak Dawid.

– Albo pożyczył łódkę i popłynął w świat.

– To prędzej. Czy... Jędrzej był taki jak tata?

– Nie pamiętasz?

– Coraz mniej.

– Jędrzej też nie lubił zasad. Przymusu. Ustalonych godzin.

– Ale kochał nas, prawda?

– Bardzo. Pamiętasz, co pisał w listach?

– Lepiej pamiętam to, co pisał, niż to, jaki był.

Obie miały łzy w oczach.

– Oni wszyscy odchodzą, prawda, mamo?

– Ale my trzymamy się razem. To ciągle trzy do dwóch, pamiętaj o tym. Jeśli kiedyś będziesz się bała komuś uwierzyć, przypomnij sobie dzisiejszą plażę. Nie tatę, tylko nas na tej plaży.

Trzy to czasem lepiej niż pięć – pomyślała Kaśka, ale zaraz wymazała tę myśl. Cztery byłoby jeszcze lepsze. Tęskniła za Jędrzejem, takim, jakiego widziała po raz ostatni. I znowu cholerne łzy.

Tak miała czasem. Bo na co dzień przecież dawała radę. Na początku było tak, jakby obcięto jej nogę, a ona nie umiała się poruszać. Ale nauczyła się żyć bez niej, musiała się nauczyć, bo wiedziała, że to się nie zmieni. Już dawno to wiedziała, pewnie jeszcze zanim pochowała pudełko. Nauczyła się chodzić z tą pustką. Teraz nawet chwilami o niej zapomniała, jak dziś nad morzem.

Wiadomo, że bez Jędrzeja już nic nigdy nie będzie takie jak przedtem. Ona już nigdy nie będzie taka jak przedtem. Oni nie będą tacy jak przedtem. Ale kuśtykała do przodu. Były przynajmniej dwie osoby, dla których powinna to robić.

A oni może z czasem przestaną kuśtykać. Pójdą.

FAZA DZIESIĄTA

PANI RENATA
MAMA SZYMONA

OTWORZYŁAM SZUFLADĘ i rozłożyłam plakat z Szymonem oraz listę dziennikarzy, do których wydzwaniałam w dziewięćdziesiątym ósmym.

– Zaginięcie chłopca? Pod koniec dwudziestego wieku? Nigdy się nie odnalazł? – Chwila ciszy. – Przykro mi, ale takich historii są dziesiątki.

– Bardzo pani współczuję, ale to nie jest temat dla nas.

– A dlaczego nagle, po tylu latach mielibyśmy zacząć o tym pisać? Przykro mi, szefostwo nie zaakceptuje tego tematu.

– Od poszukiwań są inne instytucje, przykro mi.

Zaginiony wiele lat temu czternastoletni Szymon Lubertowicz nie interesował nikogo, a krążące coraz większym stadem „przykro mi” zabierały powietrze i światło w pokoju. Już miałam odpuścić, kiedy jedna z dziennikarek zdecydowała się podać mi namiary na jakąś niedawno powstałą fundację zajmującą się zaginionymi.

Pani z fundacji miała twardy głos, którym wypowiadała miękkie, współczujące słowa. Ona mnie nie zbywała, przeciwnie – traktowała poważnie moje obawy i podejrzenia. Zaraz się okazało, że jej też kiedyś zaginął syn, więc nie musiałam tłumaczyć rzeczy podstawowych. Ona też przez kilka lat nie wiedziała, co się dzieje z jej chłopcem, aż wreszcie policja go namierzyła. Wtedy on stwierdził, że jest pełnoletni i nie chce wracać do domu. Nie wiedziałam, dlaczego tak się stało, ale już się nauczyłam, żeby nie osądzać, bo mnie po zaginięciu Szymona osądzano zbyt łatwo. Ją pewnie również. Wiedziałam, co przez parę lat przeżywała ta matka. A ona wiedziała, co przeżywam ja.



Chłopcy spoglądali na mnie ze zdjęć, które rozłożyła pani Renata. Trzech chłopaków zaginionych niemal dokładnie rok po Szymonie. Wszyscy zniknęli w naszym województwie, zachodniopomorskim.

Pierwszego marca dziewięćdziesiątego dziewiątego roku zaginął Darek

Woźniak. Ciemne oczy, półdługie włosy, duże usta, wydatne kości policzkowe. Jak brat – pomyślałam. – Ten Darek wygląda jak jeszcze jeden brat Szymona, taki bardziej łobuzowaty, mniej delikatny, ale brat.

Drugi chłopiec na zdjęciach był blondynem o perkatym nosie, uroczym jak urwis z filmu dla młodzieży piętnastoletnim piegusem, ale nie patrzyłam na niego. Patrzyłam na trzeciego – Jędrzeja Zarębę. Ciemne oczy, półdługie włosy, duże usta, wydatne kości policzkowe, trochę zbuntowane usta. Też wyglądał jak brat Szymona, może cioteczny. On i blondyn zniknęli trzydziestego marca dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Wszyscy trzej bez śladu. Żadnych ciał, żadnych tropów.

– Przypominają pani kogoś? – spytała pani Renata. – Bo mi tak.

I wyciągnęła czwarte zdjęcie – to, które sama jej wcześniej wysłałam.

Szymon. Piękny, choć do fotografii poważniejszy niż na co dzień. Ciemne oczy, włosy, których nie lubił ścinać, ale wolał co chwila odgarniać. Duże usta, meszek nad górną wargą, ledwie cień. Jak u tamtych dwóch. Gdyby stanęli obok niego, ktoś mógłby pomyśleć, że są rodziną. Kiedy położyła te zdjęcia obok siebie, można było pomyśleć to samo.

– Niech pani posłucha. Skonsultowałam się z wolontariuszami fundacji, przyjrzeliliśmy się paru rzeczom. Porównaliśmy daty zaginięć. To był zawsze marzec. Sprawdziliśmy odległości na mapie. W najwyżej dwie godziny człowiek objedzie wszystkie te trzy miejscowości, w których zaginęli chłopcy. Ci dwaj mieli czternaście lat jak Szymon. Ten blondynek, Kamil, piętnaście. Dla mnie to oczywiste: musi być jeden sprawca.

– Sprawca?

– Cóż, tyle rzeczy jest tutaj zbieżnych. Jest ich tak dużo, że trudno mi uwierzyć w zbieg okoliczności. Czternastolatki. Marzec. Zniknęli bez śladu. Na niewielkim obszarze. Przecież wiadomo, że zboczeńcy mają swoje schematy działania. I ulubione typy ofiar.

– Myśli pani, że porwał ich ten sam człowiek? Ten sam, który złożył w kostkę kurtkę Szymona nad rzeką, a jego zabrał gdzieś samochodem?

Pokiwała głową.

– Może tak być.

– Ale kto? Kto to był?

– Na razie to tylko hipoteza. Badamy sprawę z wolontariuszami. Chcę porozmawiać z rodzinami pozostałych chłopców, może znajdziemy więcej punktów zbieżnych.

– Dlaczego marzec? Dlaczego akurat marzec?

– Jak mówiłam, to raczej nie przypadek. Tylko że powody mogą być przeróżne. Dajmy na to, że sprawca co roku przyjeżdżał w marcu do zachodniopomorskiego na urlop lub w delegacji. Brzmi sensownie, prawda? A może ma w okolicy rodzinę lub znajomych, których regularnie odwiedzał w tym okresie? Sprawdźmy także, czyje imieniny są w marcu. Może również chodzić o urodziny albo jakąś rocznicę. Na przykład śmierci, w którą sprawca pojawiał się na cmentarzu w zachodniopomorskim. Niewykluczone też, że z jakichś powodów jedynie w marcu miał dostęp do lokalu, w którym przechowywał swoje ofiary...

Oszalał mi tempo, w jakim mnożyła domysły.

– Dlaczego ja pani nie spotkałam wtedy?

– Kiedy?

– W marcu dziewięćdziesiątego ósmego.

– Nie na wiele bym się pani przydała. Wtedy nawet mi się nie śniło, że kiedyś będę się zajmować takimi rzeczami. Mieszkałam we Włoszech, zaczynałam nowe życie i myślałam, że od tej pory będzie już tylko lepiej. Nie było. Ale nie mam żalu do losu. Człowiek musi pocierpieć, żeby dojrzeć.

Tu akurat zgodziłaby się z nią moja teściowa.

– Ale dlaczego chłopcy przestali znikać? – zastanawiała się dalej. – Sprawca porywał ich przez rok i nagle przestał? Najpierw jednego, później trzech, bo nabrał apetytu, a potem żadnego? Dziwne, prawda? Tacy nigdy nie przerywają, chyba że umrą albo się ich złapie. Nikogo takiego nie złapała, sprawdziłam.

– Może mu czterech wystarczyło? Czterech chłopców, proszę pani, to cały tłum. A wykarmić, a ubrać, a upilnować, i to przez tyle lat...

Tak, teraz byłam już pewna, że chłopcy, we trzech albo w czterech, siedzą gdzieś razem, w jakiejś piwnicy może, jak Natascha Kampusch, i się wspierają. Szymon nie jest sam, ma kolegów. Piwnica, ich trzech podobnych jak bracia, blondasek gdzieś z boku. Pomagają sobie. Nie jest im najgorzej.

Ale pani Renata milczała. I wtem coś do mnie dotarło. Przecież nikt nie trzymałby latami czterech dorastających chłopców w piwnicy. Nikt.

Otworzyłam torebkę i zaczęłam przeszukiwać kieszonki w nadziei, że w którejś ostał się błękitny xanax, ale po trzeciej rundzie poszukiwań zrozumiałam, że już łyknęłam wszystkie i że poza dłonią pani Renaty na mojej dłoni nic mi na razie nie pomoże.

Pani Renata odezwała się dopiero po chwili.

– Napiszę o tym na stronie fundacji. O tajemniczym zaginięciu czterech chłopców. O tym, że te sprawy można powiązać. Spróbuję zainteresować tym media. Czuję, że to bardzo dobry temat. Jeszcze o nich będą mówić, będą pisać. I może wreszcie po latach ich znajdą.

To bardzo złe życie, ale bardzo dobry temat. Tak to właśnie działa w mediach. Od zawsze. Czterech zaginionych to dobra historia, dużo lepsza niż jeden, bo jeden zajmuje media tylko przez osiem dni. Sprawdziłam to lata temu.

FAZA JEDENASTA

POGODZENIA
TATA DARKA

NIE WIEDZIAŁEM, KTO I CZEMU PISZE DO NAS, ale zobaczyłem napis WAŻNE, więc otworzyłem kopertę. A w środku jakieś trzy kobiety pisały, że zaginęli im synowie. I że nam też syn zaginął. W tym samym czasie. I że to wszystko wydaje się podobne. I żeby może ich razem poszukać.

Ciekawe, że matki pisały, nie ojcowie. Bo ojcowie po prostu wiedzą, że szukanie nie ma sensu, jeśli Pan Bóg chciał kogoś zabrać, a potem minęło tyle lat. A matki nie chcą tego zrozumieć. Matki ciągle zbierają się i mówią – kobiety tak strasznie szybko mówią – że to skandal, że policja nic nie robiła, że w gazetach za mało pisali, a tu przecież znalazła się dziewczynka z Wiednia, że po ponad ośmiu latach, że porywacz, że piwnica i że kto wie, gdzie są trzymane te wszystkie inne dzieci, co zaginęły. Marzena też dużo mówiła i szybko. Tak dużo i szybko, że często nie słuchałem, tylko na początku, później już nie, bo i tak wiedziałem, co powie.

A potem odpowiadałem. Jak najwolniej. Z namysłem. Im ona szybciej, tym ja wolniej. Bo tak trzeba mówić, żeby czegoś nie palnąć bez sensu.

„Księżda słuchaj” – mówiłem. „Opatrzność nad nami czuwa” – mówiłem. „Po co tyle niepokoju?” – mówiłem. „Pochowaj dzieciaka w swoim sercu, jeśli nie możesz na cmentarzu. Tak miało być” – mówiłem. „My przecież nigdy nie mieliśmy mieć dzieci” – mówiłem.

Może i tamte matki nie.

Tylko że one tego nie rozumiały.

A ja tak.

I wrzuciłem ten list do ognia, żeby Marzena nie zobaczyła.



Ale potem przyjechała ta pani. Akurat szedłem po papierosy do GS-u. Złapała mnie przy furtce i że ona tu w sprawie tajemniczych zaginięć chłopców pod koniec lat dziewięćdziesiątych.

Najpierw nie rozumiałem, o co chodzi. Stoi jakaś taka w furtce, gapi się

na mnie i na obejście. Włosy trochę rozczochrane, a nad oczami wymalowane takie kreski bez sensu. Albo ktoś ma rzęsy, albo nie ma. Darek miał. Ta pani nie bardzo. Tylko te kreski. Ale stoi i opowiada o jakichś chłopcach.

– Ale ja nic nie wiem o żadnych chłopcach.

– To nie pana syn zaginął w marcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego? Darek? Dariusz Woźniak?

– No, mój Darek. Ale Darek nie żyje. Leży gdzieś w jeziorze. Utopił się.

– Skąd pan to wie?

– Policja mówiła.

– Aaa, policja. – Kreski nad oczami jej się zmarszczyły, jakby sama była ważniejsza od całej komendy.

– Policja wie, co mówi, proszę pani.

Patrzyła na mnie tak, że aż bąknąłem, że już muszę iść po papierosy. Nie odezwała się, ale dalej stała w furtce i zagradzała mi drogę. Niewysoka, za to zdecydowana. Powiedziała, że jest z jakiejś tam fundacji, i pokazała nawet dokument, ale nie patrzyłem, bo po co.

– Takie młode przyjmują teraz do pracy?

– Czy pamięta pan okoliczności zaginięcia syna?

– Czy pamiętam co?

– Jak syn zaginął.

Pamiętałem. Ale nie lubiłem myśleć o tym, jak Darek szedł przez pola w tej grubej niebieskiej bluzie, aż zniknął w lesie. Nie lubiłem myśleć o tym, że nie chciał iść do szkoły w tamten poniedziałek, jakby coś przeczuwał, a ja mu kazałem. Nie lubiłem myśleć o tym, że na odchodnym powiedziałem mu: „Nie guzdraj się tak, melepeto!”. A przedtem jeszcze: „Trzeba było wczoraj sięść na rzyci i zrobić lekcje do końca, a nie latać jak kot z pęcherzem. Nie musiałbyś teraz z rana lekcji opuszczać”. Czasem na niego krzychałem, więc może i wtedy, tego ostatniego dnia też. Nie wszystko pamiętałem. I nie chciałem o tym nikomu opowiadać, a już na pewno nie tej panience, co stała w furtce i zadzierała głowę, jakby była taka ważna. Za

młoda była, żeby mieć dzieci. A jak nie miała dzieci, to i tak nic by z tego nie zrozumiała.

– Daliśmy mu na imię Darek...

– Wiem.

Była z tych, co nie dadzą człowiekowi pomyśleć i powiedzieć do końca, tylko wszystko zaraz i zaraz. Tak ich może wyszkolili w tej fundacji. Specjalnie zacząłem mówić jeszcze wolniej.

– Daliśmy mu na imię Darek, bo był naszym darem. On nie miał się urodzić. Dlatego się cieszę, że był z nami chociaż piętnaście lat.

– Co pan opowiada?!

– Pan Bóg dał, a potem zechciał wziąć. Pani jeszcze za młoda, żeby to zrozumieć. Wszystko, co Pan Bóg dał, Pan Bóg może zabrać. Nie wolno się z Panem Bogiem kłócić.

Stałem przy furtce, więc gdy z nią rozmawiałem, musiałem patrzeć na jezioro. Nie mogłem spuścić głowy, jak zawsze, gdy wychodziłem z obejścia. Niegrzecznie byłoby bąkać pod nosem, gdy się mówiło z panią, co przyjechała specjalnie do mnie, a poza tym była za młoda, za silna i za szybka. Więc widziałem jej twarz i widziałem jezioro.

– Ale matki tamtych chłopców, proszę pana... One chciałyby działać razem. W jedności siła, rozumie pan? One chcą razem szukać chłopców. Albo ich ciała. Żeby mieć jakąś pewność. Nie wie pan, jaka ważna w życiu jest pewność?

– Mój syn od lat leży w jeziorze. Kogo będę szukał?

Obróciłem się na pięcie i poszedłem do chałupy, a błoto kłaskało mi pod podeszwami. Nawet o papierosach zapomniałem, tak bardzo nie chciałem rozmawiać o tym wszystkim.

Nie, nie zapomniałem. Znowu chciało mi się palić. Stanąłem na ganku i przetrząsałem kieszenie. Czułem jej wzrok na plecach, czułem, jak patrzy na mnie spod tych kresek nad oczami głupich jak u Indian. W kieszeniach znalazłem tylko dwa kapsle. Powąchałem je, ale już prawie nie było czuć piwa. Strzeliłem kapslem na dach kurnika, strzeliłem drugim i wszedłem do

domu. Zacząłem sprawdzać kieszenie kurtki i spodni roboczych, żeby znaleźć papierosa, ale na darmo.

Tamta jeszcze stała w furtce. Patrzyła na podwórze, na dom, na stos pustaków, na kurnik, oborę i szopkę. Nie podobało mi się to, ale droga przecież niczyja. Każdy może stać. I patrzeć.

A dom mój, mogę się położyć i gapić w sufit. Tamta kiedyś wreszcie pójdzie, a ja nie będę musiał patrzeć na jezioro ani wspominać tamtego dnia.

I wreszcie poszła.

FAZA DWUNASTA

RAZEM

MAMA SZYMONA

„W rozmaitych kulturach na całym świecie stosuje się czasem praktykę perkusyjną nazywaną »polirytmia«, w której różne motywy o różnych frazach łączą się w złożoną, uporządkowaną i dźwięczną całość”.

Harmonia tkwi w liczbach. Muzyka i matematyka
Javier Arbonés, Pablo Milrud

TYM SPOSOBEM ZNALAZŁAM SIĘ naprzeciwko nich. Wreszcie, po latach.

Pierwsza była grubsza i miętosła papierosa. Dłonie też miętosła, pulchne, niespokojne, do tego stukwała stopą w podłogę, a potem palcami w blat. Cała była niepotrzebnymi ruchami, a obrazu dopełniały podkrążone, smutne, rozbiegane oczy. Na niczym nie umiała długo utrzymać wzroku, jakby ciągle chciała być czymś zajęta, czymś innym niż własnymi myślami. Bożena, mama Kamila. Wilgotna dłoń, silny, krótki uścisk.

Druga była chuda i szara, cała szara. Pod oczami nawet bardziej i mocniej, ale co się dziwić, przecież wszystkie mało i rzadko sypiałyśmy, tego byłam pewna. Włosy i makijaż bez przesady, na tyle, żeby się nie wyróżniać. Wyróżniała się jednak. Wystarczyło na nią popatrzeć i od razu było widać, że pod pudrem ukrywa szarość, a pod w miarę obojętną miną – cierpienie. Kaśka, mama Jędrzeja. Dłoń zimna, uścisk słaby, długi, jakby się bała puścić cudzą rękę.

Trzeciej nie było. Mama Darka nie przyjechała.

Mój Grzesiek też nie chciał przyjechać. „Kiosk” – mówił. Ale wiedziałam, że nie o kiosk chodzi, chociaż nie byłam pewna, o co tak naprawdę.

Ale ja byłam. Siedziałam obok pani Renaty, kobiety z fundacji, i miałam nadzieję, że coś się wreszcie ruszy. W poszukiwaniach. W naszym życiu.

– Zaczniemy? – spytała Kaśka i wyciągnęła z torebki małąkę z żołądkową gorzką.

Ona i Bożena wlały sobie trochę do kawy, a potem podały mi buteleczkę.

– Biorę xanax – podziękowałam.

– Ja też. – Bożena wzruszyła ramionami.

Patrzyłam na nią i na Kaśkę. Znały się dobrze, coś sobie szeptały, a ja żałowałam, że nie spiknęłam się z nimi wcześniej. Pewnie byłoby łatwiej, inaczej. Może trzeba było uważniej czytać gazety i bardziej naciskać na policję, żeby w swoim czasie szukała podobnych spraw.

Moja wina. Moja wina. Moja wina.

Wina zmiksowana z nadzieją, jak w tym drogim koktajlu owocowym, który wypiliśmy na dworcu, czekając na to spotkanie.

Pani Renata zamówiła nam salkę na tyłach Telepizy, żebyśmy mogły spokojnie porozmawiać. Albo niespokojnie. W każdym razie całą tę salkę miałyśmy dla siebie, takie byłyśmy ważne przez naszą tragedię.

Bożena zaplotła ręce na piersiach i patrzyła na mnie. Kaśka uśmiechała się do mnie lekko, samymi wargami, ale oczy miała smutne, podkreślone na szaro. Przez życie, nie przez kosmetyki.

Pani Renata odchrząknęła, upiła kawy i rozłożyła na stole zdjęcia. Bożena i Kaśka pochyliły się nad nimi i słuchały o marcu, o wieku chłopców, o ich fizycznym podobieństwie i o prawdopodobnym sprawcy.

– No pewnie, ma pani rację, ale co z tego? – prychnęła Bożena. – Przyjechałam, bo ja dla mojego dziecka zrobię wszystko, ale nie widzę w tym sensu. Po co to wszystko, jak oni nie żyją?

– Nie żyją?! A skąd pani to wie?! – Poderwałam się zdenerwowana, że znowu coś przegapiłam, że znowu czegoś nie dopilnowałam, że znowu czegoś nie zrozumiałam.

A ta, że już ich opłakały, że chłopcy leżą w szambie i coś o jasnowidzu.

Wszystko było nie tak. I na pewno o całe lata za późno. Płakać mi się chciało. Wsadziłam rękę do torebki, wymacałam kieszonkę, a w niej tabletkę. W razie czego ją mam, w razie czego.

Usiadłam z powrotem i próbowałam sobie przypomnieć, dlaczego tak uparcie wierzę, że Szymon wciąż żyje. I przypominałam sobie. Bo przecież

bym poczuła, gdyby było inaczej.

Tylko że to brzmiało bardzo podobnie do „Jasnowidz powiedział”.

Już wiedziałam, że z Bożeną raczej się nie dogadam. Spojrzałam więc na Kaśkę, a ta uśmiechnęła się do mnie, samymi wargami, ale zawsze. Miała łązy w oczach. A potem pociągnęła kawy z dodatkiem żołądkowej gorzkiej. W tym momencie pożałowałam, że nie pozwoliłam sobie nalać, bo ręce mi drżały z nerwów.

– Ja nie mam zamiaru opłakiwać Szymona! – Głos też mi drżał. – Pomyślcie o matce Nataschy Kampusch. Jak jej córka by się czuła, gdyby matka zdążyła ją opłakać?! A przecież dziewczyna wróciła do domu, chociaż wszyscy już stracili nadzieję! Nie będę opłakiwać Szymona, kiedy nikt nie znalazł ciała. Tak nie można, rozumiecie?!

– Ale ja nie mówię o twoim synu! – rzuciła Bożena. – Mówię o naszych dzieciakach! To przecież niemożliwe, żeby tacy kochający chłopcy przez tyle lat się do nas nie odezwali! Niemożliwe, żeby uciekli z ośrodka, ale nie przyjechali do domu! Tak się nie zdarza! I dlatego wiemy, że ich już po prostu nie ma. Każdy tak myśli.

– Każdy?

– No jasnowidze, mówiłam przecież!

Byłam już pewna, że ta rozmowa i całe to spotkanie są bez sensu. Bo co, teraz obie będą mi tłumaczyć, że nasi chłopcy nie żyją? Wsunęłam dłoń do torebki i chwyciłam xanax.

Wtedy wstała pani Renata.

– Drogie panie, ja nie wiem, czy wasi synowie żyją. Chciałabym tak jak wy, by żyli. Ale ważne jest też, by znaleźć tego, który ich porwał. Bo co, jeśli sprawca jest wciąż na wolności? Jeśli popełnia lub planuje kolejne zbrodnie? Chciałybyście, żeby inni rodzice cierpieli tak jak wy? Żeby ginęli kolejni chłopcy?

– A jak my możemy pomóc w tej sprawie? Nic więcej nie da się zrobić – powątpiewała Kaśka. – Tyle lat minęło. Policjanci nie kiwną już palcem.

– Policjanci coś zrobią, jeśli tylko się ich nakieruje, chociaż trochę im po-

może! – stwierdziła pani Renata. – Nigdy przecież nie szli tropem seryjnego zabójcy. Zresztą czasy się zmieniły. Już nie jesteśmy na nich skazane. Mamy inne środki: internet, fundacje, które szukają zaginionych, badania DNA. I będzie jeszcze z tego wielka, głośna historia. Jak u Nataschy Kampusch.

– Dobra! – krzyknęła Bożena.

Kaśka otarła łzy z oczu.

Ja włożyłam dłonie między uda, żeby przestały drżeć. Pastylka xanaxu wpadła mi pod stół, więc rzuciłam się na kolana, by ją znaleźć.

Wtedy właśnie zrozumiałam, że tę historię, która stała się nasza, wspólna, musimy wypieścić i dokarmić, żeby urosła i zrobiła karierę. Że im głośniej będzie krzyczeć Bożena, im częściej Kaśka będzie ocierać łzy i im częściej moje drżące dłonie będą upuszczają pastylki xanaxu, tym opowieść będzie lepsza i więcej mediów się nią zainteresuje, bo one lubią krew, tajemnice i emocje. I że nie ma się co o to obrażać.

Trzeba o tym krzyczeć, trzeba to nagłaśniać i nie wolno się poddawać! Przecież jest nadzieja, jest Natascha Kampusch. Może po sezonie na zaginięcia dzieci nastąpi sezon na ich odnajdywanie. Święta Natascho, patronko zaginionych dzieci, módl się za nami!

Módl się za nami. Dlatego potem, już bez pani Renaty, poszliśmy we trzy do najbliższego kościoła i dałyśmy na mszę za naszych zaginionych synów. Cokolwiek się z nimi stało, gdziekolwiek są, niech im tam będzie dobrze. Niech się znajdą. Za tego Darka też dałyśmy parę złotych. Niech ma. Bożena krzyczała, że czarne pijawki i że żaden jej, kurwa, nigdy nie pomógł, ale i ona dorzuciła się do mszy, bo bała się nie dorzucić.

– Na wszelki wypadek podlizę się Panu Bogu – powiedziała.

„Podliznąć”? To nie było ładne słowo, zwłaszcza w połączeniu z Panem Bogiem, ale nie skomentowałam.

Gdy już zapłaciłam za mszę w kancelarii parafialnej i pożegnałam się z Kaśką i Bożeną, poszłam się pomodlić, coraz bardziej niepewna, do kogo się modłę. Do tego, który zabrał nam syna? W kościele panował chłód, przy

ołtarzu płonąła czerwona lampka, a ja klęczałam w ławce z pustką w głowie. Nie chciały przyjść do mnie żadne słowa. A przecież tyle lat powtarzałam w podobnych ławkach:

„Panie Boże, niech Szymon się znajdzie”.

„Niech się dowiem, gdzie jest”.

„Niech wróci”.

„Niech się chociaż dowiem, co się stało”.

Wszystkie te prośby już się zużyły, tyle razy wypowiedziane, wymamrotane, wyszeptane. Więc dzisiaj klęczałam i milczałam, całkiem nawet długo. Ale nie spłynęła na mnie żadna łaska.

FAZA TRZYNASTA

ŚRÓD TYTUŁY
MAMA SZYMONA

GDZIE ONI SĄ? SERIA TAJEMNICZYCH ZAGINIĘĆ CHŁOPCÓW W LATACH 90.

Agnieszka Lubertowicz co chwila podchodzi do okna, przez te wszystkie lata weszło jej to w krew. Ciągle wygląda swojego syna, którego ostatni raz widziała wieczorem 21 marca 1998 roku, gdy Szymon szedł nad rzekę świętować z kolegami nadejście wiosny. Nigdy nie wrócił do domu.

Według policyjnych statystyk co roku ginie prawie 7 tysięcy dzieci w wieku do 17 lat. Większość już w ciągu pierwszego tygodnia wraca do domu. To ta dobra wiadomość. Zła jest taka, że 5 procent zaginionych dzieci nie odnajduje się nigdy – nie ma ani osoby, ani ciała. Co to oznacza? Że co roku przybywa około 350 rodzin, które w nieskończoność czekają na zaginione dzieci lub jakkolwiek wiadomość o nich.



I tu, po śródtytule „Szymon poszedł witać wiosnę”, następowała opowieść o zaginięciu mojego syna, która w druku wydawała mi się dziwnie oschła, a jednocześnie – za sprawą wstawek typu „kobieta ma łzy w oczach” czy „matce trzęsą się ręce” – strasznie tragiczna. Przebiegłam ją tylko wzrokiem, bo kiedy próbowałam czytać dokładniej, naprawdę łzy napływały mi do oczu.

Historie opowiedziane przez mamy Kamila i Jędrzeja też już znałam prawie na pamięć. Przez chwilę skupiałam się na opowieści o Darku, ale dziennikarka, podobnie jak my, niewiele miała o nim danych. Za to cały czas uparcie starałam się nie myśleć o liczbie 350, a zwłaszcza nie mnożyć jej przez te wszystkie lata, które upłynęły od zaginięcia Szymona, bo robiło mi się zimno na myśl o armii zaginionych dzieci i nastolatków. Gdzie oni wszyscy się podzieli?

„Czyżby na Pomorzu Zachodnim grasował seryjny morderca?” – zastanawiała się dziennikarka w kolejnym śródtytule. „Seryjny morderca” brzmiało jak z powieści lub filmu, a nie ze zwykłego życia rodziny Lubertowiczów z Miasteczka, więc ręce zaczęły mi się trząść, gdy czytałam o tych wszystkich tropach i domysłach, o których nieraz rozmawiałyśmy z panią Renatą. A potem przeskoczyłam do następnego śródtytułu.



DZISIAJ BYŁOBY CAŁKIEM INACZEJ

Kiedyś zakres i tryb poszukiwań zależały głównie od uznania i możliwości danej jednostki policji. Jeśli rodzice zaginionego mieli pecha trafić na opieszałego funkcjonariusza, poszukiwania nie były specjalnie nasilone. Gdy policjant od początku był zwolennikiem teorii o utonięciu, nie przykładał się do przeszukiwania okolicy, tak jak w przypadku Szymona czy Darka. Teraz w takich sprawach funkcjonariusze kierują się zarządzeniem numer 124 Komendanta Głównego Policji, czyli od razu nadają zaginionemu kategorię i działają zgodnie z procedurami. Ich praca nadzorowana jest dodatkowo przez powstałe w 2013 roku w Warszawie policyjne Centrum Poszukiwań Osób Zaginionych. Pracują tam fachowcy specjalizujący się w problematyce zaginięć. To oni stworzyli kategorie osób zaginionych, które mają zwiększyć skuteczność podejmowanych działań. Dzięki powszechnej cyfryzacji policja ma większe możliwości. Gdyby wspomniani chłopcy zaginęli w ostatnich latach, szanse ich odnalezienia byłyby znacznie większe.

Dzisiaj Szymona Lubertowicza i Darka Woźniaka zaliczono by – z racji wieku i tego, że do tej pory nie uciekali z domu – do pierwszej kategorii zaginionych. To kategoria najbardziej priorytetowa, w której ze względu na prawdopodobne zagrożenie życia lub zdrowia zaginionego poszukiwania prowadzi się bardzo ofensywnymi metodami. Część tych metod pewnie by się powtórzyła – niewątpliwie pojawiłby się pies tropiący, a bliskość wody wymusiłaby wykorzystanie nurka. W poszukiwaniu wskazówek policja przejrzałaby rzeczy zaginionych, porozmawiała z ich kolegami i nauczycielami. Może poprosiłaby media o opublikowanie zdjęć i wiadomości o chłopcach.

Jednak obecnie możliwości jest więcej. Teraz policja pobrałaby billingi komórek chłopców, sprawdziła ich komputery i ostatnie wyszukiwania, poszukała informacji na portalach społecznościowych. Policjanci przejrzeliby wszelkie zapisy z monitoringu w rejonie zaginięcia, a ponadto skontaktowali się z okolicznymi szpitalami i pogotowiem ratunkowym, noclegowniami, izbami dziecka i wytrzeźwień.



Czy wtedy policjanci zrobili wszystko, co mogli? Nie sądzę. Od razu wymyślili, że Szymon się utopił, i tego się trzymali. Inne rzeczy robili bardzo niechętnie i pewnie tylko dlatego, że ciągle ich z Grześkiem nachodziliśmy.

Czy teraz zrobiliby więcej? Może. Ja na pewno.

Gdyby Szymon miał wtedy telefon komórkowy, jak każdy czternastolatek dzisiaj, zaraz bym do niego zadzwoniła, zaraz bym spytała: Gdzie jesteś synu? Dlaczego się spóźniasz? Wracaj, kolację ci zostawiłam. A on by wrócił. Tak by było.

Albo gdyby prowadzono już wtedy badania DNA, można by sprawdzić,

kto zostawił ślady na kurtce na brzegu, czyje ręce tak naprawdę składały ją w kostkę. Dziś to badanie nie miałoby sensu. Tyle razy przytulałam tę kurtkę, leżąc na łóżku Szymona, że z pewnością była cała w moim materiale genetycznym.

Dzisiaj też, zamiast wieszać plakaty na słupach i patrzeć, jak po kilku deszczach spływają w strzępach na ziemię, wrzuciłybyśmy zdjęcia chłopców na Facebooka i wszyscy by je udostępniali. Pewnie dużo wcześniej trafiłabym na Bożenę i Kaśkę, pewnie wcześniej zrozumiałybyśmy, że razem możemy więcej, pewnie wcześniej media podłapałyby ten temat, pewnie o sprawie mówiłaby cała Polska, jak o sprawach Iwony Wieczorek czy Piotra Kijanki. Do tej pory pewnie dawno już byśmy coś wiedziały.

Falstart, Szymon. Falstart.



Natomiast Jędrzej Zaręba i Kamil Sosnowski - z racji tego, że zaginęli (prawdopodobnie uciekli) z Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego i że mieli już na koncie ucieczki - zostaliby zaliczeni do trzeciej kategorii zaginionych, niewymagającej działań ofensywnych. Powiadomienie policji i rodziców leżałoby w gestii ośrodka. Ośrodek obie te rzeczy powinien zrobić jak najszybciej. Ale nie zrobił. Dziś już trudno stwierdzić dlaczego.

NIE WYBIELAĆ!

Poza udostępnieniem policji najbardziej aktualnego zdjęcia zaginionego ważne jest mówienie prawdy. Nie tylko o tym, jakie mieliście kontakty z synem lub córką, ale na przykład o tym, czy dziecko piło, czy brało narkotyki, czy miało kłopoty z nauką albo z rówieśnikami - bo to częsta przyczyna ucieczek. Rodzice mają tendencję do wybielania zaginionych dzieci. Lepiej tego nie robić, dla dobra dziecka właśnie, gdyż policja, posiadając niepełne dane, będzie dużo mniej skuteczna.

Funkcjonariusze na pewno też przyjadą do was, by przeszukać pokój i rzeczy dziecka, pobrać próbki jego pisma, odciski palców, DNA. Nie sprzątajcie przedtem, nie chowajcie i nie wyrzucajcie niczego. Wam może się coś wydać mało ważne, a dla policji będzie kluczowe.

Policja nie zaleca również zatrudniania jasnowidzów ani prywatnych detektywów, choć każda wiadomość mogąca mieć wpływ na wynik poszukiwań, nawet pochodząca od jasnowidza, prawdopodobnie zostanie sprawdzona w śledztwie.



Ominęłam fragment o jasnowidzach - w końcu słyszałam już to wszystko

od Kaśki i Bożeny i właściwie w to nie wierzyłam. Jeśli ktoś miałby wy-
czuć cokolwiek w sprawie mojego dziecka, to ja, nie jakiś obcy mężczyzna,
który go w życiu nie widział, a wyglądał tak, że nie kupiłabym od niego na-
wet używanego roweru.

Na końcu artykułu następowały dramatyczne pytania:



CZY POLICJA PODEJMIE TROP SERYJNEGO MORDERCY?

Cztery matki zaginionych nastolatków z zachodniopomorskiego ciągle czekają
na jakąś wiadomość o swoich synach. Czy się doczekają?



O ojcach ani słowa, uświadomiłam sobie. Cały artykuł wyłącznie o mat-
kach. W imieniu Grześka poczułam się urażona.

A pod spodem była jeszcze ramka:



CO ROBIĆ, GDY ZAGINIE DZIECKO LUB KTOKOLWIEK BLISKI?

Od razu udać się do najbliższej jednostki policji!

CO WZIAĆ ZE SOBĄ?

Najbardziej aktualne, najwyraźniejsze zdjęcie zaginionego czy zaginionej.

ILE TRZEBA ODCZEKAĆ OD ZAGINIĘCIA, ŻEBY JE ZGŁOSIĆ?

Nie czekać wcale! Krążąca tu i ówdzie plotka, że trzeba odczekać dobę czy
dwie od podejrzenia zaginięcia, to nieprawda. Najważniejsze są pierwsze go-
dziny, pozwólcie wtedy policji działać!

CO MI GROZI, JEŚLI ZGŁOSZĘ ZAGINIĘCIE DZIECKA, A ONO SAMO SIĘ ZNAJDZIE NIEDŁUGO POTEM?

Nic ci nie grozi. Oczywiście, jeśli dziecko się znajdzie, nie zwlekaj z za-
wiadomieniem policji, niech nie szukają go na próżno.

KTO MOŻE ZŁOŻYĆ ZAWIADOMIENIE O ZAGINIĘCIU?

Członek najbliższej rodziny zaginionego albo osoba formalnie sprawująca
opiekę nad zaginionym (opiekun prawny, przedstawiciel ustawy, kierownik
placówki, w której ktoś taki przebywał). A także każdy, kto posiada istotne
informacje świadczące o możliwym popełnieniu przestępstwa przeciwko życiu,
zdrowiu lub wolności na szkodę osoby zaginionej.



A ja ciągle w głębi duszy żałowałam, tak strasznie żałowałam, że skoro już Szymon musiał zginąć, to nie zginął teraz. Przecież wszystko wyglądałoby inaczej, bo znałam panią Renatę, bo korzystałam z jej siły, bo policja miała Centrum Poszukiwań Osób Zaginionych i procedury, bo mieliśmy Facebooka i telefony komórkowe, bo nie byłabym zdana na widzimisię policjantów, bo mogłabym działać sama. I ciągle sobie wyobrażałam, jak dzwonię do Szymona po dwudziestej drugiej, na komórkę, którą ma w kieszeni, jak mówię, że skoro się spóźnił, to wyjdę po niego, jak się spotykamy w pół drogi i wracamy razem do domu, jak nie dotykam tego całego wszechświata pełnego cierpienia i niepewności, jak życie nas, wszystkich Lubertowiczów nie łamie się na pół, jak dzięki temu wszyscy jesteśmy innymi ludźmi, a Szymon po prostu jest.

FAZA CZTERNASTA

KOMENTARZE
MAMA SZYMONA

„Kryptogram to wiadomość, której nie da się zrozumieć, jeśli odbiorca nie zna klucza.
Może być ona ukryta w rysunku, tekście lub mieszaninie liczb i liter”.

Harmonia tkwi w liczbach. Muzyka i matematyka
Javier Arbonés, Pablo Milrud

PANI RENATA NAPRAWDĘ BYŁA SKUTECZNA – umiała rozmawiać z dziennikarzami, zainteresować media – bo po artykule, który opublikowano również w internecie, zaraz przyjechali do nas panowie z kamerą. Mieli zrobić film o zaginięciach, mieli go wrzucić na jakąś stronę internetową. Opowiedziałam im wszystko najlepiej, jak umiałam, ściągnęłam też Grześka z kiosku i Piotrka z pracy, niech nie będzie o samych matkach. Niech opowiedzą, niech będzie jak najlepszy ten film, przecież wtedy szanse na dowiedzenie się czegokolwiek rosną.

Widziałam potem, jacy jesteśmy starzy i smutni, kiedy opowiadamy o Szymonie. Ale nie to było najważniejsze. I nie to, że znowu zaczęli mnie sobie w Miasteczku pokazywać palcami, szeptać po kątach. Teraz byłam inna. Twarda. Nie przejmowałam się takimi rzeczami – niech sobie pokazują, niech gadają. Interesowało mnie tylko, co wyniknie z tego artykułu, bo przecież niemożliwe, żeby nic nie wynikło.

Na razie wynikły komentarze:



Boże, jak współczuję tym biednym matkom!

Niewyobrażalna tragedia! Chybabym się nie pozbierała, gdyby mi kto dziecko porwał. A policja jak zwykle nic nie robi. Na co idą nasze podatki?

Modlę się za was i za waszych pięknych chłopców!

Chłopaki na pewno uciekli, żadnej więcej filozofii tu nie ma.

Na pewno złapali ich pedofile. Całkiem ładne te chłopaczki. Uroda dziewczęca.

Sam jesteś pedał.

Wcale nie są do siebie podobni. Po co piszecie, że są?

Po co wiązać odległe przypadki, po co tworzyć teorie spiskowe? Dwóch chłopaków się utopiło, niezależnie od siebie. Mało to utonięć pod lodem? A te dwa aparaty z poprawczaka już pewnie wojują w Legii Cudzoziemskiej czy gdzieś.

I to jest największy błąd, jaki może popełnić policja. Nie brać pod uwagę innych scenariuszy i uparcie trwać przy jednej wersji wydarzeń.

No właśnie. I na pewno nie zbadali wątku morderstw rytualnych. A przecież każdy wie, że lucyferianie składają dzieci w ofierze. Po to je porywają. I dlatego już tych chłopców nie znajdziecie.

No i co z tego, że marzec? Miesiąc jak każdy inny. Nie doszukiwałam się tu niczego specjalnego.

Czarna wołga, mówię wam. Zabrała ich czarna wołga.

Idiota. To nic śmiesznego, te rodziny cierpią. Zrozumiesz, gimbazo, jak sam będziesz miał dzieci.

Na organy ich wzięli, wycięli serca, płuca, nerki. Takie organy z młodych chłopców są w cenie. Bogatych stać, żeby za to zapłacić. A ty, człowieku, weź kolejkuje godzinami w poczekalni u lekarza, weź umieraj bez przeszczepu.



Takie tam głupoty ludziska wypisywali. Przelatywałam je tylko wzrokiem, bo było w tym równie dużo prawdy jak w gadaniu klientów pod naszym kioskiem. Wiedziałam, że ludzie lubią mówić, żeby mówić, a teraz dowiedziałam się, że lubią też pisać, żeby pisać. Pojawiały się także komentarze, nad którymi się zatrzymywałam:



W pierwszej historii zastanawia mnie, jak on mógłby złożyć kurtkę w kostkę, jeśli był tak pijany, że ledwo chodził.

Ten marzec musi być ważny, nie widzicie? Poza tym myślę, że te „jedyńki” w dniach marca również mogą być w jakiś sposób powiązane.

Ziemie Odzyskane, zachodniopomorskie, to największa patologia. Przyczyna leży w historii...

Bzdury piszesz! Jaka patologia, baranie?!

Przecież każdy to wie. Po wojnie panował tam niebywały bandytyzm i to z pewnością miało wpływ na psychikę wielu ludzi. Było tam dużo Niemców, byłych żołnierzy, którzy widzieli i robili straszne rzeczy. Było trochę zwykłych miejscowych, którzy widzieli okropne sceny podczas wkraczania wojsk radzieckich, gdy te brały odwet na Niemcach za lata 1941-1944. Do tego mnóstwo lud-

ności przesiedlonej, na przykład z Wołynia, gdzie żołnierze UPA mordowali Polaków widłami i piłami, wycinali kobietom dzieci z brzuchów i zaszywali koty albo kamienie. To musiało mieć wpływ na psychikę, a ci wszyscy ludzie spotkali się po wojnie w zachodniopomorskim. Nawet jeśli nie byli zbrodniarzami, mieli zaburzone osobowości, a potem z tymi zaburzeniami wychowywali dzieci. Interesuję się przestępczością od wielu lat i niestety najwięksi pacjenci pochodzili z tych rejonów. Może jeszcze dodałbym dawną Galicję, też tygiel kulturowy.

Dlaczego pomawiasz kilka milionów mieszkańców tych terenów z powodu kilku wykolejeńców? Bierzesz ich za grupę reprezentatywną dla regionu? Kilkadziesiąt lat temu ktoś na targu we Wrocławiu sprzedawał ludzkie mięso, wmawiając wszystkim, że to wołowina. Znam tę historię jak większość mieszkających tu ludzi. Czy to znaczy, że we Wrocławiu mieszkają kanibale? Według mnie odnośnienie wydarzeń sprzed kilkudziesięciu lat do dzisiejszych czasów jest obraźliwe.



I wtedy coś zauważyłam. Coś, o czym wcześniej w ogóle nie pomyślałam.



To ten sam ksiądz – napisał ktoś. – Zwróćcie uwagę, że ten sam ksiądz Dominik szykował dzieci do bierzmowania w Miasteczku i uczył religii w Letnisku. Przyjrzyjcie mu się, bo wszyscy wiedzą, że on bardzo lubi młodych chłopców. Przyjrzyjcie mu się. No bo dlaczego przerzucają go z parafii do parafii jak gorący kartofel? Inni księża z jego rocznika dawno są proboszczami, a tu facet w średnim wieku ciągle jest wikarym. Pomyślcie dlaczego.

Bzdury piszesz. Znam księdza Dominika Czałczyńskiego. To wspaniały człowiek. Bardzo pomógł mojej babci. On wcale nie pracuje z młodzieżą. Jest opiekunem duchowym w hospicjum dla starych ludzi, więc to nieprawda, że pracuje z młodzieżą.

No właśnie. Odsunęli go od młodych chłopców i skierowali do hospicjum. Ciebie to nie zastanawia? Bo dla mnie to ewidentne. To zwyczajna kościelna praktyka, jeśli chodzi o pedofilów. Nabroi taki i każą mu zmienić parafię, a potem jeszcze odsuwają go od pracy z dziećmi. Ale taki zawsze znajdzie sposób, wiesz? Przejrzyj na oczy.



Ksiądz Dominik? Naprawdę mogło chodzić o księdza Dominika, który uczył Szymona religii? „Ksiądz Dominik to spasała świnia”. Taką karteczkę znalazłam kiedyś w rzeczach Szymona. I pamiętałam tę niedzielę, kiedy ksiądz Dominik pytał nas o zaginionego syna. W przedsionku kościoła pa-

nował chłód, a ja się martwiłam, gdzie jest Piotrek. Pożaliliśmy się, że nic nie wiadomo o Szymonie, a ksiądz na to, że dobrze, że się modlimy, bo modlitwa ma wielką wartość w oczach Boga.

I pamiętałam też, że właśnie tej niedzieli telefony z pogrózkami ustały. Już nigdy nikt do nas z tym nie zadzwonił, choć jeszcze długo w okolicach dwudziestej trzeciej robiło się u nas gęsto w powietrzu z nerwów. Zna pani to uczucie?

Może i lepiej, że pani nie zna.

Kiedy przeczytałam o tym księdzu, w pierwszym odruchu chciałam biec na policję. Nareszcie coś konkretnego! Niech go złapią, niech przesłuchają, niech powie, co zrobił z naszymi dziećmi! Ale zatrzymałam się, gdy tylko wzięłam buty. Stałam w progu z ręką w połowie rękawa kurtki, bo nagle zrozumiałam, że nie mam żadnych dowodów, nie mam nawet pewności. To tylko komentarz internetowy jakiegoś antyklerykała, może osobistego wroga księdza, a do tego kilka zbieżności i moje podejrzenia. Czyli nic.

Zadzwoniłam do dziewczyn.

Ksiądz? Jaki ksiądz? Bożena stwierdziła, że jej syn w życiu nie chodziłby do kościoła w ośrodku, gdyby go nikt nie przymuszał. W domu nie chodził. Natomiast Kaśka powiedziała, że Jędrzej, kiedy jeszcze mieszkał w domu, poszedł z nią czasem w niedzielę do kościoła, o ile oczywiście nie zasnął. A czy chodził w ośrodku na msze albo do spowiedzi? Nie miała pojęcia. Nic o tym w listach nie pisał.

– Może i był tam jakiś zboczony ksiądz – powiedziała Kaśka. – Ale co to zmienia? Chłopców już nie ma. Ja nie chcę się tym wszystkim denerwować. Nie chcę o tym myśleć. Już nie wyrabiam. Zrozum, Agnieszka, nie mogę o tym bez przerwy myśleć.

– Ale zaraz, czy ten wasz jasnowidz nie mówił o jakimś księdzu? Mówił – przypomiinałam sobie – że ksiądz, że pornosy, że szambo, pamiętasz? Powiedział ci, jak ten ksiądz się nazywa?

– To Bożenie mówił o księdzu, nie mnie. I nie powiedział, jak się nazywa. Poszukaj go, jak chcesz. Ale na razie nie dzwoń do mnie, proszę. Mam jeszcze dwoje dzieci, muszę się na nich skupić. Ściskam cię mocno. – I roz-

łączyła się.

A wtedy narzuciłam na siebie kurtkę i ruszyłam się z domu. Tyle że zamiast na komendę poszłam do parafii spytać, dokąd wtedy przeniesiono księdza Dominika. Przynajmniej będę mogła pojechać do tego człowieka, zapytać, spojrzeć mu w oczy, a wtedy wyczytam z nich prawdę.

W parafii jednak nie wiedzieli, gdzie obecnie pracuje ksiądz Dominik Czałczyński. Chyba przebywał poza naszą diecezją. Może w kurii mi powiedzą.

Po serii telefonów do kurii nie dowiedziałam się niczego – odbijałam się od nich jak od ceglanej ściany szczecińskiej bazyliki.

- A po co pani ta wiadomość?
- Proszę zadzwonić później.
- Nie jesteśmy upoważnieni do udzielania takich informacji.
- W tej chwili księdza odpowiedzialnego nie ma.
- Ksiądz odpowiedzialny jest na urlopie.
- Oddzwonimy.
- Proszę zadzwonić za miesiąc.
- Proszę więcej nie dzwonić w tej sprawie.

Zaczęłam więc szukać księdza Dominika w internecie. Dużo nie znalazłam. Dowiedziałam się, że faktycznie pracował w kilku parafiach w naszym województwie, ciągle jako wikary, a potem został wysłany na Podkarpacie. Najświeższe wiadomości o nim stamtąd, o nim w ogóle, pochodziły sprzed dwóch lat. Zadzwoniłam do jego ostatniej parafii, tej podkarpackiej. Usłyszałam tylko, że ksiądz Dominik już u nich nie pracuje. I że nie wiedzą, gdzie jest teraz. Albo nie powiedzą, jeden diabeł.

Nie, nie powinnam tak mówić. Nie powinnam wspominać o diable.

Niczego nie miałam, jedynie te nędzne podejrzenia i kruche zbieżności. Nadal nic nie wiedziałam. I niczego sobie nie przypominałam. Tylko tyle, że mój Szymon był mądry. I że nie dałby się zmanipulować żadnemu nieuczciwemu księdzu. Ale nie byłam pewna, czy nie dałby się zmanipulować takiemu, który sprytnie udawał uczciwego. Bo Szymon wierzył, że ludzie są

dobrzy. Chyba wierzył. Jeśli dobrze pamiętałam, w co wierzył mój syn.

Z komentarzy pod filmem nadal nie wynikało nic nowego:



To co, że ksiądz lubi młodych chłopców? Po co miałyby ich porywać i zabijać? Ta historia się kupy nie trzyma.

W Kościele są tajemnice, o jakich ci się nawet nie śniło, katolu.

Po pierwsze, nie jestem katolem, tylko myślę logicznie. Po drugie, po co miałyby ich zabijać? Tysiące księży sypia z ministrantami i jakoś wszyscy nadal żyją. Zresztą gdzie miałyby chować ciała? To tylko kłopot. A tak da chłopakowi prezent albo parę groszy i dzieciak siedzi cicho.

A mało taki ksiądz ma możliwości, żeby schować ciało? Nieograniczony dostęp do cmentarza, do krypt, do trumien.

Nie pomyliło ci się z wampirami?

Przecież to nie muszą być krypty. Mało tam jezior w zachodniopomorskim? Co za problem obciążyć ciało, zawieźć nad wodę i wrzucić gdzieś na głębię? A jeśli się jeszcze ma łódkę... To takie łatwe, że się dziwię, że tylko czterech chłopaków zaginęło...



I znowu woda, znowu rzeka, znowu ciało pod wodą, znowu brakowało mi sił, znowu xanax za szybko się kończył, znowu, zamiast spać, myślałam o księdzu w łódce, o księdzu wrzucającym ciała do wody, o księdzu wsadzającym młodym chłopakom ręce pod pasek od spodni, a każdy z tych obrazów rył mi rysy w duszy, choć już nawet nie byłam pewna, czy mam duszę. Może pani Renata znajdzie księdza Dominika. Może to ona znowu dokona niemożliwego. A wtedy pojedziemy do niego, najlepiej we dwie, żeby czuła się pewniej, spojrzę mu w oczy i spytam:

– Czy to ty skrzywdziłeś mojego syna?

Nie będzie musiał odpowiadać. Wystarczy, że spojrzę mu w twarz. Wtedy będę wiedziała na pewno. Chyba będę wiedziała. Nie wiem, czy będę wiedziała.

Ale może coś poczuję.

FAZA NIEUSTAJĄCA

OPIEKA

MAMA DOMINIKA

OSTATNI RAZ U SPOWIEDZI ŚWIĘTEJ BYŁAM przed Wielkanocą, pokutę naczyną odprawiłam, od tamtej pory... To jest spowiedź, prawda, proszę księdza? Co z tego, że w pokoju, przy stole, a nie w kościele, w konfesjonale. A ponieważ to spowiedź, obowiązuje też tajemnica spowiedzi, prawda? Nic, co powiem, nie opuści tego pokoju?

Ładnie tu. Kto księdzu urządzał? Ciepło tak, domowo. Może tylko zasłonki dałabym z czegoś innego, mniej wzorzystego. Ale blaty błyszczą, podłogi czyściutkie. Musicie mieć dobrą gospodynię na plebanii. Kobieta zawsze zauważy takie rzeczy.

Tak, wiem, zagaduję zdenerwowanie. Ale sprawa, z którą przyszedłam, jest niełatwa, proszę księdza. I bardzo delikatna. Bo nie mam żadnej pewności, zaznaczę to od razu. Mam domysły, podejrzenia, lecz niczego nie wiem na pewno. Ale jeśli człowiek ma takie podejrzenia, to powinien chyba coś powiedzieć, podzielić się tym z kimś, tak na wszelki wypadek, prawda? Żeby je rozwiązać, prawda? Bo w gruncie rzeczy ja zupełnie w to nie wierzę. Zupełnie. Jednak chciałam o tym z księdzem porozmawiać, poradzić się. Ale żeby to była moja spowiedź, z tą tajemnicą. Możemy tak zrobić?

W takim razie, żeby ksiądz dobrze zrozumiał, muszę wytłumaczyć wszystko od początku.

Zacznę od tego, że mam szczęście. Mam to szczęście, że Dominik nadal lubi ze mną być. Nie każda matka może się tym pochwalić, prawda? Mój syn przecież mógłby pojechać dokądkolwiek, a on na urlop zawsze przyjeżdża do mnie. Tu od razu się przebiera i znowu jest tak jak kiedyś: tylko my we dwoje. Przecież by nie dążył do kontaktu ze mną, gdyby miał jakieś drugie życie, prawda?

Nie pozwala patrzeć, jak śpi, szanuję to, ale kiedy wstanę, lubię się zatrzymać pod drzwiami jego pokoju i nasłuchiwać miarowego oddechu. Tak właśnie się śpi z czystym sumieniem: mocno, nieprzerwanie, spokojnie.

W ciągu roku Dominik dzień w dzień musi wstawać przed szóstą, sam ksiądz zresztą wie, jak to wygląda. Na wakacjach u mnie korzysta więc

z okazji, żeby pospać, ile chce. A chce zazwyczaj do ósmej.

Nie budzi go ani suszarka w łazience, ani strumień wody wpadający do czajnika, ani stawianie patelni na gazie. Ale już wiem, że gdy zaczyna pachnieć kawą, gdy podsmażę plasterki kielbasy, on weźmie głębszy oddech, ziewnie i jego łóżko skrzypnie – znak, że usiadł. Wymaca stopami kapcie zawsze równo ustawione na dywaniku – wszystko robi dokładnie, akuratnie, nawet kapcie tak ustawia. Potem wstanie, przeciągnie się i wyjdzie z pokoju. W łazience pobędzie chwilę, usłyszę dwa strumienie, najpierw w sedesie, potem w umywalce, tu dłużej, bo i ogolić się, i zęby.

– Podgolić ci kark? – zapytam czasem.

– Nie, dziękuję, mam – odpowie.

Jeszcze chwila, żeby włożył szlafrok – wisi tu cały rok, czeka na niego, choć mam go tylko przez dwa tygodnie. Znaczą Dominika mam tu tylko przez dwa tygodnie, szlafrok przez cały czas.

I wchodzi do kuchni. Zawsze dopiero wtedy, gdy się już ogoli, przyczesze, zaciśnie pasek szlafroka. Zawsze taki schludny, mój Dominik.

– Dzień dobry, mam. – I całuje mnie w policzek.

Pachnie tą wodą kolońską, którą mu wybrałam. Chyba ją polubił, skoro używa.

Gdy siada przy stole, stawiam przed nim talerz z gorącą jajecznicą. Chleb i masło już czekają. Zaraz pomidora dokroję. Pamiętam, że bez cebuli, nie lubi, gdy mu czuć z ust. Taki już jest mój Dominik, grzeczny, elegancki.

Jeszcze kawa dla niego i dla mnie. Dla niego dużo mleka, dla mnie łyżeczka, akurat tyle, żeby złamać kolor.

Piję i patrzę na mojego syna. Uśmiecha się, spuszcza głowę, je. Cicho i schludnie, usta ociera po każdym kęsie, nie jak niektórzy mężczyźni, co to, gdy jedzą, wie o tym pół świata. Pije małymi łykami, jak gołąb, po każdym łyku trochę odchyła głowę.

– Mam szarlotkę, wczoraj upiekłam.

– Z przyjemnością, ale kiedy wrócę, dobrze, mam?

Kąpielówki zdążyły wyschnąć od wczoraj, ręcznik też, rozwiesił je rów-

no na kaloryferze. Składam mu wszystko, wsuwam do plecaka, jeszcze klapki w osobnej torebce, jeszcze kanapka szczelnie zawinięta w woreczku, jeszcze butelka soku – sama robiłam syrop żurawinowy, teraz mu rozcieńczam. Dobrze działa na zdrowie, na drogi moczowe podobno najlepiej.

– Na obiad będziesz?

– Będę.

Zawsze wraca punktualnie, ale lubię spytać, lubię do niego mówić, lubię, gdy mi odpowiada. Mamy dla siebie w roku tylko te dwa tygodnie.

Znowu idzie do łazienki. Myje zęby, po śniadaniu też. Ubiera się u siebie, całuje mnie w czoło, odwiesza szlafrok do łazienki, kurtka, czapka z daszkiem i wychodzi. Po chwili słyszę silnik samochodu. Dominik potężny się zrobił ostatnio, pewnie dlatego, że nie ma czasu na sport, tyle co na tych wakacjach u mnie. Codziennie więc jeździ na basen do Szczecina, nawet w niedzielę, po mszy. Inna matka może miałaby o to żal, ale ja się cieszę, że tak dba o siebie.

Zresztą teraz mam czas, żeby wszystko wróciło do ładu. Sprzątam ze stołu, wycieram na mokro blat, nabłyszczam go pronto. Myję naczynia, myję zlew, wycieram go do sucha gazą zwilżoną olejkiem dla dzieci. Po olejku blacha się pięknie błyszczy. Gazę piorę potem w zlewie i rozwieszam na kaloryferze, nade wszystko bowiem nie lubię poukrywanych gdzieś brudnych szmat. Więc wszystko jest czyste, błyszczące, można zajrzeć bez wstydu do każdej szafki czy szuflady, nawet kubek na śmieci opróżniony i wmyty.

Nadchodzi czas na jego pokój. Mówiłam już, że czeka na Dominika przez cały rok jak szlafrok? Odkurzam i wietrzę, bo Dominik nie lubi spać przy otwartym oknie. Zostało mu to z dzieciństwa, gdy każdy pyłek z zewnątrz groził wielominutowym atakiem kaszlu. Mój syn przykrył łóżko narzutą, ale odkładałam ją na krzesło, żeby wyrównać pościel. Na prześcieradle widzę jakąś zaschniętą plamę, więc od razu je zdejmuję, wrzucam do pralki w łazience i idę do bielizniarki po czyste. Nakładam, wyglądzam, strzepuję poduszkę i jasiek, składam w kostkę jego piżamę, wsuwam pod poduszkę. Strząsam kołdrę, żeby równo ułożyła się w poszwie. Wyglądzam, podwijam

boki. Teraz narzuta i ta żakardowa poduszka w papugi, żeby było ładniej i milej.

Na stoliku nocnym leży książka *Harmonia tkwi w liczbach*. Naprawdę Dominik tak lubi matematykę, żeby czytać o niej do poduszki? Przekładam książkę na parapet, ścieram kurz, poleruję blat stolika, idę do kuchni, żeby umyć jego szklankę na wodę, odstawiam błyszczącą, wody naleje się wieczorem na świeżo. Zaglądam do książki, nim odłożę ją na stolik.

„Do rytmu ciał niebieskich, poruszających się po swych orbitach, tańczą fazy Księżyca i pływy, pory roku, dni i noce. Na szczęście ludzkości udawało się zaskoczyć czas nowymi krokami, odbiegającymi od sztywnego rytmu zegara. Jednym słowem, następstwo i powtarzanie się wydarzeń opisujemy za pomocą pojęcia rytmu. Zwłaszcza rytm muzyczny to częstotliwość, z jaką są wydawane poszczególne dźwięki”.

Już widzę, że to jednak książka bardziej o muzyce niż matematyce, to bardziej zrozumiałe w przypadku Dominika, więc nie wiem, dlaczego robię się niespokojna.

Zaglądam do szafy. Koszule Dominika wiszą równym rzędem, szare, niebieskawe, białe. Na wszelki wypadek rozkładam deskę do prasowania i jeszcze raz każdą przejeżdżam żelazkiem. Tego nigdy dość, jeśli się chce jakoś wyglądać. A jego wygląd świadczy również o naszej rodzinie, o mnie.

Dopiero teraz mam chwilę dla siebie, to naprawdę ważne, żeby i takie chwile mieć w życiu. Zwłaszcza jeśli są odpoczynkiem po pracy. Kawa, druga kawa tego dnia, to taka moja mała, wstydliva przyjemność. Poza tym jakaś niegłupia powieść, coś pięknego, pogodnego. Czytam o takiej wspinałej mieścinie na amerykańskiej prowincji, Mitford, i o jej cudownym proboszczu, no dobrze, protestanckim, ale na pewno i u nas są takie miejsca. Marzę, że kiedyś i Dominik będzie miał taką parafię, takich parafian. Obok książki stawiam szklankę wody z domowym syropem żurawinowym, bo istotne jest nawodnienie organizmu, no i zdrowie dróg moczowych. Prawie nigdy przy tym nie zasuwam zasłon ani firanek. Ważne, żeby ludzie wiedzieli, że nie muszę, nie musimy niczego ukrywać. Więc siedzę przy tych rozsuniętych zasłonach, patrzę, jak słońce zza czyścusięńkich okien

odbija się w błyszczących blatach, podziwiam przyrodę, widzę korony trzech drzew, słyszę ptaki. Nawet czytać nie bardzo się chce, gdy tak mi dobrze.

Koło dwunastej trzydzieści zacznę gotować, żeby Dominik miał świeże, jak wróci. Dzisiaj nie muszę iść po zakupy, bo wszystko mam w domu. Dobra gospodyni umie robić zapasy, więc zawsze przyrządzi obiad z tego, co znajdzie w spiżarni. Ja chodzę po zakupy co drugi dzień, bo nie lubię marnowania czasu – jedno tylko życie nam dano. Dziś zrobię Dominikowi klopsiki w sosie, więc wyciągam maszynkę do mięsa. Nigdy nie kupuję mielonego, to proszenie się o kłopoty ze zdrowiem. Sama miele, kwadrans i już, wołowe pół na pół z wieprzowym. Dużo bułki namoczonej w mleku, nie, że mięsa żałuję, ale wtedy są pulchniejsze. Zeszlona, drobniuteńko posiekana cebulka. Trochę natki. Próbuję masy na surowo. Jeszcze dosolić. I już podsmażam, potem zalewam sosem i duszę, wrzucam kromkę białego chleba, niech się sos zagęści. Ziemniaki obiorę chwilę przed jego powrotem, teraz jeszcze zetrę marchewkę z jabłkiem, trochę cytryny, żeby surówka nie ściemniała, przykryć talerzem. Drugie zawsze na świeżo, ale zupełnie mam z wczoraj, na ogół gotuję na dwa dni. Ogórkowa. Przed podaniem posypię koperkiem. Zdrowo i estetycznie.

Dominik wraca. Włosy wilgotnawe po basenie lub saunie, ale zdążył je przyczesać. Zmienia buty na kapcie, bo szanuje moją pracę, dzięki której podłogi u nas tak czyste, że można by z nich jeść. Wchodzi, całuje mnie w policzek. Kiedy je zupełnie, gotuję ziemniaki. Zjada aż cztery klopsiki, mówi, że pyszne.

Patrzę na jego szerokie barki pochylone nad stołem, na długie palce zaciśnięte na sztućcach. Dobrze, że taki duży się zrobił, że zmężniał. Zawsze był delikatny, dlatego dzieci dokuczały mu w szkole. Taki kruchy był jak dziewczynka. I kaszłał, dusił się od byle czego, astma. Z tym jego kaszlem miałam poczucie winy, naprawdę straszne. Nie mówiłam o tym nikomu, ale tkwiło to we mnie głęboko, nie do naprawienia, odkąd pediatra mi powiedział, gdy Dominik miał dwa lata: „Dziecko nie było karmione piersią? To co się pani dziwi, że ma alergię i ciągle astmatyczny kaszel?”. Całymi noca-

mi nie spałam – siedziałam przy jego łóżku. Dominik kasłał, a mnie zżerało poczucie winy, że nie sprostalam, że nie zrobiłam, jak należy, że uwierzyłam, że nie mam mleka, i karmiłam go butelką, że nie dałam rady zrobić wszystkiego dla mojej rodziny, mojego dziecka. „To bzdura z tym karmieniem” – powiedziała mi później jakaś lekarz pediatra, ale co z tego, skoro i tak wiedziałam, że nawaliłam, że mogłam się bardziej postarać.

Jednak wyprowadziłam go z astmy. Wyjazdy w góry, nad morze. Zdrowe jedzenie, pilnowałam wszystkiego, co jadł, spacer po parku, długie, ale nie za szybkie, żeby się nie zgrzał. I udało mi się. Z biegiem lat zrobił się dużo silniejszy, również psychicznie. Już nie jest taką chudziwą, jest budzącym zaufanie potężnym, przystojnym czterdziestoparolatkiem.

Na deser podaję szarlotkę. Obok bita śmietana, taki nieduży kleksik, bo nie chcę, żeby Dominik miał jeszcze większy brzuszek. Wszystko, jak lubię – bez pośpiechu, po kolei, estetycznie, zdrowo i smacznie. Dominik zjada z apetytem. Jeśli poprosi o dokładkę, powiem, żeby poczekał do podwieczorku. Ale nie prosi, choć widzę, że mu smakowało. Ociera usta, składa serwetkę, wstaje od stołu i znowu całuje mnie w policzek. Dziękuje za pyszny obiad i mówi, że czas, żeby poszedł do siebie i odmówił brewiarz.

Ma swoje rytmy, przyzwyczajenia i mnóstwo odpowiedzialności. Szanuję to. Ale jeśli nie będzie odmawiał, tylko po prostu odpoczywał, jego prawnie przecież. Niech odpoczywa, dlatego przyjechał. W ciągu roku nie ma czasu dla siebie, wiem o tym – wiecznie w biegu, cały dzień poza domem, wraca naprawdę późno, wychodzi naprawdę wcześnie, ciągle zajęty, w niedzielę też oczywiście niemal chwili na oddech. Teraz musi odpocząć. No i ten brewiarz, musi go odmawiać codziennie. Ja to szanuję.

Będę go miała w domu przez całe popołudnie. Czasem siedzi cicho, może się modli, może czyta, czasem brzdąka na gitarze, co mnie drażni, bo nie wiem, o czym wtedy myśli. Gdzieś tak koło szesnastej wejdę do niego z herbatą i kawałkiem szarlotki, sprawdzę, jak się czuje. Nic nie powiem, żeby mu nie przeszkadzać, ale z przyzwyczajenia – robię tak, odkąd był chorowitym, szczupłym chłopczykiem – położę mu dłoń na czole, sprawdzę, czy nie za gorące, czy nie spoczone. Muszę obserwować go bacznie,

żeby nie pogrążył się w mrokach, w słabościach. Muszę wspierać, gdy trzeba. Nie tylko przecież herbatą, ciastem czy kanapką. Powinnam też umieć podsunąć mądrą lekturę, rozładować jego zły nastrój. Dlatego zaglądam do niego, staram się wyczuć, czy wszystko w porządku. Matka ma wycucie, naprawdę. Jeśli słyszę, że zdjął ze ściany gitarę, jeśli czuję, że po kątach gromadzą się mroki, mówię:

– Chodź, obejrzymy coś pogodnego.

– Spójrz, jak wrony buszują w jodełce przy oknie. Wywieszę im słoninkę, popatrzysz. Duże z nich ptaszyska, ale też muszą mieć chwilę przyjemności. No chodź do okna.

– Mówiłeś, że szarlotka dobra. Może zjesz jeszcze kawałek? A może sernika upiekę?

Zawsze mu coś znajdę, żeby się odwrócił od tamtych rzeczy. Przez dwa tygodnie urlopu tak mu pomogę, że potem cały rok sam sobie dobrze radzi, naprawdę. A kiedy mu trudniej, dzwoni do mnie.

Wieczorem, jak prawie codziennie podczas urlopu, Dominik wychodzi z domu na godzinę czy dwie. Nie pytam dokąd. Jest dorosły, ma prawo do prywatności. Czasem znajduję u niego w kieszeni przedarty bilet, stąd wiem, że był w kinie. Czasem jego ubrania pachną piwem i dymem papierosowym, stąd wiem, że siedział w pubie. Nie jestem pewna z kim, bo ze znajomymi się nie spotyka – nie ma ich tu wielu, przecież pod Szczecinem mieszkamy w sumie od niedawna, a on kończył szkoły gdzie indziej. Czasem wypożycza jakiś film na płycie i ogląda go w domu. Na dyskoteki raczej nie chodzi. Ale nie wypytuję. Człowiek musi mieć trochę wolności. Dobrze się rozumiemy. Dominik też lubi, żeby było spokojnie. Normalnie. „Po Bożemu” może by ktoś nawet powiedział, ale ja nie nadużywam takich słów.

Kiedy wchodzę do niego z szarlotką, widzę, że ma niezły humor. Wydaje się spokojny, pogodny. Brewiarz leży przed nim, ale on patrzy w okno z miłym półuśmiechem. Dobrze, nie muszę być czujna. Mogę się rozluźnić. Zaraz więcej o tym powiem, bo właśnie z tym do księdza przyszłam. Tylko musiałam nakreślić tło, żeby ksiądz zrozumiał, jaką rodziną jesteśmy. Jaki

jest Dominik. Jak go wychowałam.

Już mówiłam, że wyszliśmy na prostą, choć przecież bywały trudne momenty. Ten czas, gdy Dominik studiował i widywałam go tylko w wakacje, najwyżej przez parę dni. To właśnie wtedy przeniosłam się do Szczecina, żeby być bliżej niego, żeby miał bezpieczną przystań, kiedy będzie miał wolnych kilka godzin, pół dnia. Zaglądał do mnie czasem. Jaka byłam z niego dumna, gdy zdejmował szalik, a pod spodem miał czyścusięnką koloratkę, gdy wieszał kurtkę na wieszaku, a potem jeszcze ją wygładzał. Dawałam mu coś dobrego do jedzenia, rozmawialiśmy, wypytywałam, co słychać i jak się czuje. Szkoda, że jego ojciec tego nie dożył, naprawdę szkoda.

Potem Dominik dostał pierwszą posadę, czyli pojechał na swoją pierwszą parafię, w naszej diecezji, szczecińsko-kamieńskiej oczywiście. Cieszyłam się, że nie będzie miał daleko do domu, że wpadnie czasem. Ale bardzo był zajęty. Uczył religii, zajmował się młodzieżą, pomagał proboszczowi – normalnie, jak to wikary. Tak się z tego cieszył, tyle z siebie dawał, więc nie rozumiałam, dlaczego przenieśli go stamtąd po zaledwie półtora roku. Był w fatalnym stanie psychicznym i wcale mu nie pomagało, że właśnie nastąpiło przedwiośnie – zawsze je źle znosił.

– Przyjedź – prosiłam.

Chciał, ale nie dał rady. Jakoś go jednak przez ten telefon wyprowadziłam na prostą.

– Nowe miejsce, nowe życie – pocieszałam go. – Tam na pewno cię docenią.

Ale z drugiej parafii znowu szybko go usunięto.

– Co się dzieje, synu, że tak cię ciągle przenoszą?

– Nie dogadałem się. Za bardzo się starałem, brałem w szkole dodatkowe godziny. A może ktoś powiedział o mnie coś złego? Wiesz, jacy są ludzie.

Tak mi opowiadał przez telefon, bo skoro nie mógł za bardzo do domu jeździć, to przynajmniej często dzwonił. Zawsze pytał, jak się czuję, zawsze uważny na potrzeby drugiego człowieka, nie, że tylko się żalił. Tak, proszę księdza, mój syn to złoty chłopak.

Ale miałam mówić o tych mrokach. Zaraz do tego dojdę, proszę księdza. Mamy jeszcze czas, prawda?

W trzeciej parafii trzymali go dłużej. Już się cieszyłam, że wreszcie się gdzieś zadomowił, odnalazł, gdy zadzwonił, że będzie miał nowy numer telefonu. Dopiero po chwili wyjaśnił, że znowu go przenoszą.

– Twoi koledzy też tak ciągle wędrują po parafiach? – spytałam.

– Różnie, ale chyba głównie ja mam pecha – odparł.

Musiał się narazić, może tą akuratnością właśnie. Jeśli inni mniej się przykładają, wiadomo, że jego gorliwość w oczy kole. To piękne słowo, prawda, proszę księdza? Dominik taki właśnie jest: gorliwy.

– Zazdroścą ci – tłumaczyłam. – Nie przejmuj się, rób swoje najlepiej, jak potrafisz. Mądrzy cię docenią, a innymi się nie przejmuj. Ktoś się kiedyś na tobie pozna, wierzę w to. W końcu przycumujesz gdzieś na dłużej, zostaniesz proboszczem w jakimś pięknym i miłym miejscu, będziesz miał wspaniałych, kochających parafian, jak w Mitford. Zasługujesz na to.

Tak go pocieszałam, bo czułam, że nie jest w dobrym stanie.

– Dzięki, mam. Cieszę się, że tak myślisz – odpowiadał, ale nie byłam pewna, czy mroki już go nie dopadły. Przez telefon trudniej to wyczuć, niż gdy się go widzi. Jechać do niego czy nie jechać? – zastanawiałam się.

Bo bycie kobietą, proszę księdza, to powołanie. Bycie matką to powołanie. Nie chodzi tylko o kuchnię, chodzi o ciepło, takie domowe. Chodzi o to, żeby być czujną. Żeby utrafić rosołem w zły nastrój, a lekkim kremem z zielonego groszku w momenty, gdy chłopak potrzebuje tylko odrobinę się pokrzepić, żeby biec dalej. Trzeba wyczuwać całą tę kuchenną alchemię i humor karmionego. Może dla niektórych to brzmi śmiesznie, ale to nie jest śmieszne. Matka to ta, która czuwa. Przez całe życie swojego dziecka. Matka to ta, która jest.

Nigdy nie miałam wątpliwości, jakie jest moje powołanie. Wiedziałam, że chcę być żoną i matką, uczciwie pracować na życie, opiekować się mężem, z miłością wychowywać dzieci. Czy to tak dużo? Dzieci chciałam

mieć dwoje, najlepiej rok, góra dwa różnicy. Dom chciałam mieć z ogródkiem. Nie wszystko wyszło, jak sobie wymarzyłam, bo i dziecko jedno, i ogródka w bloku nie uświadczysz, i piersią nie udało się karmić, i Tomkowi umarło się wcześniej, ale było normalnie i szczęśliwie, mieliśmy siebie z Dominikiem.

Staralam się wynagrodzić synowi brak ojca. Z całych sił się starałam. Chwalałam go – rośliny też od tego dobrze rosną, wystarczy zobaczyć moje orchidee.

– Prawdziwy egzotyczny zagajnik masz na tym parapecie, mamó – mówił Dominik.

Nie to, że zawsze było tak różowo. W macierzyństwie nigdy nie jest ciągle idealnie. Pojawiały się trudniejsze momenty, tak jak wtedy, gdy Dominik był jeszcze w podstawówce, a sąsiadce zaginął pies. Pomagaliśmy pani Majce szukać tego Miśka. Mój syn bardzo się zaangażował, wywieszał ogłoszenia, a wieczorami chodził i nawoływał „Misiek! Misiek! Misiek!”, aż go musiałam prawie siłą zgarniać do domu. Dobry dzieciak – myślałam. – Nawet psem potrafi się przejąć.

Misiek znalazł się po trzech dniach. To znaczy nie sam, bo Dominik go odkrył. Usłyszał skomlenie z piwnicy, dochodziło przez okienko na podwórko. No więc zbiegł na dół, tak nam mówił, i zobaczył w piwnicznym korytarzu tę psinę – z wygolonym grzbietem, pokaleczoną, z pyskiem zaklejonym taśmą, przywiązaną sznurkiem do którychś drzwi, aż się dusiła. Zaraz zawołał panią Majkę i mnie.

– Kto to mógł zrobić? Kto mógł być tak okrutny? – zastanawialiśmy się. Dominik żałował psa i wyciągnął rękę, żeby go pogłaskać. Ale nawet nie zdążyłam powiedzieć, by go zostawił, bo przecież astma, gdy zwierzak się odsunął, wtulił w załom muru i zaczął warczeć. A ogon tak podkulił, że prawie wychodził mu z przodu, pod pyskiem.

– Zgłupiałeś, Misiek? – zmartwiła się sąsiadka. – Dominik cię szukał co wieczór, wszędzie. Jak możesz teraz na niego warczeć? Boże, jak ja się boję, że Misiek już nie będzie taki sam, wie pani? Ludzie go skrzywdzili, ludzi zaczął się bać. Mój kochany. – Wzięła psa na ręce, a on polizał ją po

twarzy.

Znalazłam potem włożony do foliowej torebki kłęb czarnych kłaków zlepiionych krwią. W szufladzie Dominika.

– Kark sobie goliłem – wyjaśnił.

Faktycznie, zarastał aż do pleców. Zawsze prosił, żebym mu to usuwała. Przejeżdżałam więc maszynką po tym jego chłopięco-męskim karku i drżałam, żeby go tylko nie skaleczyć. Tym razem zrobił to sam. Co w tym dziwnego? – powtarzałam sobie.

A potem przyłapałam Dominika na podwórku, gdy zagadywał do tego psa wciśniętego w sam kąt między śmietnikiem a garażami, warczącego.

– Biedny Misiek – mówił. – Biedny Misiek, pokaleczony. Dobrze ci było, prawda?

– Zostaw go, bo jeszcze ugryzie – poprosiłam. – Przecież to niebezpieczne.

– Ale ja go oswajam ze sobą.

– Znowu będziesz kasłał, zostaw go.

– Zaraz. Tylko go pogłaszczę.

Sąsiadka zaczęła na nas dziwnie popatrywać, podejrzliwie pytać, dlaczego Dominik zszedł wtedy do piwnicy, skąd niby wiedział, że pies jest akurat tam, dlaczego ten od tamtej pory warczy tylko na Dominika i jak Dominik mógł go usłyszeć, skoro zwierzę miało zaklejony pysk. Sierść na grzbiecie odrosła psu trochę silniejsza, jaśniejsza, a kiedy się jeżył na widok Dominika, wyglądał prawie jak lew. Gdy pani Majka schodziła z tym psiskiem z góry, chowałam się w mieszkaniu, czekałam, aż przejdą, i dopiero wtedy wychodziłam – strzeżonego Pan Bóg strzeże. I Dominikowi to samo poleciłam.

Misiek nie żył już potem długo – potracił go jakiś samochód. Pani Majka znalazła zwierzaka ze złamanym karkiem przy drodze, ale nie miała pojęcia, jakim cudem wydostał się z domu.

Gdy koledze Dominika z klasy zaginął pies, a mój syn znowu z zapalem włączył się w poszukiwania, nie wahałam się ani chwili. Nawet nie pytałam

Dominika, czy ma coś wspólnego z tym zaginięciem. Nie miał, byłam pewna. Ale złe języki i podejrzliwa sąsiadka mogły mu przypisać różne rzeczy. Nie chciałam na to czekać, uprzedziłam fakty. A Dominik nie protestował, bo szanował moje wybory. Wakacje akurat były, mieszkanie i tak miałam od szkoły, więc zdałam je i zaraz przyznano mi kolejne, na drugim końcu Polski. Tak na wszelki wypadek. Spod Rzeszowa trafiliśmy pod Szczecin. I rok szkolny zaczęliśmy w nowym miejscu. Tu już żadne psy nie ginęły. Miałam więc rację: wystarczyło zmienić środowisko.

Dominik jakoś nie miał dziewczyny, ale one nie są za mądre w tym wieku. Z kolegami też nie bardzo. Zapisał się do harcerstwa, pojechał nawet na jeden obóz, lecz coś mu tam nie pasowało.

– Ja chyba lubię być sam, mamó. Niewiele osób mnie rozumie – tłumaczył. A co się dziwić? Byłam pewna, że zazdrozczą mu rozumu. Uprawiał sport: latem pływał w jeziorach, zimą w basenie. Pilnowałam, by zimą zawsze wysuszył włosy, zanim wróci do domu. Kochał pływanie. Astma mu przeszła. Wyrósł. Świetnie się uczył.

I pewnego dnia powiedział, że chce zostać księdzem.

Proszę mnie źle nie zrozumieć. Wiem, proszę księdza, że to najpiękniejsze powołanie, jakie kobieta może dla syna wymarzyć. Tylko że Dominik mnie zaskoczył, naprawdę. Nigdy nie wydawał mi się specjalnie religijny. Chodziliśmy do kościoła w niedzielę jak każdy, na religię uczęszczał jak każdy, ale żeby coś więcej, to raczej nie, nawet ministrantem przecież nie był. A teraz nagle tak go wzięło. Nie byłam pewna, co o tym myśleć. Marzyłam przecież, że Dominik założy rodzinę. Zwyczajną, szczęśliwą rodzinę z dwójką czy trójką dzieci, które będą biegać po ogródku, a ja, babcia, będę je rozpieszczać.

– Szanuję, synuś, twoje wybory. Ale nie masz jakichś chętek za dziewczętami?

– Niespecjalnie.

– Ale przecież szanujesz kobiety?

– Tak, mamó, a ciebie najbardziej.

To mnie uspokajało. Jednak potem znowu dopytywałam:

– Ale dlaczego księdzem? To takie samotne, trudne życie.

– Bo tam mnie mroki nie dopadną.

Wtedy po raz pierwszy wspomniął o mrokach. Nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale nie wypytywałam. Szanowałam przecież jego prywatność.

– Ale zostawisz seminarium, gdyby ci nie pasowało?

– Z ręką na sercu, mamó.

No i wyjechał do seminarium. To były trudne lata, kiedy musiałam nauczyć się żyć bez niego. Staralam się – sprzątałam, gotowałam raz na dwa dni, dla jednej osoby częściej się nie opłacało. Dobrze, że chociaż tę pracę miałam, że chociaż czasem mogłam zanieść szarlotkę do pokoju nauczycielskiego i słuchać, że smaczna. Nawet klasówki sprawdzałam w pokoju nauczycielskim, żeby nie wracać za wcześnie do pustego domu.

Ponieważ Dominika widywałam wówczas rzadko, bycie z nim doceniałam podwójnie. Zmieniał się, trochę inaczej mówił, miał taki zaśpiew w głosie jak ksiądz podczas kazania. On też będzie księdzem – myślałam. Już właściwie nim jest, zrozumiałam, gdy któregoś roku przyjechał z koloratką przy koszuli. Patrzyłam na tę koloratkę rozłożoną na biurku w jego pokoju i miałam podobne uczucie obcości jak parę lat temu, gdy weszłam do jego pokoju, żeby obudzić go do szkoły, i nagle zamiast mojego syneczka, różowego, czyściutkiego, malutkiego i wycalowanego, zobaczyłam w łóżku długiego faceta z włochatymi łydkami, wielkimi stopami, brudnymi paznokciami u stóp, szponami takimi. Tak mi Dominik wtedy wyrósł, niemal nagle, zrobił się brudny, męski, oddzielny.

Teraz z tą koloratką też przez chwilę czułam, że jest oddzielny, kościelny, księżowski, nie mój. Przepraszam za te słowa, ale kapłan przecież bardziej należy do Pana Boga niż do własnej matki. Mam rację, prawda? Więc ja to, proszę księdza, czułam.

– Co tak stoisz, mamó? – spytał wtedy Dominik, po czym uśmiechnął się do mnie i zaraz wszystko wróciło na swoje miejsce. On zawsze wiedział, jak ze mną postępować. Co z tego, że nosił koloratkę. Był mój, a ja miałam

się nim opiekować ile sił.

Za dzieciaka Dominik zawsze był sam, koledzy jakoś się go nie trzymali. Poza tym jednym, o którym wolałabym zapomnieć. Ale to ważne.

– Mamo, mam przyjaciela – powiedział Dominik któregoś dnia, gdy wrócił ze szkoły. – To Krzysiek.

Miał wtedy jakoś piętnaście lat. Lepiej, że ma przyjaciela – pomyślałam, bo już naprawdę się martwiłam, że ciągle jest sam. Tamten chłopak był młodszy, chodził rok niżej. Nie, nie uczyłam go.

– Kim są rodzice tego Krzyśka?

– A ja tam nie wiem.

– Jak on się uczy?

– Normalnie.

Zaraz więc kazałam Krzyśka zaprosić do domu, żebym sama obejrzała dzieciaka, bo skąd wiadomo, czy to właściwe dla Dominika towarzystwo.

No i przyszedł. „Dzień dobry” powiedział, ale butów nie wytarł. Skorzystał z toalety, ale rąk nie umył. Twarz łobuzowata, włosy nieprzyczesane, za długie, ciemne, plecak z naderwaną szelką.

– Daj, przyszyję.

Przy okazji zajrzałam do zeszytów. No, piątek to ten Krzysiek mieć nie mógł. Czwórek też nie.

– Daj, włosy ci podetnę. – Bo nie mogłam patrzeć, jak tak ciągle tę grzywkę odrzuca albo w nią dmucha. Odmówił.

– Tak ma być – powiedział.

– Tak brzydko?

Ale nie dosłyszał pytania, bo grzebał w płytach i książkach Dominika.

Niech będzie. Zostawiłam go, bo młody człowiek musi mieć prawo do decyzji, a poza tym na pewno jeszcze zmadrzeje i wtedy zrobię mu piękną fryzurę maszynką, jak Dominikowi, na krótko, po męsku. Na razie zrobiłam im kanapki i herbatę. Kiedy postawiłam je u Dominika na biurku, Krzysiek rzucił się na jedzenie, jakby nie jadł od tygodnia. Ale może to taki wiek,

czternaście lat. Dominik też zaraz dorwał się do talerza, aż się zastanawiałam, czy mi wystarczy kielbasy kartkowej, czy będą chcieli jeść pasztetową, jeśli nie wystarczy, i czy obcy dzieciak musi mi wyjadać mięso na kartki wystane z takim trudem. Więc od razu dałam im pasztetową.

Gdy usłyszeli szczekanie, podskoczyli do okna.

– Patrz, to ten pies, co ci mówiłem.

– Nie będziesz bawił się z psem, masz astmę. – I od razu pomyślałam: Jaki znowu pies?!

– Ale Krzysiek nie ma astmy. I chciałby mieć psa. To my wyjdziemy, pobawimy się, dobrze, mamó?

– Tylko nie głośzcz psa, wiesz, że ci nie wolno.

– Nie będę.

– Jak pogłaszczesz, od razu będę wiedziała, bo astmy dostaniesz.

– Wiem.

Wrócili rumiani i znowu głodni.

– A rodzice się o ciebie nie niepokoją, Krzysiu?

– Eee, nie.

– A gdzie są?

– W pracy. Raczej w pracy.

Zupy im dałam. Pomidorowej. Na kościach. Przecież mi nie ubędzie, jak obcego dzieciaka nakarmię.

– To chociaż lekcje odróbcie.

Spojrzał tylko bokiem ten Krzysiek, ale kazałam im iść do kuchni, rozłożyć książki na stole, bo tam się zmieszczą, i zrobić, co im zadano, każdy swoje.

– Ale niektóre rzeczy dopiero na przyszły tydzień są, proszę panią.

– Proszę pani. I jak zrobisz dzisiaj, to potem będziesz miał wolne. Dominik też. Nie znasz powiedzenia „Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj”?

– Nie, proszę panią.

– Mówi się „proszę pani”.

– Tak, proszę panią.

Machnęłam ręką. Nie moje dziecko, nie będę się czepiać. Nie podobało mi się tylko, że Dominik z takim zachwytem patrzy, jak Krzysiek łamie wszystkie zasady, których przestrzegaliśmy w domu. Siadł z brudnymi rękami do obiadu. Pożarł szarlotkę przed zupą.

– Zupę i tak przecież zjem, co za różnica?

I te włosy wiecznie rozczochrane, spadające na oczy.

– Zeza dostaniesz, Krzysiu.

– Dlaczego? – I wydmuchiwał grzywkę do góry.

A poza tym codziennie wychodzili na podwórko, zanim odrobili lekcje.

– Ale teraz jest jasno, proszę panią... proszę pani. Jak będzie ciemno, to po co wychodzić z domu? Wtedy będziemy odrabiać.

Na tym podwórku chyba jednak nie szli do psa, bo Dominik szczęśliwie nie kasłał. Coraz rzadziej zresztą miał te ataki, dojrzywał chyba, tak jak lekarz mówił.

Krzysiek przychodził z Dominikiem po szkole i zostawał do nocy, zupełnie jakby się do nas wprowadził. Nawet rozważałam wzięcie kartek na mięso od jego matki, ale uznałam, że nie byłoby to specjalnie zręczne, więc smażyłam im raczej naleśniki z pieczarkami niż kotlety. Te robiłam, gdy Krzysiek nie przyszedł.

I hałasowali, hałasowali bez przerwy. Krzysiek od razu brał gitarę Dominika, któremu szybko przeszedł zapal do grania i tylko słuchał dużo kaset – siedział w słuchawkach, które mu kupiłam, bo z całej muzyki najbardziej lubiłam ciszę, i wystukiwał rytm stopą lub dłońmi. Teraz też nie grał, patrzył tylko, jak Krzysiek brzdąka, a sam wybijał rytm to na biurku, to na krześle, patyczkami i rękami. Hałasowali na cały dom, wariowali, aż trudno było wytrzymać, przez co przedwiośnie stawało się jeszcze trudniejsze. Tyle lat minęło od śmierci taty Dominika, tyle lat, a ja ciągle przeżywałam każdy marzec, co roku cierpłam już, gdy kończył się luty, a potem chodziłam podminowana, aż dociągałam do pierwszego kwietnia i potem czułam się już lepiej.

Trudny to był więc marzec. Chodziłam spięta, bo ciągle się starałam, żeby Dominik nie odczuł mojego nastroju, w końcu ledwie ojca pamiętał, a już jego szybkiej choroby i nagłej śmierci wcale. Po pracy usiłowałam myć okna i chociaż wymalować na wiosnę kuchnię, bo z remontu szkoły został kubełek emulsyjnej, chłopcy tymczasem hałasowali w pokoju Dominika – ten cały Krzysiek brzdąkał w struny, a Dominik wybijał rytm na biurku i krześle – a kiedy się stamtąd wynurzali, przechodzili pod drabiną i szli do kuchni, gdzie wyjadali wszystko, co mi się udało wystać w kolejkach na święta. Dobrze, że cielęcinę od baby zamroziłam, bo też by zniknęła.

– Co wy gracie tak bez przerwy? Co to za kakofonia?

– Bo Krzysiek komponuje – mówił Dominik z taką dumą, jakby i on jakąś melodię wymyślił.

– To może chociaż raz pójdziecie pograć do niego? Niech i jego rodzice posłuchają.

Ale kiedy wyszli, od razu pożałowałam. Niby Krzysiek zostawił mi swój adres, lecz telefonu nie mieli. Ja też zresztą nie, w razie potrzeby korzystałam z tego w sekretariacie szkoły. Niby do domu Krzyśka nie było daleko, ale nauczycielki mówiły, że na wywiadówkach mama Krzyśka nie bywała. Zastanawiałam się, co to za ludzie, którzy się nie martwią, że dzieciak godzinami siedzi nie wiadomo gdzie.

Poszłam więc sprawdzić, jak się sprawy mają. Blok jak blok, niski, w naszym miasteczku wysokich nie było, klatka w miarę czysta. W mieszkaniu Krzyśka dudniła muzyka, usłyszałam przez drzwi. Ciekawe, że jego rodzice pozwalali tak głośno magnetofon włączać. Dzwonek nie działał – pukałam i pukałam, ale w tym hałasie nikt nie zareagował. Wobec tego nacisnęłam klamkę i – nie uwierzy ksiądz – drzwi się otworzyły, a huk tej strasznej muzyki zaatakował mnie z jeszcze większą mocą. W przedpokoju zobaczyłam buty i plecak Dominika, byłam więc w dobrym miejscu. Trochę się uspokoiłam, że nie włamuję się do jakichś zupełnie obcych ludzi. Zajrzałam do pokoju po prawej. Bałagan, niepościelone łóżko, stosy rzeczy, nikogo. Druga po prawej była kuchnia. Brudno. Na wprost łazienka. Ciemno. Po prawej

jeszcze duży pokój, a tam telewizor, wytarta kanapa, wytarty dywan, pomięte zasłony, nieporządek. I ostatni mały pokoik. To z niego dochodził ten wściekły hałas. Stałam pod drzwiami, ale czułam się, jakby mnie ktoś gwałcił przez uszy, więc nie wytrzymałam długo. Nacisnęłam klamkę. Prawie potknęłam się o porzuconą w przejściu gitarę Dominika.

Nie usłyszeli mnie. Nie tylko przez hałas.

Byli zajęci sobą, obaj nadzy od pasa w dół. Krzysiek leżał na kanapie z takim wielkim... no, wielkim tym, czego nie powinien mieć takiego dużego, nie w tym wieku, nie, kiedy miał ledwie czternaście lat i włosów dookoła prawie jeszcze nie. Dominik zabawiał się ręką tym jego. Nie miałam pojęcia, że mój piętnastoletni syn jest TAM tak owłosiony. Stałam jak skamieniała w progu, a muzyka wrzeszczała w pokoju tak jak dusza we mnie. Mój Dominik. Tak bardzo w tym momencie nie mój.

Zrobiłam krok i wyszarpnęłam wtyczkę z gniazdka. Hałas umilkł, a oni spojrzeli na mnie. Dominik się speszył, przykrył dłońmi, skulił nogi. Krzysiek ani drgnął. Leżał i bezwstydnie uśmiechał się do mnie.

– Dominik, do domu – powiedziałam i wyszłam do przedpokoju.

Dołączył tam do mnie po chwili już ubrany, wciągnął buty, wziął plecak i ruszyliśmy w milczeniu, ze spuszczoneymi głowami. Nie mówiliśmy o tym, co się wydarzyło. Miałam wyrzuty sumienia, że wysłałam Dominika do tego Krzyśka, mogli przecież w domu siedzieć, przy mnie nigdy coś takiego by się nie stało.

Dominik sam zrozumiał, że w tych okolicznościach Krzysiek nie będzie u nas mile widziany. Musiałam chronić syna przed tym małym diabłem, kusicielem. Zaraz wzięłam na bok jego wychowawczynię i jak koleżanka koleżance, jak matka matce wytłumaczyłam, że Krzysiek wywiera na Dominika zły wpływ, więc zarządziłam zakaz kontaktów, i poprosiłam, żeby i ona tego pilnowała. Ciągle miałam przed oczami czarne krocze mojego syna i niemal nagie Krzyśka. Niech ksiądz zrozumie, nie miałam wątpliwości, że Dominik sam by tego nie wymyślił. Przecież ja mu nawet nie pozwalałam oglądać filmów po dzienniku. To Krzysiek sprowadził go na złą drogę. Powinnam może pójść do matki tamtego, ostrzec, że dzieciak źle skończy, ale

jakoś nie miałam siły, śmiałości też nie, bo nie podobało mi się, że i Dominik brał w tym udział, a ja, jako nauczycielka, powinnam być przecież mądrzejsza, zapobiec sprowadzaniu syna na złą drogę. Wszystko przez tego Krzyśka, przez tego małego, pyskatego diabła dmuchającego sobie co chwila w grzywkę. I przez takiego zepsutego drania całe piętnaście lat pracy nad wychowaniem mojego syna miało pójść na marne?

– Wypowiadać się masz.

– Dobrze, mam.

– A gitara gdzie?

– Zostawiłem. No, tam.

Przynajmniej się zaczerwienił.

– Masz ją odzyskać. Wiesz, ile znajomości musiałam uruchomić, żeby ci ją kupić?

– To pójdę zaraz...

– Zabraniam ci chodzić do niego. Niech przyniesie do szkoły.

– Ale może... Bo on lubi na niej grać.

– To niech mu rodzice kupią. Nas nie stać na takie prezenty. Chcę ją widzieć jutro na haczyku nad łóżkiem.

I tak mu powtarzałam jakiś czas, aż gitara pojawiła się na haczyku. Natomiast Krzysiek zniknął, o czym dowiedziałam się dopiero parę dni później. W dzień wagarowicza, dwudziestego pierwszego marca, nie przyszedł do szkoły. Z początku nikt się tym nie przejął, tym bardziej że chłopak nigdy nie przegapił okazji, by wagarować. Tak mówiły koleżanki, które go uczyły. Ale dni mijały, a jego ciągle nie było.

Policja doszła do wniosku, że uciekł z domu. Nie pierwszy raz w końcu.

Znali tę rodzinę, jak się okazało. Jeszcze mocniej poczułam, że zawiodłam, pozwolewszy Dominikowi kolegować się z tym marginesem.

Im dłużej tamtego nie było, tym lepiej dla mojego syna. Ale potem to już, zdaje się, i ci niezbyt troskliwi rodzice się zaniepokoiili, bo nawet w prasie szczecińskiej ukazało się ogłoszenie, że poszukiwany zaginiony, i zdjęcie tego małego drania z błyskiem w oczach ukrytych pod za długą grzywkę.

Nie miałam nic przeciwko temu, że zniknął z otoczenia Dominika. Wyrzuciłam od razu tamtą gazetę, bo nie mogłam patrzeć na tę fałszywą buziuchnę, bezczelną jak żadna. Potem zobaczyłam w śmieciach, że ktoś wyciął z gazety jego zdjęcie. „Ktoś wyciął” mówię, ale przecież kto mógł wyciąć, skoro mieszkaliśmy we dwoje z Dominikiem?

– Dlaczego pociąłeś gazetę?

– Wyrzuciłaś ją.

No i proszę, jak się nauczył odszczekiwać. Wiedziałam nawet od kogo.

– Wyrzuć to zdjęcie, ale już.

– Żaden mój kolega nigdy nie był w gazecie, chciałem mieć pamiątkę.

– Oddaj mi to zdjęcie.

– Nie.

– Oddaj, proszę. To nie jest dobry chłopak. Nie potrzebujesz takich wspomnień.

– Nie. – I znowu mina, którą robił, gdy mi się stawiali z Krzyskiem.

Nienawidziłam jej. Diabła mina – tak czasem o niej myślałam.

Kiedy więc Dominik poszedł do szkoły, przetrząsnęłam cały jego pokój. Zawsze wiedziałam, gdzie co trzyma – przecież to ja mu wszystko układałam, sprzątałam szuflady i szafki – ale pierwszy raz czegoś szukałam. Szukałam zdjęcia tego wstrętnego chłopaka. Gdy o nim myślałam, równie często miałam przed oczami jego bezczelną twarz, jak TO, ksiądz rozumie, to, o czym nie wypada mi mówić.

Znalazłam w końcu ten wycinek z gazety, w plastikowej obłócce, wsunięty w pudło rezonansowe gitary. W głowie mi się nie mieściło, jak sprytnie Dominik je schował. Porwałam zdjęcie na drobniutkie kawałeczki i spuściłam w klozecie. Nie chciałam więcej widzieć tej twarzy.

I nie zobaczyłam, bo Krzysiek się nie odnalazł.

Tak się skończyła ta obrzydliwa znajomość, a Dominik wyszedł na prostą i już się nie wdawał w podobne przyjaźnie. A potem powiedział, że chce zostać księdzem. Pomyślałam, że dobrze wybrał, że ostatecznie uciekł od tych spraw.

Od tamtej pory byliśmy szczęśliwi. Naprawdę. Takim prawdziwym szczęściem, nieudawanym. Syn i matka. Minęło to, co złe, co mogło budzić wątpliwości. Zostało samo dobro.

A że czasem Dominik brzdąkał na tej gitarze? W końcu skoro miał gitarę, to pograł na niej. Lubił muzykę, często słuchał przez słuchawki, czytał książki o nutach, o komponowaniu. Jak już się czymś zajmował, to na całego, zawsze tak miał. *Harmonia tkwi w liczbach* to jedna z tych książek. Dobrze, że poszerzał horyzonty, prawda? Bo w tej książce było nie tylko o muzyce i o liczbach. Kiedy znowu do niej zajrzałam, przeczytałam, że „rysunki zawierające tylko częściowe informacje, jak np. krajobrazy impresjonistów, tworzone za pomocą tysięcy drobnych, luźnych pociągnięć pędzlem, widziane z pewnej odległości niemal magicznie przemieniają się w wiarygodne, ciągle całości”. Nie, nie czytałam dalej, bo przeraziła mnie świadomość, że mogę być otoczona wzorami, których nie jestem w stanie odcyfrować, całościami, których nie widzę, bo patrzę na nie ze zbyt bliska. To mnie wtedy zastanowiło, proszę księdza, ale starałam się o tym nie myśleć, bo po co się niepotrzebnie denerwować.

A dwa tygodnie temu zobaczyłam ten artykuł. Nagle w gazecie ujrzałam zdjęcie tego ohydneho Krzyśka, właściwie trzy jego zdjęcia, oraz fotografię jeszcze jakiegoś chłopaka. Dopiero gdy przeczytałam podpis, okazało się, że to zupełnie inni chłopcy. Inni zaginieni chłopcy. Zaginieni przed laty. Gdyby postawić tych trzech obok czternastoletniego Krzyśka, wyglądałoby jak jego bracia. Ciekawe, czy Dominik widział ten artykuł? Czy też dostrzegł to podobieństwo? – zastanawiałam się.

A potem zaczęłam czytać artykuł. Miasteczko – myślałam. – Skąd ja znam tę nazwę? I wreszcie mi się przypomniało. Dominik przez półtora roku uczył tam dzieciaki religii, przygotowywał je do bierzmowania. Tak, pracował kiedyś w Miasteczku. Drugi chłopiec pochodził ze Starej Wioski. Zaraz pobiegłam sprawdzić to na mapie województwa. I znalazłam. Dominik był tam kiedyś niedaleko na parafii. Tylko z tym Ośrodkiem Nadmorskim nie miałam pewności. Nie, co ja mówię, miałam pewność. Miałam pewność, że Dominik nie ma z nim nic wspólnego. Wszystko to tylko mi

się takie dziwne wydawało, niezrozumiałe. Zastanawiałam się, dlaczego – z wyjątkiem jednego – oni wyglądają jak ten mały drań sprzed lat, dlaczego Dominik pracował w miejscach, gdzie mieszkali dwaj z tych chłopców, dlaczego wszyscy oni zaginęli bez śladu jak kiedyś Krzysiek. Naprawdę jakoś mi nie pasowało to, że za dużo mi pasuje.

Zaraz też chwyciłam za słuchawkę. Zaczęłam wybierać numer Dominika – była szesnasta, powinien już wrócić na plebanię po lekcjach religii, a przed wieczorną mszą – ale po czterech cyfrach straciłam odwagę. Nie chciałam go o nic pytać. Nie mogłam mu w końcu pokazać, że nie mam do niego zaufania. Bo przecież mu ufam. Mam powody, żeby mu ufać. Dlatego przyszłam dziś do księdza spytać, czy w tym wszystkim nie ma czegoś niepokojącego. Nie ma, prawda?

Tylko muszę coś jeszcze dodać. Był taki czas, kiedy Dominik oglądał filmy. Na którymś urlopie, w domu, u mnie, jak zawsze, nabrał jakichś filmów z wypożyczalni DVD. Bo on od dawna nie lubił telewizji.

– Głupia sieczka – mówił. – Wolę oglądać na płytach. Całe szczęście, że jest u nas ta wypożyczalnia.

Rozumiałam, że nie lubi telewizji, nie mogłam jednak pojąć, dlaczego woli oglądać takie makabry. To było dawno, proszę księdza, ale ciągle pamiętam te tytuły. *Milczenie owiec*, *Psychoza*, *Czerwony smok*. Czytałam streszczenia i byłam przerażona.

– Nienawidzę takich strasznych historii. Po coś ty to wypożyczył?

– To tylko film, mamó. Hitchcock. Klasyka. Nominacje do Oscara. Trzeba znać.

– Nic nie trzeba, synku. Nic. Trzeba to być przyzwoitym.

– To akurat dobry film, naprawdę.

– Oglądałeś?

– Kiedyś. Ale teraz chciałbym go obejrzeć z tobą.

Usiadłam na kanapie, oparłam stopy o krzesło i przykryłam kocem, bo w pokoju było jakoś zimno. Nie zamierzałam sprawiać przykrości Dominikowi, więc oglądałam, ale przerażający był ten chudziutki chłopaczek

z *Psychozy*, który robił wszystko, by zadowolić zmarłą matkę. Wszystko, naprawdę, bo mordował kobiety. Bał się chyba, że matka mogłaby być o nie zazdrosna. Za życia musiała być niezłym potworem, skoro nawet po jej śmierci się nie uwolnił.

– Jakież to nieszczęśliwy człowiek! – powiedziałam w pewnym momencie.

– A może właśnie on jest szczęśliwy?

– Przecież krzywdzi te kobiety.

– A może im też się to podoba?

– Co ty mówisz, synu?

– A po co jechały same na to pustkowie? Gdyby nie chciały, nie jechałyby przecież w takie miejsce, żeby być z nim sam na sam.

– Dominik, co ty w ogóle mówisz?

Mrocznie było nie tylko w filmie, ale i w pokoju, między nami robiło się jakoś biało-czarno. I nie pomogło ciasto, które rozłożyłam na talerzu, żeby przyjemniej się oglądało. Bo po co Dominikowi takie filmy?

– Jak to dobrze, że nie jestem taką matką jak kobieta w filmie.

Dominik nachylił się i pocałował mnie w policzek.

– Jesteś taka kochana.

– Ale że sympatyczny chłopak wyczynia takie okropności?

– Sympatyczny, prawda?

– No właśnie. Miła twarz. Dlaczego on musi grać takie okropności?

– A wiesz, mamó, że ten aktor okazał się homoseksualistą?

– Niemożliwe.

– Tyle lat się z tym ukrywał. Wszystko wyszło na jaw, gdy zaraził się HIV. Umarł na AIDS, wiesz, mamó? Nawet nie tak dawno temu. Miał na imię Anthony. Anthony Perkins.

– Zaparzę miętę. – I wyszłam do kuchni, bo już nie mogłam patrzeć na miłą twarz człowieka na ekranie. Miłe twarze nie powinny ukrywać żadnych mroków. Miła twarz oznacza miłą duszę, jak u Dominika.

Następnego wieczoru nie chciałam oglądać żadnych filmów, choć Dominik zachęcał.

– Niepotrzebne mi takie emocje – wytłumaczyłam. – Moje życie jest zwyczajne i normalne, więc po co mi wymyśły cudzej chorej wyobraźni?

– To fikcja, ale trochę na faktach. Wiesz, mam, że mordercy z *Milczenia owiec* byli wzorowani na prawdziwych?

– Po co mi ta wiedza, Dominik? Na co może mi się przydać? Dlaczego muszę wiedzieć, że gdzieś tam, na świecie, są ludzie, którzy wyczyniają takie okropności?

– Może czasem lepiej wiedzieć różne rzeczy? Może czasem lepiej rozumieć, że świat nie jest taki prosty i normalny, jak by się mogło wydawać?

– Ale po co mi ta wiedza? – powtórzyłam. – Przecież nigdy żadnego z tych ludzi nie spotkam. Oni są daleko. Nie chcę nic o nich wiedzieć. Nic.

– Nie spotykałaś takich dzieciaków, gdy byłaś nauczycielką?

– Spotkałam wiele źle wychowanych dzieci, wiadomo. Ale to prawie zawsze była wina rodziców. Czasem środowiska. Wystarczyło wytyczyć im granice, wytłumaczyć, co dobre, a co złe.

– I już byli dobrzy?

– Przystawali sprawiać kłopoty. Synu, ja byłam dobrą nauczycielką. Cemu ma służyć ta rozmowa?

– Skoro nie masz dzisiaj nastroju, to może obejrzymy coś razem jutro?

– Może za parę dni – powiedziałam, bo nie chciałam sprawić mu przykrości.

Trzy dni później Dominik znowu zaproponował wspólne oglądanie. Wypożyczył nowe filmy. Znów z przerażeniem czytałam streszczenia na płytach. *Siedem*. Seryjny morderca. *Bezsensowność*. Seryjny morderca. *Szósty zmysł*. Zmarłe dzieci.

– Dominik, a mógłbyś raz wypożyczyć coś pogodnego?

– Mam, ja muszę znać ludzkie mroki, żeby sobie z nimi radzić. Ty może nie musisz, ale ja tak. Nie masz pojęcia, ile ludzie w sobie skrywają.

Mroki. Znowu padło to słowo.

W nocy stałam pod drzwiami jego pokoju. Słyszałam, jak przewraca się na łóżku – nie oddychał miarowo, walczył, z bezsennością pewnie. Rano chodził ponury, nie ogolił się, nie zacisnął paska od szlafroka, nie patrzył na mnie, nie odzywał się. Na śniadanie tylko kawa, jajecznicę rozgrzebał. Po-brzdąkał na gitarze, och, jak tego nie lubiłam. Po basenie nawet nie rozwiesił kąpielówek. Obiad pochłonał szybko, a z sernikiem poszedł do siebie, jakby chciał się przede mną ukryć. Zapukałam do niego, czy się dobrze czuje.

– Dobrze – powiedział takim głosem, jakby poddano go właśnie operacji bez znieczulenia.

Słyszałam przez drzwi mocny, przyspieszony oddech i chwilę się wahałam, czy wejść. Ale w końcu nacisnęłam klamkę – miałam się nim przecież opiekować, nawet gdy jest trudniej. Dominik robił pompki na dywanie, nie było mu łatwo, zrobił się przecież wielki, ciężki. Twarz miał czerwoną i szybko padł na dywan, odwracając się ode mnie. Zmordował się strasznie i nie chciał, żebym go widziała spoconego. Postawiłam herbatę na biurku, a on zniknął w łazience, żeby się odświeżyć.

– Przejdę się – powiedział. – Dobrze mi to robi.

I wyszedł.

Wrócił przed północą, długo brał prysznic. Nie wyszłam do niego, niech ma trochę prywatności, dorosły jest. Zresztą paliła się u mnie lampka nocna, gdyby chciał, sam by zajrzał. Ale nie zajrzał.

Padł na łóżko. Słyszałam skrzypienie, ale tylko przez chwilę, potem zaległa cisza. Stałam pod jego drzwiami. Spokojny, miarowy oddech. Sen człowieka z czystym sumieniem.

Zanim zasnęłam, przykryłam bieżnikiem stosik płyt DVD z wypożyczalni. Niech nie będzie widać tych okropności. Niech nie patrzą na Dominika. Niech on nie patrzy na nie. Niepotrzebna nam ta wiedza.

Tak kiedyś było, na tym jednym urlopie. Potem już nie wypożyczał filmów, nie proponował mi oglądania. Jeśli wieczorem został w domu, brzdą-

kał sobie na gitarze, słuchał muzyki w słuchawkach, czytał książki o nutach i liczbach, wszystko już lepsze niż te *Psychozy* i *Milczenia owiec*. Choć filmy oglądał u siebie, na plebanii, bo czasem pisał w listach albo mówił: „Jeśli chcesz, polecam”. Nie chciałam.

Ale to nic nie znaczy, prawda, proszę księdza? Przecież to wszystko takie głupstwa, które przypomina sobie matka, kiedy martwi się o syna. To przeczucia, niepokoje, które sobie po kobiecemu wyolbrzymiam, a ksiądz mi zaraz powie, że niepotrzebnie, prawda?

I co z tego, że Dominik pracował w Miasteczku? Co z tego, że mieszkał niedaleko Starej Wioski? Byłabym głupia i podejrzliwa, gdybym łączyła ze sobą niezwiązane fakty, gdybym przy tym jeszcze myślała o jego mrocznych nastrojach, o głupich filmach, o biednych psach. Przecież to wszystko nic nie znaczy, ot, kilka zbiegów okoliczności, przecież Dominik co roku spędza urlop u mnie, w domu, przecież jest dobry i jest księdzem, przecież nic nie ukrywa, bo po co, przecież wychowałam go jak księcia. Niech ksiądz sam powie, że nic złego z tego nie mogło wyniknąć. Ja nawet tę książkę przyniosłam, *Harmonia tkwi w liczbach*, żeby ksiądz sam powiedział, że nic w niej złego nie ma. Że nic złego nie ma w tym wszystkim, co opowiedziałam. Powie ksiądz?

Więcej grzechów nie pamiętam, za wszystkie serdecznie żałuję i proszę cię, ojcie duchowny, o rozgrzeszenie.

FAZA PIĘTNASTA

PROGRESJE

MAMA JĘDRZEJA

Chłopcy! Po ukończeniu osiemnastego roku życia wyrok Sądu o umieszczeniu w Młodzieżowym Ośrodku Wychowawczym traci moc. Nie poniesiecie żadnych konsekwencji. Dajcie znać, że żyjecie! Są ludzie, którzy o Was myślą.

z ogłoszeń organizacji Missing Zaginieni



Czynności związane z poszukiwaniem niepełnoletniej osoby zaginionej Policja kończy po upływie dziesięciu lat od dnia, w którym osoba zaginiona osiągnęłaby pełnoletność. W systemach policyjnych informacja o osobie zaginionej figuruje jeszcze przez najbliższe 25 lat.

Przed zakończeniem czynności poszukiwania osoby małoletniej należy wykonać progresję wiekową zaginionej osoby i wprowadzić do ewidencji policyjnej zdjęcie z prawdopodobnym obecnym wyglądem.

z materiałów Policji



KAMIL SOSNOWSKI

W roku 2009 wykonano progresję wiekową. Zdjęcie progresji przedstawia prawdopodobny wygląd Kamila do wieku 27 lat.

JĘDRZEJ ZARĘBA

W roku 2009 wykonano progresję wiekową. Progresja do wieku 26 lat. Wygląd chłopca na zdjęciu progresji wiekowej może odbiegać od rzeczywistego wyglądu dzisiaj.

z materiałów organizacji Missing Zaginieni



Podobny? Do nikogo. Nawet do siebie nie za bardzo. Kaśka nie umiała przyzwyczać się do obcej twarzy niby-dorosłego Jędrzeja na rysunku z jego progresją wiekową. Z tą kwadratową szczęką wyglądał jak hydraulik ze spółdzielni, a z tymi pustymi oczami jak ich dozorca, kiedy popił w sobotę. Zero podobieństwa do ojca czy do brata. Jak oni to policzyli na policji – zastanawiała się – że akurat szczęka Jędrzejowi z upływem lat urośnie, a oczy zmaleją? Oczy Dawida i Julii z wiekiem wydawały się przecież jeszcze większe.

Ale tylko pocałowała Dawida w czubek głowy i ustawiła rysunek starsze-

go Jędrzeja, po progresji, na regale, żeby jednak się do niego przyzwyczajać.



Progresji wiekowej Szymona Lubertowicza i Dariusza Woźniaka nigdy nie wykonano.

FAZA SZESNASTA

BOŻY LUDZIE
TATA DARKA

– MÓDL SIĘ ZA NAMI – powtarzamy za księdzem z radia, Marzena szybciej, ja wolniej.

Ksiądz z radia ma mocny głos i zawsze wie, co mówi. Wie, co trzeba robić. Modlić się. Wierzyć. Ufać, że cokolwiek się stało, było dobre.

Kiedyś się krępowiałem modlić do radia przy Marzenie, ale mi przeszło. Siedzimy razem przy radiu, ja zawsze tyłem do jeziora, a „Módl się za nami” trochę pomaga. Przypomina, że ktoś tym wszystkim rządzi. I wie, co robi.

Potem może pójde do lasu pomyśleć. Czasem mi się zdaje, że więcej tam Pana Boga niż w kościele.

A jak wrócę, pójde do Witka na karty. I piwo. Ale tego Marzenie nie mówię, sama wyczuje.

Witek Panek zdziałał strasznie bez kobiety. Łazi zarośnięty jak dziadoga, bo tylko w niedzielę się goli, za to wtedy jeździ do Letniska. Już nie autobusem, bo ma samochód. Jak my. Jak wszyscy. Ośrodek ogrodzono, więc Witek musi leżeć po drugiej stronie siatki, ale co z tego. Stamtąd też widać letniczki, co opalają się na kocach bez staników. Na brzuchach, ale zawsze.

Witek mówi, że znowu z dwiema spał.

– Chyba naraz.

– A żebyś wiedział – zmyśla jak potłuczony. – Chwaliły, że chłopaki na wsi dużo lepsze niż w mieście. Bo my się z nimi nie cackamy. Takie lubią od razu, mocno.

– Chłopaki? Masz, dziadu, sześćdziesiąt lat.

– Starszy najlepszy, tak one mówią.

– Czy ty w życiu powiedziałeś słowo prawdy?

– Samą prawdę mówię. Letniczki mówiły, że dawno takiego dużego nie widziały.

– Spowiadałeś się z tego?

– Księdzu zawsze samą prawdę mówiłem. Ale odkąd usnął raz w tym

swoim kiosku, jak mnie słuchał, już do niego nie chodzę.

– Może zapomniałeś mu powiedzieć o letniczkach?

– O jakich letniczkach?

I tak się rozmawia z Witkiem Pankiem. Nie wie, co już powiedział, bo wszystko zmyślił, a jak to zmyślane, przelatuje mu przez tę głupią głowę i już nie wraca. Tak se bajdurzy, byle gadać. Byle go słuchali. To już wolę grać z nim w karty. Czasem przecież trzeba wyjść z domu. Trochę do lasu, ale nie można być zawsze samemu, bo człowiek wariuje. W domu Marzena i radio, więc niekiedy zamiast „Módl się za nami” wychodzę do Witka, daleko nie mam. Piwo postawimy obok i gramy.

– Zawsze siadasz tyłem do okna. Światło mi zasłaniasz – narzeka Witek.

– A tak już mam.

Co ja mu będę mówił, że boję się patrzeć na jezioro, bo a nuż jakieś ciało wypłynie. Darka na przykład. Już nie takie ładne, żeby chwalić się nim na porodówce czy patrzeć, jak stoi przed ołtarzem w białych koronkach obok księdza.

Na zzieleniałych pustakach, co to ciągle czekały na swój czas pod szopką, Marzena poustawiała donice z kwiatami. Nawet ładnie wyglądały, kwiaty w kolorach jak słońce o zachodzie. Palę papierosa i patrzę na obejście – na pustaki, na kwiaty w donicach, na kury zawsze pełne nadziei, że coś wygrzebią z piachu. Tylko na jezioro nie chcę, ale ono zawsze gdzieś tam jest w kącie oka. Szare albo niebieskie. I nie rusza się stamtąd.

A ostatnio nawet przyjechał do nas ksiądz. Ten, co odprawiał, gdy Darek służył do mszy. Duży taki, jeszcze bardziej brzuchaty, niż jak był niedaleko nas na parafii. Wtedy rzadko się uśmiechał, teraz też. Darek zawsze wpatrywał się w niego, gdy stał w komeżce obok ołtarza z tymi dzwoneczkami w ręku.

Do Darka się czasem uśmiechał. Tak trochę tylko, bo nie po to jest ksiądz, żeby się uśmiechać, tylko po to, żeby się modlić.

Herbata, ciasto. Dobrze, że Marzena coś wygrzebała w kredensie, u niej marnie z pieczeniem. Sztywno trochę, bo taki gość, nie bardzo wiadomo, co

powiedzieć. Przecież nie pytamy, po co przyszedł, znaczy przyjechał.

– A ksiądz gdzie teraz się podziewa? – pyta Marzena.

– Gdzie ksiądz nowa parafia? – staram się być grzeczniejszy.

– Trochę mnie poprzerzucali to tu, to tam. Takie powołanie. Nie można się przywiązywać do miejsc, do ludzi tylko trudniej się nie przywiązać. Byłem tu, tu i tu.

Wymienia różne nazwy, wszystkie odległe i obce. Nigdy tam nie pojedę, po co mi pamiętać. Aż wreszcie ksiądz Dominik sam mówi, po co do nas zajrzał.

– Znaleźliście pociechę w Bogu? Pocieszył was po stracie dziecka?

– Jakoś żyjemy, Panu Bogu dziękować. Jakoś dajemy radę, raz trudniej, raz trochę łatwiej.

– A potrafiłeś, synu, ofiarować to cierpienie w dobrych intencjach?

– Ja tylko nie mogę na jezioro patrzeć, proszę księdza.

– Mój mąż to w ogóle rozmawiać o synu nie chce, wie ksiądz? – mówi Marzena, jak to ona, głośno i szybko. – Ani słowa o nim, nigdy. Jakby Darka w ogóle z nami nie było.

Spuszcza głowę. O takich jak Marzena mówi się, że mają oczy na mokrym miejscu. Wiele jej nie trzeba i już płacze.

– Ćśśś, ćśśś. – Ksiądz podaje jej paczkę chusteczek.

Marzena trąbi w chusteczkę jak stary strażak, a ja trochę się za nią wstydzę. Bo najpierw podała to czerstwe ciasto, a teraz trąbi.

– Modlę się za was i za niego. Darek to był piękny, wspaniały chłopiec. Piękna dusza.

– Ksiądz już wie najlepiej, przecież go ksiądz spowiadał.

– Piękna dusza, naprawdę. Wasz syn miał piękną duszę. A wy zostańcie w pokoju. Z Bogiem.

Wstaje i podchodzi do zdjęcia Darka, co wisi obok Jezusa Miłosiernego, tego z promieniami z serca, białymi i czerwonymi, i obok Maryi z dzieciątkiem. Robi znak krzyża nad tym zdjęciem.

– Wszyscy spotkamy się z nim w niebie, prawda? – pytam, bo dobrze, gdy czasem ktoś to jeszcze raz powie.

– Tak, wierzę w to. Mimo naszych grzechów, mimo naszych słabości kiedyś znajdziemy się wszyscy w domu Ojca.

– A gdzie tam ksiądz grzechy jakie ma – mówi Marzena.

– Wszyscy jesteśmy słabi i grzeszni. Ale Ojciec nasz wie o tym i nas wspiera. Takich nas stworzył, takich nas kocha. Przebacza nam i kiedyś nas do siebie weźmie. Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Marzena zaczyna głośno płakać, a ja powtarzam za księdzem. Ktoś musi pilnować honoru rodziny.

Ksiądz Dominik jest dobrym człowiekiem. Nie zadziera nosa jak ta pani z fundacji, wszystko rozumie, wie, że trzeba się modlić, gdy nie wiadomo, co powiedzieć.

Po jego wyjściu przecieram zdjęcie Darka rękawem, aż robi się cieplejsze. Na duchu też trochę cieplej się robi. Zaciągam zasłony w oknach na jezioro i mówię do Marzeny, bo czasem trzeba zakończyć jakimś mądrym słowem:

– Boży człowiek, prawda?

FAZA SIEDEMNASTA

NIEBO

MAMA SZYMONA

„Cisza jest odpowiednikiem dźwięku i drugim podstawowym elementem muzyki”.

Harmonia tkwi w liczbach. Muzyka i matematyka
Javier Arbonés, Pablo Milrud

TO JUŻ CHYBA WSZYSTKO, PROSZĘ PANI. Taka to historia.

Ale może powiem jeszcze jedno.

Bo nagle słyszę dzwonek. Idę do drzwi. Teraz, po tylu latach, robię to już bez emocji, nadzieja dawno zdążyła się wypalić. Pewnie to listonosz. Kurier. Gospodarz domu. Sawicka z góry. Nikt ciekawy.

Na wycieraczce stoi mężczyzna. Patrzę na niego przez wizjer i zastanawiam się, skąd go znam. Jest piękny, trochę podobny do mojego stryja, ale bardziej do Piotrka, subtelniejszy jednak, przystojniejszy, cieńszą kreską rysowany. Wysoki, szczupły, wyraźne kości policzkowe, mocna szczęka. Ma ciemne oczy i półdługie włosy, odgarnia grzywkę, czekając, aż otworzę. Podobny jest do wszystkich, których kocham. Kochałam.

Nie, to nie może być on.

To z całą pewnością nie on. Minęło dwadzieścia lat. Dlaczego dzisiaj, teraz, tak nagle, skąd?!

Boję się otworzyć. Tamten stoi i patrzy w wizjer, szuka moich oczu. Nie może ich przecież widzieć, ale szuka.

– Długo każesz mi czekać? – Głęboki, męski głos.

Uśmiecha się, trochę krzywo, zbuntowanymi ustami.

Ręce mi się trzęsą, ale otwieram. Stoję w progu i patrzę na niego. Wyższy ode mnie o dwie głowy. Może nawet trzy.

– Cześć, mamusiu! Tyle czasu! Tak strasznie tęskniłem!

Daje krok do przodu i nagle tulimy się mocno. Pachnie inaczej, mówi

inaczej, twarz mu dojrzała, policzki ma szorstkie, ale w środku, tam głęboko, to ciągle mój syn, nasz kochany syn i brat. Szymon wrócił do domu.

Jeszcze będzie czas, żeby spytać, gdzie był przez tych dwadzieścia lat, co robił, a może, co z nim robiono. Dlaczego nie pisał, nie odezwał się, nie mógł dać znaku życia. Nie mógł albo nie chciał. Ale cokolwiek się z nim działo, zdążył urosnąć i zmęznieć przez tych dwadzieścia lat, podczas których moja żałoba osiągnęła dojrzałość.

Nie, to nie żałoba. Pustka osiągnęła dojrzałość.

Jednak jest, wrócił.

Znowu jesteśmy razem.



Taką scenę odgrywam co wieczór w moich marzeniach przedsennych. A potem zasypiam spokojna, jakbym trzymała Szymona w ramionach. Rano budzę się zdrętwiała i dalej chcę spać. Ostatnio nawet o to łatwiej, przecież w pustym domu nie ma się do czego spieszyć. Ale żeby nie wiem co, wstaję przed dziewiątą. Nie mogę spać dłużej – straciłabym szacunek do siebie. Wstaję więc, myję się, ubieram, ogarniam dom i wychodzę po zakupy. Po drodze zaglądam do Grzeška do kiosku. Wymieniamy parę zdań, nic ważnego, tak tylko, żeby poczuć, że nie jesteśmy sami.

Gdy Natascha Kampusch uciekła po ośmiu i pół roku z domu porywacza, była wychudzona, pólżywa i zgębiona. Ale nie to było najgorsze. Natascha nie umiała już żyć poza piwnicą, choć matka próbowała ją tego nauczyć. Dziewczyna nie potrafiła pogodzić się z tym, że porywacz rzucił się podociąg, gdy tylko uciekła, i opłakiwała go. Niech pani sobie wyobrazi, że nawet zamieszkała w domu, w którym była więziona, bo zapisała jej go w spadku matka tego mężczyzny. Natascha została na całe życie naznaczona swoim zniknięciem. Uciekła, ale zabrała więzienie ze sobą. A potem w nim zamieszkała.

Kiedy o tym rozmyślam, od razu pojawiają się pytania: Jaki byłby Szymon, gdyby teraz wrócił? Obcy, dziwny, skrzywiony, nieszczęśliwy, nie-

pewny?

Czasami myślę: A może jednak to nie był żaden porywacz? Może Szymon sam wybrał lepszy los? Może wyjechał do większego miasta, gdzie łatwiej o fajne życie i o pracę? Tak, Szymon lubiłby miasto, gdzie w tłumie łatwiej o samotność – tak mi się przynajmniej wydawało. Może żyje gdzieś tam, pracuje, zarabia, ma jakieś mieszkanie, dziewczynę albo żonę, jest wysoki, barczysty i nikt mu nie podskoczy. Boi się do nas zajrzeć, bo wie, że nas skrzywdził. Nie wie, że przebaczylibyśmy mu wszystko.

A może stracił pamięć? Tak też czasem myślę. Może tam, dokąd doprowadził nas pies, Szymon miał wypadek? Nigdy przecież nie nosił przy sobie legitymacji – który z dzieciaków nosi? – ktoś go znalazł na poboczu, nie wiedząc, kim jest, zaopiekował się nim, zabrał do domu i wychował jak swojego? A teraz mój syn żyje gdzieś w Polsce, albo i nie w Polsce, ma już inne imię i nazwisko, ale jest wysoki, barczysty i podobny do Piotrka, kochany przez kogoś, kto nie wie, skąd się ten świetny dzieciak wziął. Przecież to wszystko możliwe, prawda? Obiektywnie rzecz biorąc, możliwe, niech pani powie, że tak.

O jednym tylko staram się nie myśleć. O tej kurtce złożonej w kostkę. Bo czasem przychodzi mi do głowy, że może Szymon już wtedy przeczuwał, jak bolesne może być życie. Że może postanowił z niego zrezygnować. Że może, by przedłużyć czas na decyzję, powoli składał kurtkę, choć nigdy przedtem jej nie składał. Że zostawił ją na brzegu, by dać nam znać: „Tu byłem, tu zniknąłem. Nie szukajcie mnie, to moja decyzja”.

A potem myślę, że to bzdura. Nie mój syn. Nie zrobiłby nam tego.

Życie jest stratą – kiedy uświadomisz to sobie, wszystko staje się łatwiejsze do zniesienia. Straty i tak będą, cokolwiek zrobimy. Ale na razie możemy się cieszyć tym, co mamy, a mamy trochę, wystarczy spojrzeć przez okno. Albo zajrzeć do kiosku dwie ulice dalej.

Rzadko rozmawiam o tym z Grześkiem, rzadko rozmawiamy o czymkolwiek, bo i tak prawie słyszymy swoje myśli. Od tych poszukiwań po równonocy w dziewięćdziesiątym ósmym nie chodzimy już razem nad rzekę. Ślady na wierzbie, które Grzesiek tam zostawił na pamiątkę naszej miłości,

pewnie już się całkiem zabiłiły. Zresztą po co nam ślady na korze, skoro i tak od lat opieramy się o siebie jak stare drzewa. Stykamy się ranami, więc musimy uważać, żeby się nie zrosnąć. Nawet w kiosku teraz często siedzimy razem, blisko siebie, lepiej, że ciasno. Jesteśmy tak wrośnięci w siebie, że spać musieliśmy zacząć osobno, żeby się nie złać w jedno. Grzesiek przeniósł się do pokoju po mamusi, śpi tam na wąskiej kozetce. Ja nie rozkładam nawet kanapy w dużym pokoju – wieczorem tylko nakrywam ją prześcieradłem, a pościel wyjmuję ze skrzyni.

W tamtym pokoju ciągle na środku leży sznurek. I stoi łóżko, na którym od dwudziestu lat nikt nie spał. Nie ruszyłam nawet podręczników z szuflad, bo nie wiem, czy Szymon mógł przez ten czas chodzić do szkoły.

Jest już dorosły. Na pewno zupełnie inny. Inaczej mówi. Inaczej wygląda. Inaczej myśli i czym innym się interesuje.

Skończył w tym roku trzydzieści cztery lata. I tak już by z nami nie mieszkał. Piotrek też się przecież wyprowadził, ma się nawet żenić. Miła jest ta dziewczyna, pogodna, grzeczna, ale nie powiedział jej jeszcze o bracie, który zniknął lata temu, więc ciągle nie jestem pewna, czy to poważny związek. Pyta pani, po co miałby opowiadać narzeczonej o zniknięciu brata? Bo to ważne. Najważniejsze. Nas – mnie z Grzegorzem i Piotrka na pewno też, chociaż tak się starałam – ukształtowało najważniejsze wydarzenie naszego życia, które pech chciał, było utratą. Zniknięcie Szymona ociosało nas i ulepiło na nowo. Jesteśmy zupełnie inni, niż bylibyśmy, gdyby został z nami. Lepsi? Inni po prostu.

Powiedziałam „pech chciał”? Chyba powinnam powiedzieć „Bóg chciał” albo przynajmniej „tak chciała Opatrzność”. Ostatnio wolę mówić „Opatrzność”, bo jest rodzaju żeńskiego, przez co wydaje mi się bliższa niż Pan Bóg. Ale cóż, powiedziałam, jak powiedziałam. Szymon miał takie powiedzonko „Pierwsze słowo do dziennika, drugie słowo do śmietnika”. Więc zostaliśmy przy pechu. Trafiło akurat na nas. A mogło na każdego z was, naprawdę. Nie jesteście bezpieczni. Pani też nie jest bezpieczna, tylko tego pani nawet nie wie.

Otulam się w szlafrok, idę na balkon. Patrę do góry, aż szyja boli po tyłu

latach szukania sensu na niebie. Gwiazd właściwie nie widać, odkąd na osiedlu przybyło latarni i wszystkie działają. Przez te światła niebo wydaje się za odległe, za ciemne, za groźne.

– Nie ma się czego bać, mamusiu.

KONIEC

Marzec 2018 r., dwadzieścia lat od zaginięcia Szymona, dziewiętnaście lat od zaginięcia Darka, Jędrzeja i Kamila

Podziękowania

Przede wszystkim dla Renaty Waligórskiej z niezwyklej organizacji Missing Zaginieni (www.zaginieni.org.uk). Organizacja powstała w 2012 roku z inicjatywy Małgorzaty Masztafiak i od lat wspiera poszukiwania zaginionych osób w Polsce i za granicą. Jej wolontariusze i koordynatorzy działają na całym świecie. Współpracują z policją w kraju, gdzie doszło do zaginięcia, ale przede wszystkim starają się wspierać poszukiwania prowadzone przez polskie organy ścigania. Od początku istnienia wspierają działania Fundacji Itaka. Doradzają rodzinom osób, które o taką pomoc się zwracają, zarówno Polakom za granicą, jak również osobom na terenie Polski. A przy tym wszystkim działają na zasadzie wolontariatu, nieodpłatnie, wszystkie koszty pokrywają z własnych środków finansowych. W działalność wkładają całe serce, pewnie również dlatego, że wielu spośród wolontariuszy przeżyło zaginięcie kogoś bliskiego. Renata Waligórska była dla mnie wielką pomocą i inspiracją przy pisaniu. Podziwiam jej siłę i energię, którą wkłada w poszukiwania i we wspieranie rodzin osób zaginionych.

Dziękuję podkomisarzowi Konradowi Gajdzie, ekspertowi Wydziału Poszukiwań i Identyfikacji Osób z Biura Kryminalnego Komendy Głównej Policji. To on wyczerpująco wyjaśnił mi różnice między poszukiwaniami zaginionych prowadzonymi obecnie a tymi sprzed lat dwudziestu i więcej.

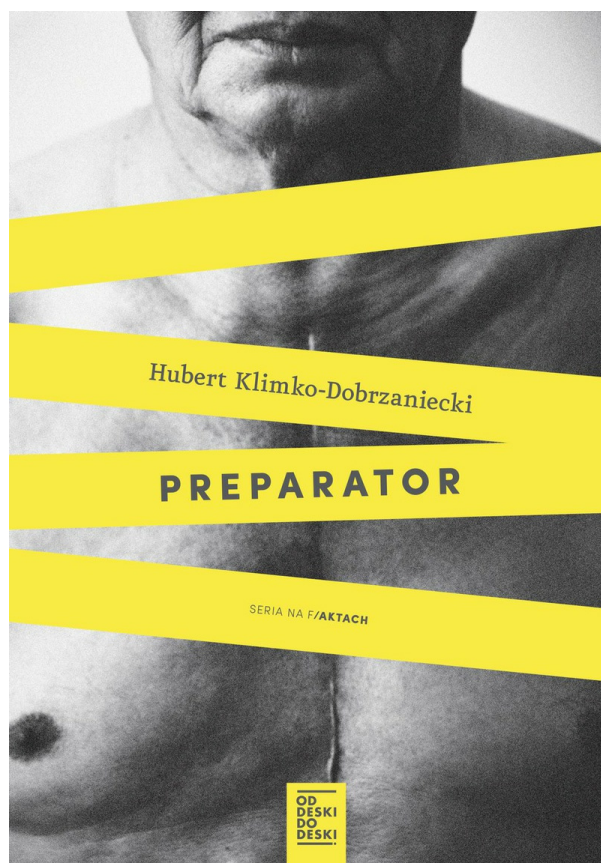
Dziękuję Annie Sekielskiej, prezesce wydawnictwa Od Deski Do Deski, współpomysłodawczyni tej mojej ulubionej serii, za zaufanie, z którym powierzyła mi tak ważny temat.

Dziękuję Gabrieli Jatkowskiej, doskonałej researcherce.

Dziękuję Manuli Kalickiej, świetnej pisarce, i Annie Luboń, wybitnej dziennikarce, za wsparcie przy pisaniu.

Współczuję wszystkim rodzinom zaginionych. A przede wszystkim przytulam do serca rodziny czterech chłopców zaginionych w zachodniopomorskim pod koniec XX wieku. Życzę Wam spokoju.

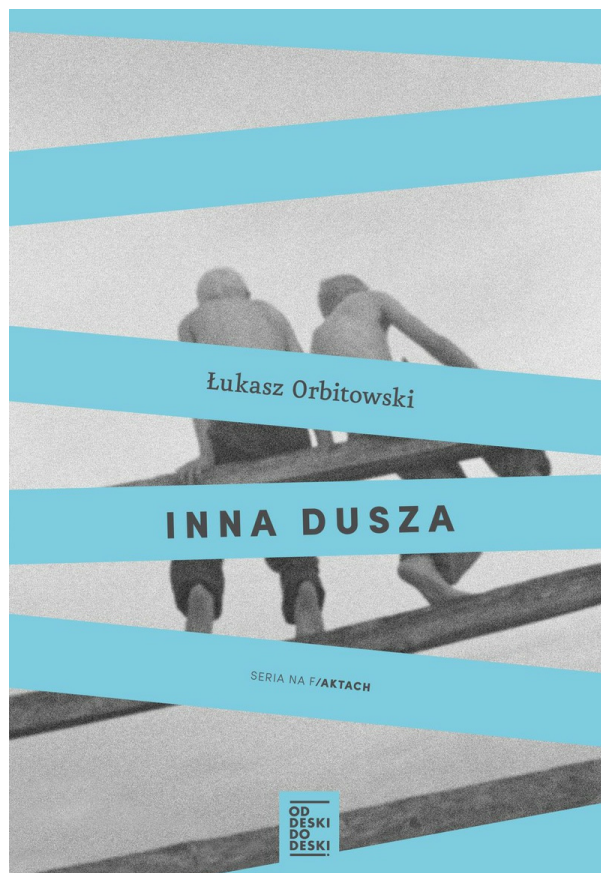
Dotychczas w serii na F/AKTACH ukazały się



PREPARATOR

Huberta Klimko-Dobrzanieckiego

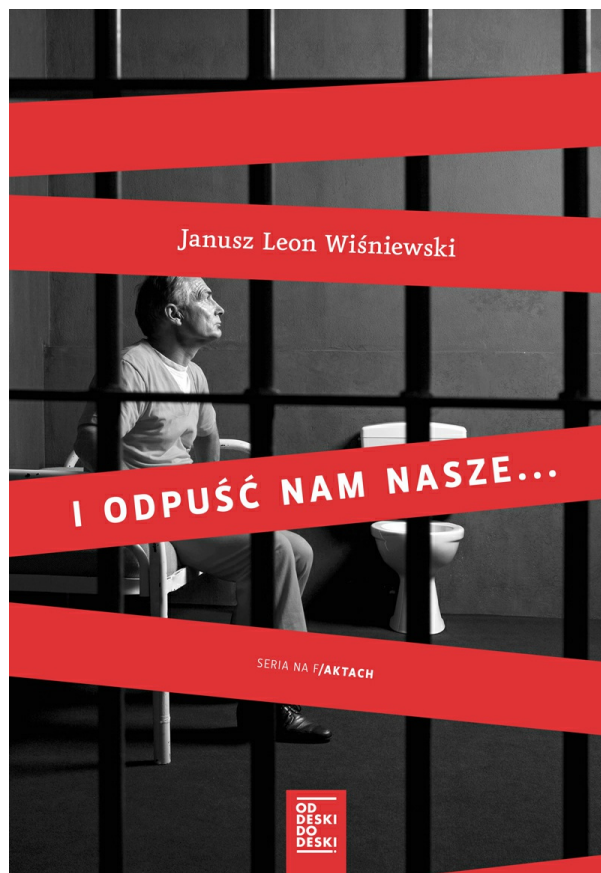
Historia człowieka naznaczonego społecznym piętnem. Żal, poczucie straty, osamotnienie. Gdzieś tam rodzi się zło...



INNA DUSZA

Łukasza Orbitowskiego

Historia nastolatka, który postanawia zabić, na tle mrocznego obrazu Polski lat 90-tych XX w.



I ODPUŚĆ NAM NASZE...

Janusza Leona Wiśniewskiego

Opowieść o miłości, która może doprowadzić do zbrodni.



BESTIA

Magdy Omilianowicz

Czytając Bestię, wkraczamy w mroczny świat zbrodniarza, który wkrótce może wyjść na wolność.

Sylwia Chutnik

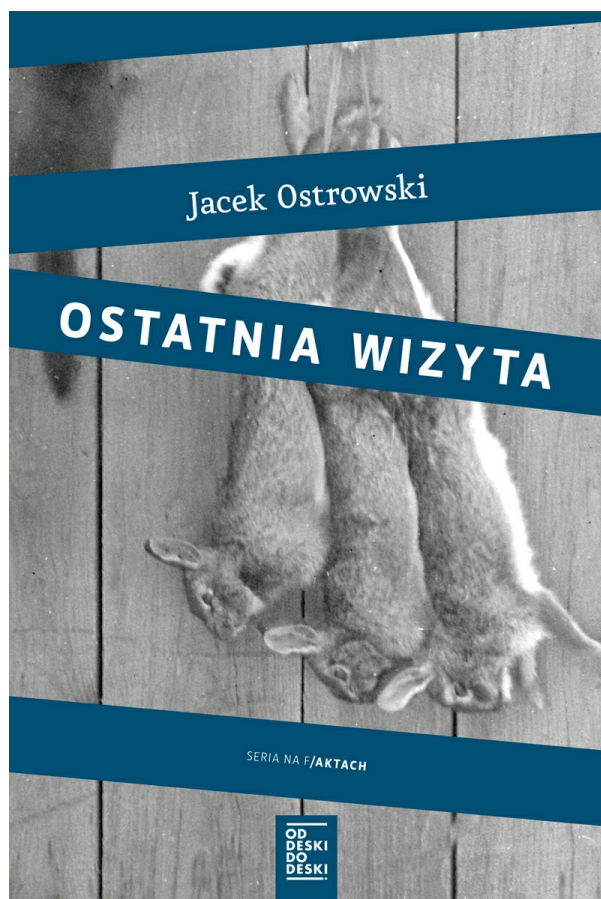
SMUTEK CINKCIARZA



SMUTEK CINKCIARZA

Sylwii Chutnik

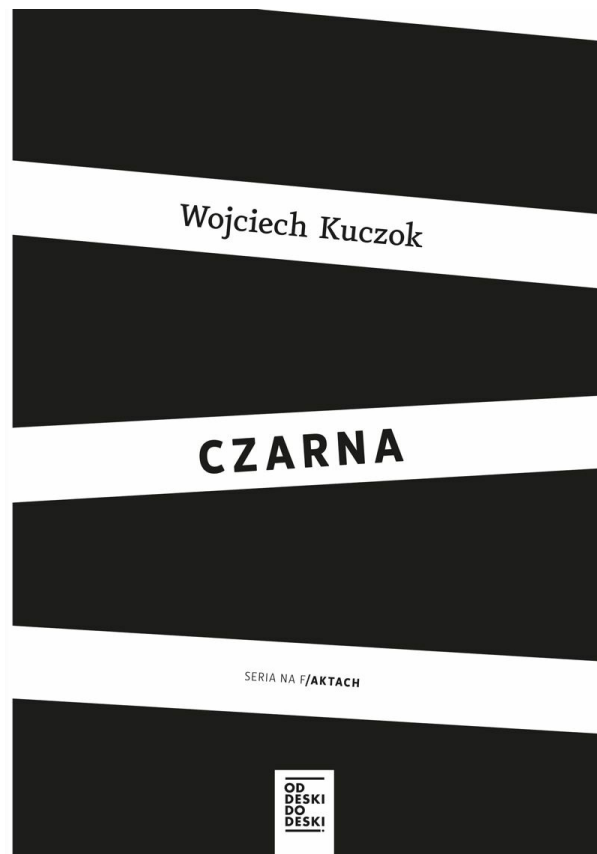
Mroczne rewiry PRL-u w dancingowym klimacie.



OSTATNIA WIZYTA

Jacka Ostrowskiego

5 czerwca 1970 r. doszło do najbardziej tajemniczego uprowadzenia w dziejach PRL-u. Wiele pytań do dziś pozostaje bez odpowiedzi.



CZARNA
Wojciecha Kuczoka
XXXXXX

Wszystkie książki i audiobooki wydawnictwa do nabycia na www.oddeskidodeski.com.pl

